



SONIA ROSA

ŻONY Z
FOREST HILL

FILIA

SONIA ROSA

**ŻONY Z
FOREST HILL**

FILIA

*Każdy z nas dźwiga brzemień swoich tajemnic.
Każdy. Różnica polega jedynie na tym,
że niektórzy ludzie
potrafią je ukrywać lepiej od innych.*

(Richard Paul Evans, Papierowe marzenia)

1

KAJA

Poprawiam włosy i uśmiecham się do lustra. Odkąd kilka tygodni wcześniej ufarbowałam się na jasnorudo, czuję się seksowniej, bardziej kobieco. Już nie jak smarkula ze zbyt chudymi nogami i piegowatą buźką, ale właśnie jak kobieta. Skończone niedawno dwadzieścia dwa lata w końcu do czegoś zobowiązują, myślę, w pośpiechu wyczarowując wysoki kucyk. Za kilka minut mam autobus. Podmiejski, jeżdżący raz na godzinę. Pętla jest tuż przy wyjściu z zamkniętego osiedla, na którym pracuję jako niania, ale wiem, że i tak powinnam się pospieszyć... Nie mogę sobie pozwolić na zmarnowaną godzinę, nie dziś...

Wkładam kurtkę i i nowe buty z wywijanym futerkiem, urodzinowy prezent od mojej najlepszej przyjaciółki. Puchówka jest złota i pikowana, z kapturem obszytym sztucznym futrem. Wyglądam w niej trochę jak ofiara samochodowego wypadku owinięta przez ratowników w folię termiczną, a trochę jak bombka na choinkę, jak to ujęła Nina – dziewczynka, którą się opiekuję. Wychodzę właśnie z domu jej rodziców. Nasze ostatnie spotkanie przed Bożym Narodzeniem upłynęło w miłej atmosferze. Nina była dziś wyjątkowo grzeczna, jej mama poczęstowała mnie wysmienitym ciastem, a za oknem nastrojowo sypał śnieg... Bajka. Uśmiecham się do siebie, owijając szyję kolorową apaszką z egzotycznym motywem.

– Kaja, zaczekaj! – zatrzymuje mnie Dagmara Rosner, kiedy jestem już przy frontowych drzwiach, gotowa do wyjścia.

To pani domu i macocha Niny. Wygląda elegancko, jak zwykle, chociaż, wykonując wolny zawód, wcale nie musi codziennie szykować się do pracy na etacie. Ma na sobie długi sweter z warkoczem w kremowym odcieniu, legginsy w kwiatowy wzór; włosy starannie ułożyła, a w jej uszach połyskują złote kolczyki z perłami. Pracuje na miejscu, w pełnym książek i bibelotów gabinecie na parterze, który jest jej oazą spokoju i centrum kreacji twórczej. Pisarka... Trochę jej zazdroszczę, nie każdy w końcu może żyć z książek, mało kto ma takie szczęście, zwłaszcza w Polsce. Dagmara nie pisze co prawda kryminalnych bestsellerów, ale jej wielotomowa seria tytułów dla dzieci też ponoć całkiem niezłe się sprzedaje.

Słyszając jej głos, przystaję, ale dość niechętnie. Boję się, że odjedzie mi ten cholerny autobus, ale też nie wypada przecież zignorować pracodawczyni...

– Ciasto. – Uśmiecha się do mnie. – Odkroję dla was kawałek, jeśli dasz mi chwilkę – dodaje.

Przygryzam wargę, błagając ją w duchu, żeby się pospieszyła.

– Wiem, że masz autobus! – krzyczy chwilę później, już z kuchni, a ja oddycham z ulgą.

Skoro Dagmara zdaje sobie sprawę z tego, że goni mnie czas, wszystko powinno pójść gładko, mówię sobie. Zresztą ta linia zazwyczaj podjeżdża na pętłę spóźniona – od trzech do

pięciu minut, czasem nawet więcej. Znając mojego pecha, pewnie prędzej tam wymarzną, niż nie zdążę, ale cóż... Wypadałoby wyjść o czasie.

- Dla ciebie, Kaja! - Pięcioletnia Nina wyłania się z salonu i wręcza mi kartkę z narysowaną na niej wielokolorową, pełną bombek choinką.

- Piękna, dziękuję! - Biorę od dziewczynki obrazek, składam go na pół i wkładam do plecaczka z lakierowanej skóry, który dostałam na Mikołaja.

- Proszę. - Dagmara pojawia się przy nas z zawiniętym w posrebrzaną folię kawałkiem orzechowca, podaje mi go razem z lnianą siatką na zakupy, którą trzyma w drugiej ręce, i jeszcze raz życzy mi wesołych świąt.

- Dzięki, dla was również! - W pośpiechu wkładam ciasto do siatki z logo jakiejś niemieckiej księgarni, posyłam buziaka stojącej obok nas Ninie i wychodzę przed dom.

Zamykając za sobą furtkę, w przelocie rozglądam się po udekorowanym na zbliżające się Boże Narodzenie niewielkim zamkniętym osiedlu i czuję lekkie ukłucie zazdrości. Od rana sypie gęsty, mokry śnieg, który zdążył już oblepić białym puchem masywne bramy z kutego żelaza, niskie żywopłoty, ręką zatrudnionego przez lokalną społeczność ogrodnika uformowane w kule i zwierzęta, i osiaść na dachach. W przestronnych zadbanych ogrodach i oknach radośnie migają choinkowe światełka, na zaspanych śniegiem trawnikach stoją ledowe renifery, wszystko wygląda magicznie i odświeżająco. Po mojej lewej jest skarpa porośnięta pnąciami się w górę, zaśnieżonymi iglakami, która przechodzi w gęsty las, po prawej ciągnie się rząd identycznych piętrowych rezydencji o pastelowych fasadach i kopertowych dachach. Ich okna frontowe wychodzą na wąską uliczkę, którą właśnie idę, ale te od tyłu prosto na otoczone szuwarami jezioro - deweloper postawił tu szesnaście bliźniaczko do siebie podobnych willi, z których osiem stoi półkołem po jednej stronie jeziora, a osiem po drugiej. Pośrodku, nad wodą pomiędzy domami, są tereny zielone, stoły piknikowe i niewielkie boiska dla dzieciaków. Jezioro jest na tyle duże, że mieszkańcy domów z przeciwka raczej nie narzekają na brak prywatności i nie zagląдают w okna mieszkającym po przeciwległej stronie wody sąsiadom. To prestiżowe miejsce, więc cena domów również mocno elitarna. Któregoś dnia, opiekując się Niną, znalazłam ulotkę dewelopera i oniemiałam na widok sumy żądanej za metr kwadratowy. Ale dla męża Dagmary to najwidoczniej żaden problem - facet jest jakąś szychą z branży transportowej i zarabia krocie jako wiceprezes firmy. Ciekawe, czy kiedykolwiek będę mieszkać w takiej snobistycznej okolicy? - zastanawiam się, idąc w stronę pętli.

Wywracam się kilka metrów dalej. Nowe buty okazują się zdradliwie śliskie, a może to po prostu grudniowa ślizgawica okazuje się bezlitosna?

- Kurwa mać - klnę szeptem, chwilę po tym, jak z impetem uderzam tyłkiem o chodnik, przypominając sobie przy okazji, że posiadam część ciała zwaną kością ogonową.

Wstaję, kiedy dociera do mnie, że na pętlę właśnie zajeżdża mój autobus. Podrywam się jednak zbyt gwałtownie, rozjeżdżają mi się nogi i... ponownie upadam. Tym razem parskam śmiechem, sytuacja jest naprawdę groteskowa... Wstając, odkrywam, że pod śniegiem jest zdradziecka warstwa lodu, otrzepuję sięgającą połowy uda kraciastą spódniczkę i ruszam w stronę pętli. Niestety autobus na mnie nie czeka. Jak na złość i nie mam pojęcia, jakim cudem, biorąc pod uwagę zadymkę, podjechał o czasie, wysadził dwie młode kobiety, zawrócił

na pętli i właśnie rusza... Ryzykując kolejny upadek, rzucam się biegiem, rozpaczliwie machając rękoma. Do pokonania mam niecałe trzydzieści metrów i liczę na to, że kierowca zauważy mnie w lusterku, ale pojazd się nie zatrzymuje.

- Fuck! - klnę, tym razem, jak na studentkę anglistyki przystało, w drugim ulubionym języku, którym na co dzień się posługuję, i wyjmuję telefon z dolnej kieszonki lakierowanego plecaczka.

W pierwszej chwili chcę zadzwonić do Leona, mojego faceta. Waham się jednak, bo wiem, że to dla niego ważne popołudnie. Wieczorem ma się u niego zjawić jego matka z poślubionym niedawno facetem, a on od rana przygotowuje smakołyki, które zamierza im zaserwować do wczesnej kolacji. Jest szefem kuchni we włoskiej knajpie na rynku, więc można powiedzieć, że mi się pofarciło, bo trafiłam na faceta, który przy garach potrafi coś więcej, niż zagotować wodę na parówki. W łóżku zresztą też wiele umie, ale to zupełnie inna bajka... Zanim wybieram jego numer, zmieniam zdanie. Rano trochę się pokłóciliśmy, więc nadal jest między nami nieco niezręcznie, a Leon przecież niedawno do mnie dzwonił, prosząc tylko, żebym kupiła parmezan. Daruję sobie ten telefon, nie będę mu teraz zawracać głowy, decyduję i pieszko ruszam w stronę szosy. Kolejny pobliski przystanek jest jakieś półtora kilometra dalej, wystarczy przejść poboczem wzdłuż zalesionej drogi i człowiek wróci do cywilizacji, opuszczając krainę lasów i jezior, jak czasem żartobliwie nazywam sielską okolicę, w której pracuję.

Idę wolno, choć pobocze nie jest tak zdradziecko śliskie jak nieodśnieżony jeszcze chodnik przed domem, gdzie upadłam, i kilka minut później zdecydowanie poprawia mi się nastrój. Linia sto osiemnaście jeździ znacznie częściej niż autobus, który mi uciekł. Wystarczy, że dotrę na przystanek, i mam szansę zjawić się w domu mojego faceta o znośnej porze, tak żebym mogła jeszcze pomóc Leonowi w przygotowaniach do kolacji.

Jestem mniej więcej w połowie drogi, kiedy gdzieś za plecami słyszę pomruk silnika zbliżającego się samochodu. Odwracam się gwałtownie, lekko przestraszona - wokół nie ma przecież żywej duszy, w dodatku zaczyna zapadać wczesny zimowy zmierzch. No ale to dobra, bezpieczna okolica, nie to, co pełne zapijaczonych czerwonych gęb czynszówki, w których dorastałam jako córka ledwo wiążącej koniec z końcem samotnej matki.

Samochód mocno zwalnia, wyprzedzając mnie, w końcu zatrzymuje się, dokładnie w miejscu, które właśnie mijam. Kierowca przechyla się, opuszcza szybę po stronie pasażera i proponuje, że podrzuci mnie na przystanek. Znam go, więc się nie waham.

Wsiadam z uśmiechem, rzucam „dzięki” i zapinam pasy.

- Ładna kurtka - mówi on, chwilę po tym, jak ruszyliśmy.

- Tania i trochę obciachowa, ale ciepła. - Uśmiecham się promiennie, przypominając sobie słoneczny, choć chłodny dzień, w którym wybierałam ją z Leonem, kręcąc się pomiędzy straganami niewielkiego bazaru na peryferiach Rzymu.

We Włoszech Leon pierwszy raz poruszył temat naszych zaręczyn, a ja zrozumiałam, jak wiele dla mnie znaczy ten cichy, stonowany facet przed trzydziestką, którego poznałam kilka miesięcy wcześniej i który całkowicie odmienił moje życie.

- Cieszysz się na nadchodzące Boże Narodzenie? - pyta tymczasem uczynny kierowca, zanim włącza radio i wewnątrz samochodu wypełnia świąteczny jazz w amerykańskim stylu.

- Jasne, jak każdy - rzucam lekkim tonem, a on parska śmiechem.

- Czy ja wiem? Sam znam kilka osób, które za świętami nie przepadają, włączając w to mnie - mówi.

- Wasza strata - kwituję, przypominając sobie upchnięte na dno szafy, ozdobnie zapakowane paczki z prezentami. Zamierzałam je wręczyć bliskim już za kilka dni. Dla mamy, która kilka tygodni temu znowu przestała pić, mam piękny srebrny wisiorek kupiony w sieci. Zestaw garnków w stylu vintage cuisine wypatrzyłam zaś dla Leona.

I nagle dzieje się coś, czego kompletnie nie przewidziałam, zupełnie jakby ktoś nieproszony potrząsnął hermetyczną szklaną kulą, w której od paru miesięcy wiodłam bezpieczne, radosne życie i wprowadził nieplanowany chaos...

- Poznajmy się lepiej, skoro już na siebie wpadliśmy - mówi nagle on.

Nie patrzy na mnie, wciąż jest skupiony na zdradliwie śliskiej drodze, ale w jego głosie słyszę oblesną, pożądlivą nutę...

- Co? - Parskam nerwowym śmiechem, nie do końca pewna, czy on tylko się ze mną droczy, czy mówi serio...

- Podobasz mi się - mruzczy, zanim niespodziewanie i zbyt gwałtownie skręca i wjeżdża w las, w porośniętą zaśnieżonymi iglakami wąską drogę.

Autem zarzuca, ale on szybko odzyskuje panowanie nad kierownicą i szeroko się uśmiecha.

- Jednak terenówka to niezawodny wóz - rzuca, wyraźnie z siebie zadowolony, chociaż dosłownie przed momentem niemal wyrznięliśmy w pień jednego z drzew.

Wtedy do mnie dociera - to się dzieje naprawdę...

Szarpię za klamkę.

Działam odruchowo, budzi się we mnie instynkt przetrwania.

Samochód zatrzymuje się gwałtownie, kilkanaście metrów dalej, na jego maskę spada z drzewa czapa świeżego śniegu, połowicznie przesłaniając przednią szybę, przez co w jego wnętrzu robi się ciemniej, jak w jakimś kokonie. I do tego ten uporczywy, intensywny zapach aromatycznego drzewka zawieszzonego na lusterku, od którego robi mi się nagle niedobrze. Jego duża, ciepła dłoń łąduje na moim udzie. Bez ostrzeżenia i bez żadnej zachęty z mojej strony, po prostu ją tam kładzie, jakby zdecydował, że moje ciało należy do niego, przynajmniej w tej chwili. Mam na sobie grube czarne rajstopy, kraciasta spódniczka, którą Leon tak uwielbia, podsuwa się w górę, odsłaniając moją nogę, kusząc natręta.

- Daj spokój, nie zgrywaj takiej cnotki. Kiedy trafi się nam lepsza okazja do odrobiny zabawy? - On pochyla się w moją stronę w momencie, w którym udaje mi się wypiąć z pasów i otworzyć drzwi od strony pasażera.

Kiedy wysiadam, łapie mnie za rękaw, ale śliski materiał połyskującej złotem puchowej kurtki ratuje mnie z opresji, wymykam mu się i brnąc w głębokim śniegu, ruszam w stronę pobliskiej szosy. On jest jednak szybszy - również zdążył już wysiąść i zachodzi mi drogę, śmieje się, odcinając mnie od planowanej trasy ucieczki. Nie jesteśmy daleko od jezdnii. Wystarczyłoby wybiec z lasu i zacząć krzyczeć - teraz, o piętnastej trzydzięści, z pracy wracają

pierwsi mieszkańcy osiedla nad jeziorem, ktoś na pewno by mi pomógł, mówię sobie. Ale on stoi pomiędzy tyłem samochodu a wąską polną dróżką prowadzącą do szosy.

- Dawno żadna kobieta nie uciekała przede mną w takim popłochu! - rzuciła rozbawionym tonem. - Daj spokój, droczę się z tobą - dodaje, ale przecież świetnie wiem, że on wcale się ze mną nie droczy...

Gdyby mnie dorwał, rzucił w jedną z głębokich zasp i zdarł ze mnie rajtki razem z bielizną... Cóż, może i jest facetem z eleganckich przedmieść, ale teraz - w zasypanym śniegiem, pograżonym w szybko gęstniejącym mroku lesie, widzę w nim wyłącznie drapieżcę, wszystko we mnie krzyczy, w panice z trudem oddycham, a mroźne powietrze zdaje się wypalać mi płuca.

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej może i bym się z nim zabawiła. Obróciłabym wszystko w żart, potraktowałabym to jako kolejną nic nieznaczącą erotyczną przygodę. Nigdy nie byłam cnotką. Lubię seks i facetów, a on jest naprawdę przystojny. Zanim poznałam Leona, regularnie sypiałam z poznanymi w modnych klubach koleśkami, zdarzały mi się jednonocne przygody, związki z żonatymi, a nawet gorący romans z mieszkającym w pobliżu mojej dawnej kamienicy radcą prawnym. Ogólnie zabawowa bywała ze mnie laska i całkiem gościnnie w kroczu, jak to określa moja przyjaciółka, ale z Leonem to coś na serio i pierwszy raz w życiu chcę być komuś wierna, tak na poważnie, bez ściemniania i sekretnych skoków w bok. On mnie kocha, a ja Kocham jego. Sprawił, że świat wydaje się bezpieczniejszy i piękniejszy, wydobywa ze mnie wszystko to, co najlepsze. Nie jestem już tą budzącą się w cudzych łóżkach laską z rozmazanym makijażem, która pragnąc zagłuszyć wewnętrzną pustkę i tęsknotę za utraconym w dzieciństwie ojcem, wikłała się w nieodpowiednie związki i dokonywała fatalnych wyborów. Byłam kimś, z kim obecnie nie chcę już mieć nic wspólnego. Dopiero miłość w oczach Leona uświadomiła mi, jak mizernie do niedawna żyłam. To, co brałam za bliskość, było tylko chucią, a mężczyźni, którzy tak chętnie dzwonili do mnie o każdej porze dnia i nocy, nie czuli do mnie niczego oprócz pożądania. Wtedy być może mi to wystarczało, napawałam się tymi ochłapami, ale teraz chcę więcej. Nie weszłam w nasz związek z czystą kartą. Mam przed Leonem sekrety, ale pewnych rzeczy zdradzić mu nie mogę, to by nas zniszczyło, zniszczyłoby jego... Robię za to wszystko, żeby być dla niego idealną partnerką, i z całą pewnością nigdy nie zamierzam go zdradzać. Nigdy! Dlatego nie, nie mam zamiaru zrobić dobrze temu koleśkowi tylko dlatego, że łaskawie zgarnął mnie z szosy, ani nawet dać mu się konkretniej zmacać. Tamta Kaja bezpowrotnie odeszła, nie jestem już taka. Nowa ja nie zabawia się z byle kim i nie zadowala marną namiastką przyjemności.

- Nie jestem zainteresowana - mówię więc, modląc się w duchu, żeby nie drżał mi głos. - Jestem z kimś na poważnie, ja...

Nie kończę, z nerwów załamuje mi się głos.

On unosi ręce w geście poddania, zapewnia mnie, że rozumie. We włosach ma śnieg, nogawki jego spodni również oblepia wszechobecny biały puch.

- Nie ma sprawy. Przegiąłem, wybaczone, źle oceniłem sytuację. Wsiadaj, podrzucę cię na przystanek - proponuje, wyraźnie usiłując zbagatelizować całe zajście, i rusza w moją stronę. - Wsiadaj, jest kurewsko zimno - ponagliła mnie.

Wtedy wraca panika. Nie wiem, czemu jest aż tak intensywna, nie umiem zrozumieć, dlaczego aż tak się go boję. Jest elegancko ubrany, nawet w zapadającym mroku widzę, że się uśmiecha, a jednak nie chcę z powrotem wsiąść do jego auta, nie zamierzam z własnej woli dać się wciągnąć w pułapkę. W butach mam śnieg, sięga powyżej futrzanego krańca moich botków, oblepił moje czarne rajstopy, sprawia, że zaczynam marznąć, choć jednocześnie jest mi gorąco. Czas zdaje się zwalniać, płynie niespiesznie, w głowie wyrzucam sobie własną niefrasobliwość. Po cholere w ogóle się z nim zabrałam?

On robi kilka kolejnych kroków w moją stronę. Cofam się, on wciąż brnie przez śnieg. Jego wzrok mnie oblepia, czuję, że chociaż zapewnił mnie o wycofaniu swojego pomysłu i nawet przeprosił, w głowie wciąż ma konkretną wizję naszej wspólnej „zabawy”. Z drzewa spada kolejna czapa śniegu, on klnie, kiedy jego lewa noga zapada się głęboko w zaspę, ale uparcie idzie dalej.

– Po prostu odjedź i zostaw mnie w spokoju! – krzyczę, po czym rzucam się do biegu, w głąb lasu, tam, gdzie pomiędzy drzewami widać jakiś prześwit, chyba rozległą polanę.

Strach dodaje mi skrzydeł, moje ciało w końcu uwalnia się z marazmu, mięśnie pracują. Biegnę, raz za razem zapadając się w śnieg, wpadam na olbrzymią polanę, ślizgam się, upadam, podnoszę i biegnę dalej. On coś za mną krzyczy, ale nie słucham. Udało mi się odbiec w miarę daleko od niego i jego łap, a syjący wokół mojej głowy gęsty puch tłumi dźwięki, otula mnie bezpiecznym kokonem bieli.

Nagle słyszę coś, co brzmi jak suchy trzask, i ziemia usuwa mi się spod nóg.

Nie, nie ziemia...

Wpadam pod lód...

Dagmara wspomniała mi kiedyś, że tuż za osiedlem, wśród lasów, jest drugie jezioro, ale nie znam tej okolicy, nie miałam pojęcia, że to, co wzięłam za rozległą polanę, jest skutą lodem taflą. Lodem świeżym i zbyt cienkim, żeby utrzymać ciężar biegnącej kobiety. Mój umysł nie nadąza za tym, co się dzieje. W jednej chwili biegnę przez zdradziecko przysypaną grubą warstwą świeżego śniegu taflę lodu, w drugiej do moich płuc wdziera się lodowata woda, ręce młóć ją, w panice usiłując znaleźć ostrą krawędź przerębla i wdrapać się na górę, ale woda wciąga mnie w swoją otchłań, nie daje mi szans na przetrwanie. Żłota kurtka szybko nią nasiąka, oczy zachodzą mi mgłą. Wszystko trwa sekundy, choć wydaje mi się, że długie minuty. Opadam coraz niżej, walczę coraz słabiej, w końcu tracę przytomność.

Nie mogę już zobaczyć, że on robi kilka niepewnych kroków na zasypanej śniegiem tafli lodu i cofa się, przestraszony, świadomy niebezpieczeństwa. Nie chce dla mnie ryzykować, swoje życie uznaje za zbyt cenne...

Później wraca do lasu, znajduje gruby kij i przechodzi w miejsce, w którym był wcześniej, stąpając rozważnie, wolno, majestatycznie. Dalej nie idzie. Nie ryzykuje, nie próbuje się do mnie podczołgać, jest bierny i obojętny, może spanikowany, ale na pewno nie pomocny... Sterczy z kijem w rękę kilkanaście metrów od miejsca, w którym pękł pode mną lód, i po prostu się gapi, bezradny i milczący, niemy świadek dramatu rozgrywającego się w zaśnieżonym lesie. Później się cofa i wchodzi między zaśnieżone sosny. Przygryza wargę, jeszcze przez dłuższą chwilę patrząc w stronę wody, następnie wraca do samochodu, wycofuje i wyjeżdża na drogę po tym, jak upewnia się, że szosa jest pusta. Jego telefon został w domu,

ładuje się. Być może nikt nigdy się nie dowie, że zjechał z trasy w drodze do centrum, a niebawem sypiący gęsto śnieg zatrze wszystkie ślady, pociesza się, kurczowo zaciskając palce na kierownicy.

Ale tego przecież nie mogę wiedzieć.

Ja właśnie umarłam...

DAGMARA

Chwilę po tym, jak wychodzi od nas Kaja, w korytarzu pojawia się Albert, korepetytor mojego szesnastoletniego pasierba Daniela.

- Zdrowych wesołych raz jeszcze życzę, pani Dagmaro – mówi, zanim zdejmuję z wieszaka swoją wатовaną, zbyt cienką na moje oko kurtkę.

Ale przecież jeździ autem, więc nie marznie na przystankach.

Jemu też wręczam kawałek orzechowca. Nie wiem, czemu aż tyle ostatnio piekę, ale podejrzewam, że ma to związek z zakończeniem ostatniego tomu serii książeczek o zwierzątkach żyjących w lesie za dużym parkiem rozrywki – dzieciaki pokochały te tytuły, w sumie, jak dotąd, dwanaście tomów przygód moich zwierzęcych bohaterów, ale mimo fantastycznej sprzedaży, gdzieś tak od tomu ósmego nakład schodził coraz wolniej i wydawca zdecydował o zakończeniu naszej wspólnej przygody. Postawiłam więc finałową kropkę i robię poprawki w tomie trzynastym – ostatnim – walcząc jednocześnie z narastającą paniką... Co dalej? – pytam się każdej bezsennej nocy, leżąc u boku pochrapującego Piotra. Oczywiście mam jeszcze sporo do dogadania z ilustratorką, musimy dopieścić projekt okładki, ale wygląda na to, że po Nowym Roku nie czeka mnie już wiele pracy, a innych pomysłów nie mam... Książki dla dzieci pisze się trudniej, niż można by podejrzewać, i prawdę mówiąc, nie mam w planach kolejnej serii, a dla dorosłych... Cóż, jest w moim laptopie folder z siedmioma pierwszymi rozdziałami rozgrywającego się w słowackich Tatrach mrocznego thrillera, ale czy znajdę odwagę, żeby go dokończyć i komukolwiek pokazać? Pisanie dla dorosłych również jest trudne, a ja, nawet teraz, po komercyjnym sukcesie mojej serii dla dzieci, jeszcze nie do końca czuję się pisarką. Studia przerwałam na trzecim roku, zresztą nawet nie filologię polską, a geografię. W porównaniu z innymi piszącymi nie mam za bardzo ani warsztatu, ani ukierunkowanego wykształcenia, co czasem mocno mnie frustruje. Zanim zaczęłam zarabiać na serii o zwierzątkach, pracowałam na pełen etat w urzędzie miasta, ale Bóg mi świadkiem, wolałabym tam nie wracać. Oczywiście mogłabym wygodnie żyć na utrzymaniu świetnie zarabiającego męża, piec ciasta, pichcić i dbać o dom – Piotr nie miałby chyba nic przeciwko, ale ja nigdy nie planowałam zostać taką kobietą. Kiedy się poznaliśmy, on był wdowcem lekko po czterdziestce, ja trzydziestojednoletnią singielką. Żyło mi się beztrudnie, radośnie, bez obaw o przyszłość, na ciągłym kacu. I nagle, jak grom z jasnego nieba, miłość do faceta z bagażem i dwójką dzieci... Przyjaciółki mi go odradzały, nawet moja własna matka była przerażona, a jednak kiedy Piotr powiedział, że się we mnie zakochał, zdecydowałam, że zaryzykuję. Bo tak się uroczo złożyło, że ja również się w nim zakochałam. Pobraliśmy się w ekspresowym tempie, kilka miesięcy od dnia, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. On powiedział, że życie tak szybko mija i nie chce czekać, ja nie miałam nic przeciwko. Był więc ślub, później kupno rezydencji nad jeziorem, na której widok odradzające mi wcześniej związku z Piotrem

koleżanki zieleniały z zazdrości, i oto jesteśmy, kilka dni przed Bożym Narodzeniem, w przysypanym białym puchem domu w sielskiej, zalesionej okolicy.

- Tobie również zdrowych i radosnych świąt - mówię do Alberta, przyglądając się, jak wkłada eleganckie skórzane półbuty, podobnie jak kurtka, zupełnie nieodpowiednie na tę pogodę.

Jest świetnym korepetytorem. Dzięki niemu mój pasierb Daniel wyraźnie poprawił oceny z chemii i przestał uciekać z lekcji, ale ja osobiście nie pałam do niego większą sympatią. Jest w nim coś dziwnego, czuję się niezręcznie w jego obecności, choć - co muszę szczerze przyznać - jest całkiem przystojny. Po trzydziestce, wysoki, ciemnowłosy, z ładnym tembrem głosu i brązowymi oczyma na pewno podoba się kobietom.

- Czyli widzimy się czwartego stycznia? - upewniam się jeszcze, zanim nauczyciel Daniela od nas wychodzi.

- Tak, czwartego - potwierdza i bierze ode mnie zapakowane w folię ciasto. - Dziękuję, to bardzo miłe z pani strony - dodaje i nie patrząc mi w oczy, rusza w stronę frontowych drzwi.

Właśnie! To chyba to najbardziej mi w nim przeszkadza. Zdaję sobie sprawę, że najczęściej nie patrzy mi w oczy, ale gdzieś w przestrzeń, ponad moją głowę, jakby coś ukrywał...

Kiedy wychodzi, przechodzę do naszej przestronnej, urządzonej w biało-srebrnych tonacjach kuchni i wyglądam przez okno na zaśnieżoną ulicę. Albert wsiada właśnie do swojego samochodu i wolno rusza wzdłuż naszej uliczki. Gdzieś, chyba kilka domów dalej, ktoś odśnieża podjazd, wyraźnie słyszę rytmiczne szuranie łopaty, poza tym wokół panuje błoga, przedświąteczna cisza. Przez chwilę przyglądam się ciężkim od śniegu gałęziom drzew rosnących na skarpie po drugiej stronie naszej uliczki, później nastawiam czajnik i podkręcam kaloryfer, bo na parterze zrobiło się dość chłodno, czego nie lubię.

- Dagmara?! - Głos męża dochodzi ze szczytu schodów, potem Piotr zbiega na dół i w pośpiechu wpada do kuchni. - Jadę po świeciłka na choinkę, bo nie mogę znaleźć tych z zeszłego roku.

- Teraz? Liczyłam na wspólne popołudnie - krzywię się. - Zobacz, jak sypie - dodaje, a on lekko się uśmiecha.

- Jeżdżę terenówką, kotku, niestraszna mi odrobina śniegu. - Mruga do mnie.

Ma na sobie ciemne spodnie, które niedawno mu kupiłam, jest świeżo ogolony, a proste, ciemne włosy zaczesał do tyłu, trochę w stylu retro, co w sumie całkiem mi się podoba - w takiej fryzurze przypomina mi nieco przystojnych włoskich gangsterów ze starych hollywoodzkich produkcji. Nie żebym lubiła mafiosów, uśmiecham się pod nosem, a on przyciąga mnie do siebie i całuje w usta.

- Lubię cię taką zimową - mówi, wkładając dłonie pod mój sweter. - W tych grubych skarpetach, ciepłych swetrzyskach i getrach jesteś taka domowa, tylko moja - dodaje.

- Tatusiu, mogę jechać z tobą? - Nina wpada do kuchni ze swoim ulubionym pluszowym jednorożcem w rękę i ciągnie ojca za rękaw grubego szarego swetra we wzór w jodełkę. - Mooogę, tatusiuuu? - przeciąga sylaby, wyraźnie chętna na wspólną przejażdżkę.

- Nie - mówimy w tej samej chwili i wymieniamy z mężem rozbawione spojrzenia.

- Nie zjesz zupy przed wyjściem? - pytam go, a on całuje mnie w czubek głowy.

Jest wysoki, a ja drobna, ledwo sięgam mu do ramienia, co bardzo mi odpowiada – czasem lubię się czuć kruchą, chronioną przez niego kobietką.

– Nie, pojedę od razu – decyduje.

– Mogłeś mówić, że się wybierasz do centrum, podrzuciłbyś Kaję. Wyszła przed momentem, a na zewnątrz taka zadymka...

– Ma autobus, da sobie radę. To już duża dziewczynka. – Piotr puszcza mi oczko i wychodzi z kuchni, a ja uśmiecham się do zawieszonej na lodówce, zrobionej w Mikołajki fotki, na której Kaja w mikołajowej czapce na głowie pozuje w towarzystwie roześmianej Niny i nieco mniej radosnego Daniela.

Lubię tę dziewczynę, myślę. Jest świetną nianią, ale też po prostu miłą i uczynną osobą. Nina również ją uwielbia, a ja wiem, że kiedy u nas jest, mogę w spokoju zająć się pisaniem, nie martwiąc się o dzieciaki, bo chociaż oficjalnie Kaja jest nianią Nineczki, ma też czasem oko na naszego Daniela, który, jak to nastolatek, miewa przeróżne idiotyczne pomysły.

– Jadę! – krzyczy z przedpokoju Piotr, zanim zatrząskuje za sobą frontowe drzwi.

Podgrzewając zupę dla Niny, przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie i nie mogę się nie uśmiechnąć. Po naprawdę zaskakującym sukcesie pierwszego tomu przygód moich leśnych bohaterów wydawca zorganizował mi kilka spotkań autorskich w przedszkolach i właśnie tam, z zasłuchaną w czytana przeze mnie bajkę trzyipółletnią wtedy Niną na kolanach, wypatrzył mnie Piotr. Tamtego popołudnia rozmawialiśmy krótko, ale zauroczył mnie do tego stopnia, że dałam mu swój numer. Później wszystko potoczyło się lawinowo...

– Daga? – Daniel zjawia się w kuchni, kiedy wlewam do talerza zupę dla Niny.

Zwraca się tak do mnie od początku. Nie chce mówić „ciociu”, zresztą chyba dziwnie by to brzmiało, zważywszy na to, że jestem jego macochą, ale „mamo” też mówić nie zamierza – nie potrafi się przełamać, a my nie naciskamy... Zresztą, umówmy się – choćbym stała na rzęsach, nigdy nie będę jego matką, a on jest za duży, żeby tak po prostu wymazać ją z pamięci...

– Tak? – Stawiam talerz na stole i posyłam mu pytające spojrzenie.

– Pożyczysz stówkę czy dwie? – pyta.

– To stówkę czy dwie? – Uśmiecham się do niego, a on oczywiście wybiera opcję drugą.

Świetnie wiem, że kilka dni wcześniej dostał od Piotra całkiem pokaźne kieszonkowe, ale nie umiem mu odmówić. Bycie macochą to wyjątkowo niewdzięczna rola... Człowiek daje całe serce cudzym dzieciom, które z czasem zaczyna kochać jak swoje, ale i tak, gdzieś w głębi duszy, zawsze ma wątpliwości, czy jest dla nich wystarczająco dobry, czy daje z siebie wszystko...

– Jasne – mówię więc. – Wyjmij je sobie z mojej portmonetki – dodaję, a on rzuca „dzięki”, oznajmia mi, że wybiera się na lodowisko, i wybiega z kuchni.

– Pytałeś tatę o zgodę?! – krzyczę, bo młody jest już na schodach.

– Tak, wczoraj! – odrzkuje, więc odpuszczam. – Igor ze swoim ojcem po mnie podjadą, wszystko ustalone! – dodaje, zanim wpada do siebie, gdzie zapewne w pośpiechu wrzuca coś do swojego ulubionego plecaka i wyjmuje z dna garderoby pudełko z łyżwami.

Okej. Chce, niech idzie. Tyle spokoju, myślę, podając Ninie łyżkę.

Kwadrans później, kiedy młoda siedzi w salonie i ogląda Świnę Peppę, a ja prasuję czekający na moje ręce stos koszul Piotra, przypominam sobie, że zapomniałam o prezencie. Dałam Kai kawałek orzechowca, ale zapomniałam jej wręczyć perfumy i przywiezione z Wiednia czekoladki, które kupiłam dla niej jeszcze w listopadzie. Odkładam więc żelazko, sięgam po telefon i wybieram numer naszej niani, chcąc ją zapytać, czy będę mogła podrzucić jej prezent jutro albo pojutrze, kiedy zajadę do centrum. Dziewczyna jednak nie odbiera, a jej telefon jest poza zasięgiem. Dziwne, bo przecież powinna być teraz w autobusie, ale szybko przestaję o tym myśleć. Za kilka dni Wigilia, nasze pierwsze święta w domu nad jeziorem. W tej intencji dałam z siebie wszystko, każdy zakamarek przestronnej willi lśni czystością, z żyrandoli zwisają girlandy, zdobiące również kutą poręcz schodów prowadzących na piętro, a w salonie, naszej sypialni i w olbrzymim holu stoją choinki. Zrobiłam też kilka stroików, udekorowałam wnętrza jemiolą i dopieściłam każdy szczegół. Zawsze lubiłam święta, ale te tegoroczne są dla mnie wyjątkowe. Rok temu mieszkaliśmy jeszcze w centrum. Lokum Piotra i jego tragicznie zmarłej przed kilku laty żony było duże, ale nie czułam się w nim swobodnie. Tam niemal namacalnie wyczuwałam rękę nieboszczki, upiorna była dla mnie sama myśl, że to ona wybierała wszystkie meble, pościel, w której sypialiśmy, i naczynia, z których jedliśmy. Czułam się tak, jakby zmarła pierwsza żona mojego męża na każdym kroku zaglądała mi przez ramię. Tu jest inaczej, tutaj wszystko jest moje. Mój dom, moja rodzina, nawet jej dzieci powoli stawały się moimi. Pokochałam zwłaszcza Nineczkę, dziewczynka była moim oczkiem w głowie, ukochaną pieszczoszka. Czasem wyobrażałam sobie, że jest nasza – moja i Piotra, ale później miałam wyrzuty sumienia. Nie, nie mogę przeginać, mówiłam sobie i leciałam na cmentarz, żeby w dowód wdzięczności położyć kwiaty na grobie Aleksandry. Czasem, nocami, kiedy nie mogłam spać, płakałam na myśl o jej losie. Ninka nie miała jeszcze nawet półtora roczku, kiedy żona Piotra zmarła na rzadki nowotwór, który rozpanoszył się w jej ciele przerażająco szybko. Odeszła, a ja odziedziczyłam po niej dzieci, męża i życie, które tak diametralnie różniło się od mojego własnego, poprzedniego. Co robiłam, kiedy umierała? Bezdzietna lambadziara szalejąca nocami w towarzystwie równie egoistycznych przyjaciółek – mogłam być wszędzie – na Malcie, w klubie Hot Shot przy rynku, w łóżku z książką albo w eleganckim górskim spa, gdzie lubiłam się wybierać na długie weekendy. Czemu jednak miałam z tego powodu wyrzuty? Nie umiałam powiedzieć...

Kiedy kończę prasowanie, jeszcze raz wybieram numer Kai, ale telefon naszej niani w dalszym ciągu jest poza zasięgiem. Może zdążyła już dotrzeć do mieszkania, wyłączyła komórkę i baraszkuje ze swoim facetem? Uśmiecham się pod nosem, świetnie wiedząc, jak bardzo jest zakochana w tym swoim seksownym szefie kuchni, z którym związała się kilka miesięcy temu.

Mąż wraca chwilę później.

– Kupiłeś te światełka?! – krzyczę z pokoju, ale Piotr nie odpowiada.

Wbiega na górę i gdzieś na piętrze trzaskają drzwi.

Szybko objechał, myślę, zaglądając do siedzącej przed telewizorem Niny.

Później wyjmuję z torebki paczkę papierosów, zarzucam na ramiona pachnącą nową wodą kolońską kurtkę Piotra i wymykam się przed dom. Od nowego roku definitywnie rzucam palenie, nawet jeśli ostatnio ograniczyłam fajki do dwóch dziennie, powtarzam sobie, zanim

zaciągam się dymem. Wkładam lewą rękę do kieszeni, opieram się o zamknięte frontowe drzwi, które kilka godzin wcześniej ozdobiłam wieńcem z jedliny, i przymykam oczy, delectując się chwilą ciszy i samotności. Mimo wielu obowiązków i mnóstwa stresu, jakie na mnie spadły wraz z rolą żony i macochy, naprawdę cholernie lubię moje nowe życie, myślę z wdzięcznością.

Grudniowe popołudnie jest mroźne, zdążył już zapasć mrok rozświetlony jedynie skąpą srebrzystą poświatą zapalonych ulicznych lamp. Gdzieś w oddali szczeka pies, a na dnie pobliskiego jeziora, pod przysypaną śniegiem taflą lodu, spoczywa młoda rudowłosa dziewczyna w złotej kurtce, nasza niania. Ale o tym przecież nie mogę wiedzieć, dopalając przedostatniego wysupłanego z paczki chesterfielda...

3

ILONA

Za kilka dni Boże Narodzenie. Nie znoszę świąt, po prostu ich nie trawię! Dla dzieciaków to może i frajda, wiadomo – pod choinką tona prezentów, wolne od szkoły dni, a w domu mnóstwo słodyczy, ale dla mnie wyłącznie potężny stres, masa sprzątanania i niekończące się godziny samotnie spędzone w kuchni. Żeby jeszcze ktoś to docenił, krzywię się, wsuwając do piekarnika kolejną porcję pierniczków.

W kuchni jest ze mną dziewięcioletnia córka Lena – ona jedna chociaż udaje, że w czymkolwiek mi pomaga, chociaż jak dotąd jej „pomoc” ograniczyła się do rozsypania cukru pudru i upakowania całego blatu...

Po tym, jak wsuwam pierniczki do rozgrzanego wnętrza piekarnika, podchodzę do kuchennego okna w momencie, w którym niania naszych sąsiadów z domu obok, ruda smarkula od miesięcy robiąca maślane oczy do mojego męża, upada na śliskim chodniku. Na ten widok parskam śmiechem. Wiem, że to wredne, ale nie mogę się powstrzymać.

– Mamo, z czego się śmiejesz? – Córka od razu chce wiedzieć, co się dzieje. Zeskakuje z hokera i podchodzi do okna w momencie, w którym niania Rosnerów upada po raz drugi po tym, jak zbyt gwałtownie się podniosła.

Córka jednak się nie śmieje, być może jest lepszym człowiekiem ode mnie...

– Auć – rzuca tylko i krzywi się w empatycznym geście solidarności.

Przyciągam ją do siebie i całuję w czubek głowy, w miejsce, gdzie splatają się misternie przeze mnie zaplecione warkoczyki, które rano własnoręcznie upięłam wedle jej życzenia – ostatnio Lena upodobała sobie instagramowe konta prezentujące fikuśne fryzury i ciągle chce czegoś nowego. Na szczęście całkiem nieźle sobie radzę w temacie, co obie nas cieszy.

– A dlaczego ja nie mam niani? – pyta nagle moja córka.

– Bo jesteś już dużą dziewczynką. – Uśmiecham się i obejmuję ją ramionami. – Masz dziewięć lat, a ja prawie zawsze siedzę w domu – wyjaśniam i sekundę później zdaję sobie sprawę, jak żałośnie to zabrzmiało.

Ale taka jest prawda, niestety... Kiedy poznałam Mateusza, zaczynałam trzeci rok medycyny. Niestety już kilka miesięcy później odkryłam, że jestem w ciąży, i zamiast obiecującej kariery lekarskiej dostałam pełnoetatową rolę żony. Finansowo nigdy nie narzekałam. Mateusz, który w dniu naszego ślubu był już młodym architektem, zapewnił mi godne, satysfakcjonujące życie na poziomie. Im jednak jestem starsza, tym częściej się zastanawiam, jak potoczyłyby się moje losy, gdybym dokończyła studia medyczne i zgodnie z wolą rodziców została lekarką. Cóż, na pewno nie tkwiłabym teraz w kuchni, czekając, aż upieką się cholerne pierniczki, myślę.

Córka ciągle pozwala mi się tulić. Doceniam to, dzieci przecież tak szybko rosną i równie szybko przestają nas potrzebować... Stoimy w oknie, którego szyby oblepia mokry śnieg, i patrzymy na ścianę lasu po drugiej stronie uliczki. Chwilę później w kierunku pobliskiej pętli autobusowej jedzie volkswagen korepetytora Rosnerów, a dosłownie pięć minut po nim przez zasypaną śniegiem uliczkę dostojnie sunie szpanerska czarna terenówka Piotra Rosnera.

Na jej widok się krzywię. Nie lubię tej pary – ani jej, ani jego. Ona jest znacznie młodsza od żon z naszego osiedla, na moje oko jest ledwo po trzydziestce. Ładna, zgrabna i filigranowa, pewna siebie, w dodatku pisarka – zazdroścę jej tego, mierzi mnie też to, że jest szaleńczo zakochana w mężu, drażni widok ich czułości, której my z Mateuszem od dawna sobie nie okazujemy. Ale my nie jesteśmy świeżo poślubioną parą... Ja nie upolowałam wdowca z dwójką dzieci, ale wysłałam za męża na studiach. Dziś, w wieku prawie czterdziestu dwóch lat, zaczynam czuć się stara i zmęczona życiem, a syn, który lada moment skończy dziewiętnaście lat, również mnie nie odmładza. Kiedy o tym myślę, Adam właśnie parkuje przed domem.

Chwilę później mój pierworodny wysiadł ze swojego nowiutkiego srebrnego audi – prezentu od ojca. Dziś jest sam, co odnotowuję z ulgą, bo dzień wcześniej pojawił się u nas w towarzystwie trzech kolegów – wszyscy czterej wpadli do ogrodu, przekrzykując się, obrzucając śnieżkami i popychając, co bynajmniej mnie nie zachwyciło... Wiele razy prosiłam Adama, żeby nie spraszał do nas takich tłumów, zwłaszcza przed świętami, kiedy usiłuję ogarnąć cały ten chaos i wszystko leci mi z rąk, ale cóż... Mój pierworodny jest jak swój ojciec, zawsze robi to, na co ma ochotę, nie licząc się z nikim, a ja muszę całe to egoistyczne towarzystwo obskakiwać, zapewniając napoje i przekąski, jakbym była jakąś kelnerką...

– Cześć! – rzuca z przedpokoju syn. – Niczego mi nie odgrzewaj, bo jeszcze gdzieś jadę! – dodaje, zakładając, niestety całkiem zresztą słusznie, że kiedy tylko się rozbierze i umyje ręce, postawię przed nim talerz z czymś smakowitym i zaparzę zieloną herbatę, w której się ostatnio rozsmakował. Ja tam jej nie lubię, a Mateusz pija tylko dla zdrowia, jak twierdzi.

Chcąc się upewnić, czy syn znowu nie palił (a smrodek tytoniu wyczuwam na odległość, niczym policyjny pies tropiący narkotyki), wychodzę z kuchni i przyglądam się, jak ściąga zaśnieżone buty, żeby w kurtce i czapce lecieć na górę, skąd zapewne zabierze coś ze swojego pokoju, z powrotem włoży buty i tyle go zobaczę...

I faktycznie – szybki wypad na piętro, trzaśnięcie drzwiami na górze, tupot na schodach, pa, mamó, i już go nie ma... Papierosów tym razem od niego nie wyczułam. Wiem, że jest pełnoletni, nie mogę mu zabronić palić, jednak robimy z Mateuszem wszystko, żeby wybić mu z głowy fajki. Zbyt wiele poświęciliśmy dla dzieci, żeby tak po prostu spokojnie patrzeć, jak od najmłodszych lat rujnują sobie zdrowie.

Odjeżdża chwilę później, a ja wysłałam Lenę, żeby zamknęła za nim frontowe drzwi, bo jak zwykle bezrefleksyjnie darował sobie przekręcenie klucza w zamku. Forest Hill to zamknięte osiedle, przy wjeździe są drewniana budka strażnika z umieszczonymi na niej kamerami monitoringu i solidny opuszczany szlaban, ale przecież można się tu zakraść od strony jeziora czy lasu, a przed świętami kręci się wszędzie wielu włóczęgów. Zawsze się bałam takich ludzi, nie umiem sobie nawet wyobrazić, co bym zrobiła, gdyby jeden z nich wszedł do naszego domu...

– Mamusiu, kiedy będą pierniczki? – Głos córki wyrywa mnie z zamyślenia.

- Jeszcze troszkę. - Uśmiecham się do niej i zabieram za przygotowywanie surówki z czerwonej kapusty, nie chcąc zostawiać wszystkiego na ostatni moment.

Mateusz wraca niecałą godzinę później, poirytowany. Ma mokre od śniegu, lekko ubłocone spodnie, przemoczone buty i sprawia wrażenie wściekłego - ale ostatnimi czasy mojego męża potrafi wytrącić z równowagi niemal wszystko - wystarczy korek w drodze z pracy, ktoś, kto zajedzie mu drogę, czy czyjeś krzywe spojrzenie i od razu wpada w szał, toczy pianę i godzinami się piekli. Przywykłam. Życie u boku furiata ma też swoje plusy - następnego dnia po każdym jego wybuchu dostaję kwiaty, czekoladki bądź coś z biżuterii.

- Daj mi chwilę spokoju, ledwo wszedłem! - warczy, kiedy pytam, czy coś zje.

Później zaszywa się w swoim gabinecie, do którego wchodzi, waląc drzwiami z taką furją, że odbijają się od ściany.

- Tata jest na nas zły? - pyta mnie Lena jakiś czas później.

Mówi szeptem, najwyraźniej już nawet w wieku dziewięciu lat wie, że kiedy Mateusz jest w takim nastroju, trzeba chodzić po domu na palcach.

- Twój tatuś jest zły na cały świat - rzucam kąśliwym tonem i zabieram się za wykładanie pierniczek na rozłożone na stole duże talerze.

- Mogę jednego? - W głosie Leny jest mnóstwo nadziei, ale nie zamierzam jej ulegać.

Jest za gruba, gdzieś na samej granicy dopuszczalnej normy i dziecięcej otyłości, więc od jakiegoś czasu konsekwentnie ograniczam jej cukier, poza tym pierniczki są na Boże Narodzenie, a nie po to, żeby teraz się nimi zapchała.

- Nie - mówię więc, a nadąsana córka obraca się na pięcie i wybiega z kuchni.

Po chwili słyszę, że wrzeszczy na nią ojciec - musiała się zakraść do gabinetu Mateusza, co do reszty wytrąciło go z równowagi.

- Prosiłem o chwilę spokoju?! - drze się na nią mój ślubny.

Chwilę? Siedzisz tam już z pół godziny, myślę i wołam Lenę.

- Chodź, pomożesz mamie! - krzyczę, ale młoda już pędzi na górę, naburmuszona, a może nawet zapłakana...

Idę więc do gabinetu Mateusza i stawiam na jego biurku talerz z przygotowanymi na szybko kanapkami.

Na mój widok mąż minimalizuje okno przegładarki i obraca się w fotelu.

- Prosiłem was chyba o... - zaczyna, ale nie pozwalam mu dokończyć.

- Ja też jestem zmęczona - oznajmiam mało sympatycznym tonem. - Więc bądź tak łaskaw i zjaw się w kuchni, żeby pomóc mi w czymkolwiek! Pokrój choćby cholerną cebulę, niech to będzie twój wkład w te święta - proszę.

- Zaraz - odpowiada równie mało sympatycznym głosem.

- Nie zaraz, tylko teraz! - wrzeszczę.

- O co ci chodzi, Ilona?! - Mąż wstaje z fotela i od razu zyskuje nade mną psychologiczną przewagę, bo jest wysoki i dobrze zbudowany, góruje nade mną wzrostem, a gdyby chciał, dosłownie zmiażdżyłby mnie różnicą kilogramów.

Niedawno dobrnął do wagi stu ośmiu kilo i jakoś nie może schudnąć, chociaż mnie zawsze wypominał boczek i lekko zaokrąglony brzuszeczek. Lubi szczupłe kobiety i nigdy się z tym nie

krzył. Cóż, mam dla niego złe wieści – w drugiej ciąży, nosząc pod sercem jego ukochaną córkę, przytyłam dwadzieścia sześć kilo i wygląda na to, że już nigdy nie będę mieć takiej fantastycznej figury jak w naszych szczęśliwych studenckich czasach...

– Chodzi mi o to, że wszyscy cieszą się na święta, ale tylko ja zapieprzam jak dziki osioł! – syczę, a on się krzywi.

– Znowu to samo, co?! Ta sama gadka od lat, przedświąteczna histeria?! Nie chcesz, to nie rób! Zjemy pizzę i barszcz z kartonu – rzuca mi w twarz, a ja parskam śmiechem.

– Pizzę i barszcz z kartonu, jasne, zwłaszcza w Wigilię! Twoja bezczelność jest wręcz niewiarygodna! – cedzę. – Gdzie dzisiaj byłeś, jeśli można wiedzieć?! Rano mówiłeś, że skończyliście już projekt i wyjdiesz z pracowni znacznie wcześniej.

– W myjni! W myjni byłem! Umyć auto, żeby twój tatko nie robił sarkastycznych uwag, kiedy zajedziemy do nich w pierwszy dzień świąt!

– Nie musimy jechać, łaski nie robisz.

– Nie? I co, znowu będziemy przed nimi udawać, że mamy ciężką grypę, jak rok temu? – śmieje się Mateusz.

– To był twój pomysł – przypominam mu, a on wzrusza ramionami.

– Owszem i przyznaj, że całkiem niezły – mówi, wyraźnie z siebie zadowolony, po czym zdejmuje marynarkę, zawiesza ją na oparciu krzesła i zaczyna rozpinąć elegancką prążkowaną koszulę, którą kupiłam mu na imieniny. – Wybacz, idę pod prysznic – dodaje, po czym pochyła się, wyłącza komputer i zostawia mnie samą w swoim gabinecie.

To, że wyłączył komputer, daje mi do myślenia. Zastanawiam się, co ciekawego znalazłabym w jego skrzynce mailowej, gdybym miała okazję ją przeszukać. Później zerkam na pełen wydruków i teczek z dokumentami blat biurka i widzę jego nową komórkę – telefon zostawił, pewnie uznał, że i tak nie znam kodu dostępu.

Sięgam po niego i zagryzam usta. Wiem, powinno się ufać mężczyźnie, z którym od ponad dwóch dekad sypia się w jednym łóżku, ale odkąd Mateusz mnie zdradził, zaufanie uleciało bezpowrotnie. I to z kim! Z dwudziestojednoletnią barmanką! Na wspomnienie tej gówniary, która miała czelność kręcić się wtedy nawet przed naszym domem, płoną mi policzki! To było tuż po moich czterdziestych urodzinach, trudny dla mnie czas połączony z wycięciem guza z lewej piersi. I właśnie wtedy mój własny mąż wbił mi nóż w plecy... Do dziś nie wiem, gdzie poznał tę zdzirę. Pewnie w pubie, bo gdzie w końcu można poznać barmankę? Dowiedziałam się o nich, bo ta puszczalska flądra sama mi powiedziała – zapewne liczyła na to, że kiedy poznam prawdę, zakończę nasze małżeństwo, a on będzie wolny, ale przeliczyła się – Mateusz zerwał z nią, nie ze mną, a w ramach zadośćuczynienia kupił dla nas ten dom nad jeziorem, znacznie większy i bardziej komfortowy niż czteropokojowa willa po drugiej stronie miasta, w której dotąd żyliśmy. Cóż, trzeba przyznać, że miał gest, ale ja i tak ciągle nie potrafię mu wybaczyć. Nowego domu też jakoś szczególnie nie lubię, choć jest pięknie położony i naprawdę ładnie urządzone. Zbyt dobrze chyba pamiętam powód, dla którego się tu przenieśliśmy, i nie umiem zapomnieć upokorzenia, jakie mi wtedy zafundował...

Obracam w dłoni telefon męża, wbijam PIN, który złożyłam z daty urodzin naszego syna, ale komórka się nie odblokowuje.

– Poważnie? Wow! – Słyszę za plecami głos Mateusza i telefon wypada mi z ręki na dywan.

Mąż go podnosi, odblokowuje odciskiem palca i wręcza mi. Jest w samych bokserkach, więc musiał tu zajść, zanim wszedł pod prysznic, być może wrócił się po telefon, albo chciał zabrać coś z jednej z szuflad.

- Proszę, czytaj! Sprawdź moje esemesy, przejrzyj zdjęcia, zabaw się w śledczą! - warczy, wkładając mi komórkę do ręki, chociaż świetnie wie, że teraz, kiedy mnie przyłapał, raczej tego nie zrobię.

- Spierdalaj! - rzucam mu prosto w twarz, odkładam aparat na biurko i z płaczem wybiegam z jego gabinetu.

Moje małżeństwo jest fikcją, wiem to od bardzo dawna. Mąż mnie już nie kocha, a ja? Ja chyba też nie kocham jego, ale ciągle żądam od niego lojalności i wiernego trwania u mojego boku. Zawaliłam przez niego medycynę, nie zostałam lekarką, urodziłam mu dwoje dzieci i od lat prowadzę mu dom, więc tak, chcę, żeby przy mnie trwał bez względu na wszystko, bo z całą pewnością nie zamierzam zostać czterdziestokilkuletnią rozwódką bez stałej pracy, oszczędności i perspektyw na przyszłość! Nie, kochany, tak dobrze nie ma! Oddałam ci całe moje życie, więc będziesz przy mnie trwać, mówię sobie i mściwie się uśmiecham. Wiem, że on też się męczy. Czasem, kiedy na niego patrzę, widzę ten jego udręczony męczyński wyraz twarzy, z którym obnosi się po domu, ale im bardziej jest mu źle, tym większą czuję satysfakcję. Ja też nie jestem szczęśliwa, więc przynajmniej jest nas dwoje. Małżeństwo to piekło za głucho zaryglowanymi drzwiami. A im bardziej się człowiek w nim szarpie, tym gorzej dla niego. Dlatego staram się pogodzić z losem i dostrzegać to, co najlepsze. Mam zdrowe, udane dzieciaki, piękny dom i przystojnego męża - architekta. Tyle widzą inni, z zewnątrz. Tego, co od lat noszę w sercu, dostrzec nie zdołają. Świat wie o nas tyle, ile my sami mu powiemy - ta stara prawda bardzo mnie pokrzepia. Może wśród czterech ścian nowego domu czuję się zahukaną, niekochaną i niedocenianą kurą domową, ale dla świata jestem kobietą, która ma wszystko, myślę i od razu poprawia mi się nastrój.

- Nie zdradzam cię, to tak do twojej wiadomości! - warczy Mateusz, wymijając mnie u podnóża schodów.

Brzmi całkiem przekonująco, ale już mu nie wierzę. Sama zresztą widziałam, jak któregoś popołudnia, jakiś miesiąc wcześniej, rozmawiał w uliczce z nianią Rosnerów. Gówniara kokietowała go, ile wlezie, nawijając świeżo przefarbowane na rudo włosy na palec i prężąc cyki. Świetnie znam takie jak ona - na tyłku kraciasta spódniczka w stylu pensjonarki, a w piczy ogień. Czasem mam niemal pewność, że Mateusz zdążył ją już ukradkiem zaliczyć, ale boję się dłużej o tym myśleć. Gdyby to była prawda, gdyby zrobił to tu, pod nosem sąsiadów i znajomych, ostatecznie mnie upokarzając, chyba bym go zabiła, myślę, ocierając pojedynczą łzę. Nie, nie będę płakać! Wręcz przeciwnie, cyrk jedzie dalej. Przygotuję te pieprzone święta, wskoczę w nową czerwoną kieckę i będę udawać szczęśliwą żonkę z bogatych przedmieść. Większość kobiet przez długie lata świetnie odgrywa tę rolę, więc czemu i ja nie miałabym tego robić? - mówię sobie, poprawiając włosy. Ostatnio przefarbowałam się na platynę i całkiem nieźle się w niej czuję. Mężczyźni kochają blondynki, czyż nie? Uśmiecham się krzywo, polykając łzy.

4

KAROLINA

Uwielbiam taki zaśnieżony, bajecznie zasypany białym puchem las, drzewa uginające się od śnieżnych czap i tę cudowną, kojącą ciszę – kiedy sypie, świat wydaje się znacznie bardziej cichy, jakby zastygał w zachwycie... Tego popołudnia nie biegam, śniegu napadało zbyt wiele, a ja lubię przemierzać ulubione trasy w adidasach. W zamian wkładam znoszone śniegowce, wbijam się w starą kurtkę i z kijkami w dłoniach ruszam nad jezioro, skąd zamierzam wspiąć się skarpą wyżej, do pobliskiego lasu, i dalej, nad kolejne, nieco większe jeziorko, które znajduje się w okolicy naszego osiedla. Idę szybko, mróz szczypie mnie w policzki, powietrze jest krystalicznie czyste, przyjemnie się nim oddycha. Jest po piętnastej, niedługo zacznę się ściemniać, ale znam już tę okolicę jak własną kieszeń – wprowadziliśmy się tu jako jedni z pierwszych, a ja dosłownie od pierwszego dnia naszego pobytu biegam wokół tych jezior, szwendam się po leśnych traktach, zbieram grzyby, jarzębinę i szyszki, delectuję się ciszą i pięknem natury. Kocham to miejsce, czuję się tak, jakbym żyła w bajce. Niecałe dwa kilometry dalej są już przecież obrzeża tętniącego życiem miasta – olbrzymi supermarket, ruchliwe rondo, szkoła, przystanki i myjnie samochodowe, ale tu, pośród tych sosnowo-jodłowych lasów, czuję się wspaniale.

Zbliżając się do większego z jezior, zwalniam i opieram się o pień igłaka, którego ciężkie od śniegu gałęzie opadają do ziemi. Oddycham głęboko, starając się przeczekać nagły, kłujący ból w boku, kiedy kilkanaście metrów ode mnie widzę reflektory zbliżającego się samochodu. Musiał wjechać w las od strony szosy, po co? Nie mam pojęcia... Mrużę oczy i zastygam w bezruchu, a z auta wybiega młoda dziewczyna w złotej kurtce. Tuż za nią wysiada dobrze zbudowany wysoki mężczyzna. Podchodzę bliżej, kulę się osłonięta gałęziami jodeł, czuję się w zapadającym zmroku, podświadomie czując, że scena, której jestem mimowolnym świadkiem, nie jest przeznaczona dla postronnych oczu.

Dziewczyna sprawia wrażenie przestraszonej, co widać w jej ruchach, nawet w gęstniejących ciemnościach widzę, że coś jest nie tak. On zachodzi jej drogę, coś do niej mówi. W pierwszej chwili chcę jakoś zareagować, pomóc jej, a przynajmniej wyjść z ukrycia, żeby nie czuła się zagrożona, ale wtedy rozpoznaję faceta – świetnie wiem, kim jest, i z całą pewnością nie chcę się mieszać w jego sprawy. Ona biegnie w bok, jest spanikowana, rzuca się między drzewa w stronę prześwit, nad jezioro. Dopiero wtedy dociera do mnie, w jak wielkim znajduje się niebezpieczeństwie. Krzyk więźnie mi w gardle, ale ona jest już na ukrytym pod grubą warstwą śniegu lodzie, z czego chyba nie zdaje sobie sprawy... Chcę ją ostrzec, mimo wszystko robię pierwszy niepewny krok w jej stronę i wtedy pęka pod nią lód, a ona, wyrzucając w górę ręce, wpada pod jego taflę. On coś za nią krzyczy, chyba chciał ją ostrzec. Widzę, jak niepewnie podchodzi nad sam brzeg jeziora i robi kilka kroków po lodzie, ale zaraz się cofa. Później znajduje gruby kij i wraca tam, gdzie stał wcześniej, ale nie robi nic

ponadto. Nie mam przy sobie telefonu, więc nie mogę zadzwonić po pomoc, zresztą, nie ludźmy się – dla niej jest już najprawdopodobniej za późno. Kucam za jednym z największych świerków, modląc się w duchu, żeby nic nie zdradziło mojej obecności w lesie. Teraz już wiem, że cokolwiek między nimi zaszło, skończyło się śmiercią dziewczyny, a za to grozi kryminal. Jemu na pewno, przecież nawet nie udawał, że udziela jej pomocy, nie zrobił nic. A mnie? Kurwa...

Przygryzam wargę, cała się trzęsę. Jest mi gorąco i zimno jednocześnie, wokół mnie czają się tysiące cieni – nagle dobrze mi znany las w pobliżu domu z bajecznej, zasypanej śniegiem krainy zamienia się w złowrogie, obce terytorium.

Widzę, jak on idzie do samochodu, opiera się o maskę, jakby zbierał siły, po czym wsiada i odjeżdża. Telefonu nawet nie wyjął – albo, podobnie jak ja, nie miał go przy sobie, albo nie chciał nigdzie dzwonić, albo stwierdził, że jest za późno, ciężko powiedzieć... Kiedy reflektory jego wozu omiatają pobliskie drzewa, kulę się jeszcze bardziej i chociaż wiem, że to głupie i niczym nieuzasadnione, niemal nie oddycham.

Odjeżdża, po tym jak wolno wycofał, a ja powoli wyłaniam się zza drzewa i zerkam w kierunku jeziora, jednak zasypana śniegiem tafla jest pusta – dziewczyna z całą pewnością nie zdołała się wyczołgać z przerębla, nie widzę żadnego ciemnego kształtu na wszechobecnej bieli, najprawdopodobniej ona jest już martwa... Coś ściska mnie w gardle, wstrząsa mną szloch. Gdybym została dziś w domu, jak sugerował mi mąż... Gdybym nie wyszła szwendać się po tych cholernych lasach, nie napytałabym sobie biedy. Ale stało się, zostałam mimowolnym świadkiem, sama w sumie nie wiem czego. To mógł być wypadek. Być może on się do niej dobiegał, ona uciekła, nie wiedząc, że pod śniegiem jest lód i wpadła do wody. Co nie zmienia faktu, że najprawdopodobniej jest nieodwracalnie martwa, a lada dzień zacznie jej szukać policja. Nagle myślę o nim. Nie znam go zbyt dobrze, ale wiem jedno – jest mi potrzebny, bez niego nie wypali nasz plan, dlatego muszę milczeć. Nie wydam go, słowem nikomu nie zdradzę, że wyszłam z kijkami. Mężowi być może kiedyś powiem prawdę, jemu tak. Ale innym będę łącać w żywe oczy, kłamać, że pomylili dni, bo ja akurat w to popołudnie siedziałam w domu, nie w lesie, postanawiam.

Z lasu wychodzę wąską ścieżką, z dala od drogi, później wracam do siebie, starając się pozostać niezauważona, i chyba mi się to udaje.

W domu w pośpiechu zrzucam śniegowce, zanoszę je do garażu i chowam za drewniane skrzynki pod oknem, zostawiam tam również kurtkę, którą upycham do jednej ze skrzyń, i kijki. Ręce trzęsą mi się tak, że z trudem przekręcam klucz w garażowych drzwiach.

Później bezszelestnie wchodzę na piętro, zrzucam resztę ciuchów i wślizguję się do łazienki, gdzie daję upust łzom. Dziewczynę również rozpoznałam po tej jej puchówce. Złota, tandetna, a jednak jakoś do niej pasująca... To ta studentka anglistyki, niania Rosnerów, pary z sąsiedztwa, z którą się przyjaźnimy.

– Karola? – Kiedy mąż niespodziewanie stuka w łazienkowe drzwi, z mojego gardła wyrывa się ochryply krzyk, wciąż jestem roztrzęsiona i przestraszona.

– Kapię się! – odpowiadam mu w nadziei, że mój głos brzmi normalnie.

– Kapiesz się, kotku? Miło, nie powiem. – Robert, niezaproszony, wślizguje się do łazienki, zrzuca szary dres, który ma na sobie i wchodzi do pełnej pary kabiny prysznicowej. –

Przyłączę się, o ile nie masz nic przeciwko – mruczy, obejmując mnie od tyłu, a jego dłonie chwilę później pieszczą moje piersi, gładzą brzuch i wślizgują się między moje uda. – Drżysz – mówi cicho, zanim przygryza płatek mojego ucha.

– Przemarżłam – kłamię, a on całuje mnie w szyję.

Zamykam oczy, pozwalam mu na wszystko – jego czuły, tak dobrze mi znany dotyk, lecący z deszczownicy przyjemnie ciepła woda i otulająca nas para sprawiają, że odcinam się od całego świata, na jedną krótką chwilę pozwalam sobie na luksus poddania się czystej przyjemności i chociaż przed oczyma wciąż przewija mi się upiorny film z zaśmiezonego lasu, kiedy mąż się we mnie wbija, krzyczę z rozkoszy, a przez dół mojego brzucha przepływa przyjemny skurcz. Kochamy się szybko, w milczeniu. Oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że najprawdopodobniej lada moment wróci Michalina, nasza osiemnastoletnia córka, która ciągle z nami mieszka, a z całą pewnością nie chcielibyśmy zostać przyłapani na wodnych igraszkach.

– Nie mów nikomu, że wyszłam dziś z kijkami – proszę Roberta po tym, jak kończymy się kochać, a on nakłada na moje włosy szampon i delikatnie, kolistymi ruchami rozmasowuje go na skórze mojej głowy.

– A to jest jakaś tajemnica? – Mój mąż jest chyba mocno zaskoczony i wyraźnie chce wiedzieć więcej.

– Robert, to poważne. Proszę, nie mów nikomu – powtarzam z naciskiem i odwracam się twarzą do niego. – Nikomu ani słowa. Dziś po południu byliśmy w domu, słyszysz? Oglądaliśmy film, powiedzmy *Dom Gucci*. U nas w salonie, z miską paprykowych chipsów leżącą pomiędzy nami.

– Karolina, co się dzieje? – Ręce Roberta nagle nieruchomieją i zostają ze spienionym szamponem na głowie.

– Muszę to zmyć, daj mi chwilę – proszę.

Później samodzielnie myję włosy, sięgam po olbrzymi frotowy ręcznik w kolorze brudnego różu, którym się owijam, i wychodzę z zaparowanej kabiny.

Robert zostaje w środku, teraz on sięga po szampon, wyciska na dłoń jego porcję i zaczyna wmasowywać w skórę głowy. Wycierając się, zerkam w jego stronę i zastanawiam się, jak wiele powinnam mu powiedzieć, o ile w ogóle cokolwiek...

Później wyjmuję z szuflady suszarkę, podłączam ją do prądu i zabieram się za suszenie moich ciemnoblonde włosów, które niedawno obciąłam do ramion. Normalnie wyciągnęłabym je na szczotkę, pasmo po pasmie, nadając im pożądaną kształt, ale tego dnia jestem zbyt rozbita, żeby myśleć o fryzurze, i po prostu je suszę, a następnie niedbale spinam różową plastikową klamrą, nie przejmując się efektem.

– Dobra, więc oglądaliśmy dziś *Dom Gucci*, jedząc paprykowe chipsy – powtarza Robert, wynurzając się z obłoku pary, a ja rzucam w niego ręcznikiem, w który przed momentem się wytarłam. – Co piliśmy? – pyta, osuszając nim włosy.

– Colę – mówię, wkładając majtki.

– Light?

– Zwykłą. Paprykowe chipsy, zwykła cola, *Dom Gucci*, zapamiętasz?

- Pomijając całkiem dobre kino, to bardzo niezdrowy zestaw. - Robert puszcza mi oczko i zaczyna wycierać plecy.

Kiedy to robi, uśmiecham się pod nosem. Jesteśmy małżeństwem ponad dziewiętnaście lat, a ja nadal go pragnę. Ile par ma tak wiele szczęścia? - zastanawiam się, na chwilę skupiając uwagę na jego zadbanej, wysportowanej sylwetce, którą dopieszcza w pobliskiej siłowni, kilka kilometrów stąd. Forest Hill nie oferuje tego typu infrastruktury - nie mamy tu sklepów, klubów fitness czy chociażby budki ze świeżym pieczywem, są tylko stojące w dwóch rzędach rezydencje nad jeziorem, ale mnie nigdy to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, dzięki temu nasze osiedle wydaje się bardziej hermetyczne i elitarne.

- Powiedz mi, co się stało - prosi mnie mąż, zanim sięga po rzucone wcześniej na podłogę spodnie od szarego dresu. - Jesteś mi winna prawdę, jeśli mam ci zapewnić alibi. Karola, mówię poważnie. Przerażasz mnie taka. - Przyciąga mnie do siebie i całuje w usta. - Coś się dziś stało w lesie? I komu miałbym opowiadać wszystkie te kłamstwa o chipsach i filmie?

- Policji - mówię, a on odsuwa mnie na długość ramienia i uważnie, z powagą spogląda mi w oczy.

- Co? - Parska nerwowym śmiechem, bo chyba jeszcze się ludzi, że sobie z niego żartuję.

- Policji - powtarzam śmiertelnie poważnym głosem, a później dodaję, że byłam w lesie świadkiem czegoś, czego nigdy nie powinnam widzieć.

- Ktoś kogoś zabił czy jak? Jakiś koleś pomylił sąsiada z dzikiem? - Robert wysila się na kiepski żart, chociaż oboje świetnie wiemy, że w tych lasach nikt nie poluje, a już na pewno nie nasi snobistyczni, jeżdżący luksusowymi autami sąsiedzi, którzy zapewne nigdy nie mieli w rękach broni palnej, a jeśli już, to co najwyżej na strzelnicy, pod czujnym okiem instruktora.

- Niebawem się domyślisz - mówię. - Będą kogoś szukać, już wkrótce.

- Karola, zaczynasz mnie wkurwiać! - Mąż nagle łapie mnie za ramię, w jego szarych oczach błyska gniew, dawno nie widziałam go takiego rozszoszczonego. - Chcę wiedzieć, co się stało! - nalega. - Nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Nigdy, słyszysz?!

- Kiedyś ci powiem - obiecuję, gładząc go po nieogolonym policzku. - Kiedyś, dobrze? I spokojnie, to w żaden sposób nie dotyczy nas. Po prostu obiecaj mi, że gdyby ktoś pytał, gdzie dziś byliśmy, powiesz dokładnie to, co ustaliliśmy.

- A jeśli to sprawdzą? - pyta nagle on.

- Co? - dziwię się.

- Myślisz, że można ustalić, czy ktoś naprawdę oglądał dany film?

- Nie wiem - waham się.

Po czym w pośpiechu wkładam wyjętą z kosza na brudną białozę bawełnianą sukienkę, schodzę na dół, włączam laptop, loguję się na mój profil HBO Max i znajduję w wyszukiwarce *Dom Gucci*. Później przewijam prawie na sam koniec i wyłączam kilka minut przed finałem, żeby obraz zapisał się w ostatnio oglądanych.

- Nie dokończyliśmy - instruuję męża. - Gdyby co, oglądaliśmy to już wcześniej i wiemy co i jak.

- A nie dokończyliśmy bo? - pyta Robert, który zdążył zejść za mną na dół i stoi obok.

- Bo poszliśmy pod wspólny prysznic. - Uśmiecham się blade, a on znacznie szerzej.

- To na pewno zapamiętam - zapewnia mnie.

- Zrobiłbyś mi herbatę? - pytam cicho.

- Jasne, zrobię też jajecznicę. Karola, przysięgasz, że to nas nie dotyczy?

Przysięgam więc, a on wyraźnie się odpręża i idzie do kuchni.

Kiedy zostaję sama, przez chwilę przyglądam się choince. Drzewko jest olbrzymie, jego zwieńczony złotą gwiazdą czubek niemal sięga sufitu, a rozłożyste gałęzie zajmują sporo przestrzeni w kącie naszego minimalistycznie urządzonego salonu. Kupiliśmy ją już dwa tygodnie temu, wszyscy zawsze uwielbialiśmy wspólnie ubierać choinkę, a kiedy teraz się w nią wpatruję, wszystko to, co spotkało mnie w lesie, wydaje się tylko odległym, złym snem. Nie, to się przecież nie mogło wydarzyć naprawdę, mówię sobie i zamykam oczy, kurczowo zaciskając powieki, jakbym chciała odgrodzić się od przerażających wspomnień.

Później siadam na sofie i wdycham intensywny zapach jedliny. Lada moment Boże Narodzenie, a gdzieś pod lodem leży martwa dziewczyna... Ale nikomu o niej nie powiem, nie mogę. Ja niczego nie widziałam, niczego nie wiem - powtarzam sobie kilka razy i chociaż czuję się przez to najpodlejszym człowiekiem świata, wiem, że tak trzeba. Nie mam innego wyjścia, muszę milczeć. Świat tak już jest urządzone, że każdy chroni własny tyłek. Ja też nie będę się wychylać.

5

DAGMARA

Piotr dzwoni na moją komórkę z piętra, akurat wtedy, kiedy jedną po drugiej wyjmuję z dużego tekturowego pudła kilka świątecznych ozdób, w tym przywiezionego przez nas rok wcześniej ze świątecznego jarmarku w Gdańsku drewnianego dziadka do orzechów w szarym czerwonym uniformie ze złotkami.

- Tak, kochanie? - pytam, walcząc jednocześnie ze splątany srebrnym łańcuchem, który zamierzam opleść wokół rosnącej przed domem jodły.

Większość świątecznych dekoracji jest już na swoich miejscach, ale tak bardzo mnie cieszą te nasze pierwsze święta pod nowym adresem, że ciągle coś dokładam, zmieniam i poprawiam, odkrywam upchnięte na dnie garderoby pudełka z ozdobami, o których zapomniałam, i nieustannie dopieszczam całość.

- Słuchaj, położyłem się, bo fatalnie się czuję - oznajmia mi mąż.

- O raju, oby to nie było grypsko. - Aż się wzdrzgam na myśl o takiej paskudnej opcji, która w mniejszym lub większym stopniu zrujnowałaby nam święta.

- Nie, raczej nie. Prędzej jakiś mniej groźny wirus. Niedobrze mi, boli mnie głowa i mam lekkie dreszcze. Nie dotarłem nawet do sklepu po te światełka, bo po drodze zwymiotowałem w zaspę i zawróciłem - tłumaczy. - A wiesz, że często rzygam, kiedy łapię jakieś paskudztwo - dodaje.

Głos ma zbolący, znając go, pewnie łąda moment oznajmi, że umiera, dla niego nawet katar jest niemal śmiertelną chorobą, wiadomo - facet...

- Kotku, przykro mi. Zaparzyć ci miętowej herbaty? Potrzebujesz jakichś leków? - pytam ze współczuciem w głosie.

- Nie, po prostu muszę się przespać. Pilnuj dzieciaków i nie czekajcie na mnie z kolacją - prosi mnie, po czym się rozłącza.

Coś go bierze, no tak... To dlatego wrócił tak wcześniej i od razu pognął na górę, gdzie na dobre się zaszył. Światełek nie kupił, trudno. Znajdę jakieś inne, upchnięte gdzieś na dnie garderoby, albo sama je dokupię dzień później, myślę, stawiając wyjętego z pudełka dziadka do orzechów na masywnym kuchennym kredensie, w którego przeszklonej witrynie dumnie prezentują się komplety talerzy Rosenthala otrzymane przez Piotra w prezencie ślubnym od rodziców.

- Jaki ładny żołnierzyk. - Nineczka zachwyca się figurką, a ja posyłam jej rozbawiony uśmiech.

- To dziadek do orzechów, kiedyś ci o nim poczytam - obiecuję, notując w duchu, żeby kupić dla niej książeczkę na przyszłe święta.

W tym roku mogłaby jeszcze niewiele z niej zrozumieć, ale za rok czy dwa...

- A gdzie jest tatuś? - pyta nagle Ninka, po tym, jak traci zainteresowanie stojącą na kredensie ozdobą.

- Śpi, źle się czuje. A ty? Nie boli cię gardelko? - upewniam się, ale dziewczynka zaprzecza. Chociaż tyle, myślę.

Daniel wraca z łyżew, kiedy zabieram się za robienie ciasta Stollen - w moim rodzinnym domu nigdy nie mogło go zabraknąć na Boże Narodzenie, a ja staram się podtrzymać smakowitą tradycję i rokrocznie przygotowuję tę pełną kandyzowanych owoców, rumu, bakalii i wanilii drożdżową struclę, którą zawsze uwielbiałam. Jej smak kojarzy mi się z ukochaną babcią Rozalią, wspomnieniami dawnych rodzinnych wigilijnych wieczerzy i wszystkim, za czym czasem bardzo tęsknię.

- Zmarzłeś? - pytam pasierba, który zjawia się w kuchni z zaróżowionymi od mrozu policzkami, w śmiesznym swetrze z reniferem na piersi, który dostał rok wcześniej od swojej byłej już obecnie dziewczyny Martyny.

- Trochę - przyznaje.

- Głodny?

- No, pytanie - szczerzy się mój pasierb, zapewne licząc na to, że coś mu przygotuję, ale jestem zbyt zajęta ciastem.

- Odgrzej sobie parówki i dojedz bagietkę - proszę go, a on się krzywi i wywraca oczami, ale posłusznie idzie w stronę lodówki.

- Jak było na lodowisku? - pytam.

- Fajnie. Później skoczyliśmy jeszcze pokręcić się po centrum i zrobić zdjęcia świątecznym iluminacjom.

- Miło ze strony taty Igora, że zabiera was na łyżwy, a później jeszcze... - urywam w połowie zdania, bo zupełnie niespodziewanie rozlega się dzwonek do drzwi. - Zapraszałeś kogoś? - pytam, a Daniel przecząco kręci głową.

Wycieram więc dłonie w fartuszek i idę do przedpokoju.

Kiedy otwieram frontowe drzwi, dostrzegam stojącego przy furtce młodego, jasnowłosego mężczyznę. Rozpoznaję go sekundę później - to Leon, facet naszej niani. Znam go ze zdjęć, Kaja ciągle pokazuje mi w telefonie jakieś jego fotki, jest tak uroczo w nim zakochana, że to aż rozczulające. Na zewnątrz jest ciemno, ale uliczna latarnia daje na tyle światła, żebym nie miała wątpliwości, kto się u nas pojawił.

- Dobry wieczór! - krzyczę, machając do niego, a on pyta, czy jest u nas Kaja.

- Kaja? Skąd! Wyszła jakieś dwie i pół godziny temu! - odpowiadam i w pośpiechu zdejmuję z wieszaka kurtkę Piotra, żeby otworzyć mu furtkę. - Proszę, niech pan wejdzie - mówię, kiedy już docieram do ogrodzenia, a on wchodzi do naszego zaśnieżonego ogrodu, przedstawia mi się i idzie za mną odsnieżoną kamienną ścieżką do frontowych drzwi.

Na myśl, że Daniel sam z siebie, nieproszony, znalazł w garażu łopatę i odgarnął śnieg, uśmiecham się pod nosem - to jednak dobry dzieciak, chociaż czasem krnąbrny i nieco bałaganiarski.

Leon wygląda na wyraźnie zdenerwowanego i mocno przemarzniętego. Kiedy ściąga buty widzę, że trzęsą mu się ręce. Biorę od niego kurtkę, zawieszam ją obok tej męzowskiej, którą

sama przed momentem zdjęłam, i zapraszam go do kuchni.

- Zrobię herbatę, wygląda pan na przemarzniętego - mówię, a on uśmiecha się z wdzięcznością i zerka na swój telefon, który trzyma w ręku.

- Nadal nic. Jej komórka ciągle poza zasięgiem, ona nie oddzwania...

- Może uciekł jej autobus - sugeruję.

- Nawet jeśli, już dawno dotarłaby do mieszkania. Dziś goszczę mamę z jej nowym mężem, Kajka wiedziała, że to dla mnie szczególnie ważny wieczór. Miała być na sto procent i pomóc mi w ostatnich przygotowaniach, ale jej telefon jest poza zasięgiem, a ona sama przepadła. Dlatego przyjechałem tutaj, pomyślałem, że może coś się stało albo pani coś wie...

- Przepadła? Okropne słowo - wzdygam się, słysząc to, co mówi. - Może wpadła na kogoś znajomego, zaszli gdzieś na piwo, stracili poczucie czasu albo...

- Kaja zaginęła, rozumie pani?! - wchodzi mi w słowo Leon, teraz jego głos jest ostry, przepełniony niepokojem, a z jasnych oczu wзира strach. - Kiedy widziała ją pani ostatni raz? - pyta, przeczesując palcami krótkie jasne włosy, a ja włączam czajnik i siadam naprzeciwko niego przy pełnym ozdób kuchennym stole. Bożonarodzeniowe bibeloty, wszystkie te złożone kokardki, pierniki z plastiku, bombki i łańcuchy wyglądają tak radośnie i świątecznie, co w tych okolicznościach wydaje mi się niemal upierne i bardzo nie na miejscu... Ale czy wyciągając je, mogłam przewidzieć, że lada moment czeka mnie tak trudna rozmowa?

- Było jakoś po piętnastej, kiedy od nas wyszła - mówię, nie mając nawet cienia wątpliwości co do godziny. - Kwadrans po trzeciej miała mieć autobus, zawsze bardzo pilnuje godziny, żeby jej nie uciekł.

- Wsiadła do niego?

- Nie wiem, nie widzę pętli z okna, ale zakładam, że tak. Myślę, że wyszła stąd na tyle wcześniej, żeby go złapać.

- A jeśli nie?

- Jeśli nie, najprawdopodobniej poszła pieszo wzdłuż drogi, żeby złapać linię jeżdżącą znacznie częściej. Czasem, kiedy uciekał jej autobus, a było zimno, wracała do nas, żeby przeczekać tę godzinę w naszym salonie i niepotrzebnie nie marznąć na zewnątrz, ale bywało, że szła wzdłuż szosy, docierała do ronda przy supermarkecie za lasem i wsiadła do sto osiemnastki. Zadzwońię do niej - decyduję, czując narastający niepokój, ale mimo że dwukrotnie wybieram jej numer, telefon Kai ciągle jest poza zasięgiem. - Nic... - mówię cicho, a Leon nerwowo bębni palcami w blat stołu.

- Myśli pani, że coś mogło jej się stać? - pyta.

Głos mu się łamie, chłopak jest przejęty i zrozpaczony, a kiedy go słucham, sama zaczynam się niepokoić...

- Chryste, mam nadzieję, że nie. - Jego obawy są naprawdę przerażające. - Poszukamy jej, okej? Ubiorę się, zawołam pasierba i zaczniemy się za nią rozglądać - mówię.

Chwilę później dociera do mnie, że w takim układzie muszę też zabrać Ninę albo obudzić Piotra, żeby miał na nią oko. Nie, niech Daniel zostanie z małą, a ja pomogę Leonowi szukać, decyduję w duchu, ale facet Kai ma inny plan.

- Proszę zostać w domu, z dziećmi, na razie sam się rozejrzę po okolicy - rzuca, w pośpiechu wstając od stołu.

- Herbata! - Nagle przypominam sobie, że nawet jej nie zaparzyłam, ale mój gość nie chce tracić czasu.

- Pozwolę sobie zajrzeć jeszcze do pani za jakiś czas, teraz chciałbym się przejść po domach, porozmawiać z ludźmi - dodaje.

Pozwolę sobie do pani zajrzeć... Jego słownictwo zdradza, że nie pochodzi z byle jakiej rodziny - widać to w każdym jego geście, słychać w tym, jak mówi.

- Dobrze - zgadzam się z nim i od razu czuję się fatalnie na myśl o nieklamanej uldze, jaką odczuwam, kiedy dociera do mnie, że na razie nie muszę wychodzić z ciepłego, pachnącego wanilią domu w tę zadymkę.

Jasne, martwię się o Kaję, ale przecież znam ją nie od dziś. W opiece nad Niną jest zorganizowana i do perfekcji niezawodna, ale prywatnie bywa chaotyczna, roztrzępana i trzpiotowata.

- Może pomyliła dni? - sugeruję, kiedy Leon przechodzi do holu i wkłada buty. - Może myślała, że ta kolacja z pana mamą jest jutro albo...

- Nie ma opcji - wchodzi mi w słowo. - Zresztą dzwoniłem do niej przed piętnastą, obiecała, że po drodze kupi parmezan. - Przepraszam panią za to najście, zwłaszcza w tak szczególnym przedświątecznym czasie - mówi jeszcze, zanim samotnie wychodzi w zadymkę.

Przez dłuższą chwilę, kuląc się z chłodu, stoję we frontowych drzwiach, śledząc go wzrokiem, i przygryzam wargę, zastanawiając się, co jeszcze mogę zrobić. Chłopak nie ma nawet czapki, pewnie w pośpiechu jej nie zabrał. Wygląda na zdesperowanego. Bardzo chcę mu pomóc, choć nie wiem, czy zdołam...

Kwadrans później nakazuję Danielowi dobrze pilnować Niny, ubieram się tak grubo, jakbym wybierała się na biegunkę północny i samotnie wychodzę przed dom.

Śnieg wciąż sypie, mokre, olbrzymie płatki osiadają mi na rękach, oblepiają kurtkę i spodnie. Widoczność jest fatalna, mroźne powietrze szczypie policzki. Brnę przez zasypane chodniki, nawet te, które były już tego dnia odśnieżane, znowu są pokryte białym puchem. Mijając budkę strażnika, pytam, czy widział dziś Kaję, ale słyszę tylko, że tędy przechodziła. Czy uciekł jej autobus, ochroniarz nie ma bladego pojęcia - było za zimno, żeby w ogóle wyglądać z budki, poza tym rozwiązywał wtedy akurat krzyżówkę, rzuca tonem, który raczej mnie nie zachęca do wciągania go w dalszą pogawędkę.

Na pętli jest pusto, na przeszklonym przystanku żywego ducha.

- Kaja! - wrzeszczę, zerkając w stronę pobliskiego lasu, choć świetnie zdaję sobie sprawę, jak niedorzeczne jest to, co robię.

Tu na pewno jej nie ma...

Stoję wśród nasilającej się zadyмки, niepewnie rozglądając się wokół, kiedy na szosie pojawiają się reflektory zbliżającego się do pętli autobusu, a ja zdaję sobie sprawę, że to akurat ta godzina, kiedy podjeżdża.

Z pojazdu, który zawraca na pętli, wpadając przy tym w lekki poślizg podczas skrętu, nikt nie wysiada, nikt też do niego nie wsiada - przy tak pieskiej pogodzie kto może, siedzi

w domu. Kierowca jest w środku, wygląda na zmęczonego. Podchodzę do autobusu i pukam w drzwi przy jego kabinie, które młody mężczyzna niechętnie otwiera.

- Skończyły mi się bilety, nie sprzedam - mruczy, zanim zdążę się odezwać.

Kiedy pytam o Kaję, nawet nie udaje zainteresowanego.

- Żadnej rudej dziewczyny w złotej kurtce dziś nie widziałem - rzuca tylko i zamyka drzwi, chcąc się odgrodzić od mrozu, wiatru i sypiącego do wnętrza pojazdu śniegu, a ja zdaję sobie sprawę, że kilka godzin wcześniej autobus mógł prowadzić ktoś zupełnie inny.

Dwie minuty później odjeżdża i znowu jestem sama na cichej, ciemnej pętli.

Przez chwilę żałuję, że do niego nie wsiadłam. Dzięki temu mogłabym się rozejrzeć w okolicach supermarketu. Później zastanawiam się, czy by pieszo nie ruszyć wzdłuż drogi aż do tamtego drugiego przystanku, skąd odjeżdża sto osiemnastka, ale szybko tracę do tego zapał. Jest niebezpiecznie ślisko. Samochody wpadają w poślizgi, poboczne jest wąskie i zdradliwe, a przyległe do szosy ściany lasu przerażająco ciemne, złowrogie... Nie chcę zostać potrącona i znaleziona w rowie, zamarnięta na śmierć. Nie zamierzam ryzykować życia tylko dlatego, że Kaja olała spotkanie w familijnym gronie, myślę. Bo przecież chyba nie zaginęła pomiędzy przystankami, na miłość boską?! To prosta droga, dziecko by się nie zgubiło - idzie się poboczem wzdłuż lasu, dociera do kolejnego ronda obok centrum handlowego i wsiada do autobusu, który, w przeciwieństwie do tego „naszego”, jeździ co kilka minut. Bułka z masłem, pocieszam się, starając się odegnąć wszystkie upiorne wizje, które pchają mi się do głowy.

Później samotnie wracam w stronę domu i z ulgą zamykam za sobą furtkę, z której metalowych sztachet spada odrobina białego puchu. Przeraźliwie zmarzłam i dosłownie zlodowaciały mi stopy. Nie zaziębę się na święta tylko po to, żeby za godzinę czy dwie, dowiedzieć się, że Kaja piła w jakimś pubie i właśnie wraca do mieszkania swojego faceta - skruszona, pijana i przemarznięta... Zanim poznała Leona była dość rozrywkowa. Świetnie ją pamiętam z tamtych czasów, pracowała już u nas, jeszcze kiedy mieszkaliśmy w centrum, dlatego teraz staram się nie panikować. To zaradna i przebojowa dziewczyna. Gdziekolwiek się podziewa, przetrwa, bo jest sprytna i wygadana, powtarzam sobie, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia i jakoś się pocieszyć. Nagle przychodzi mi do głowy coś, co mocno mnie niepokoi. A co, jeśli Kaja szła wzdłuż szosy i ktoś zaprosił ją do samochodu? - myślę. Szybko jednak dociera do mnie, że przecież nawet jeśli, to musiał być wyłącznie ktoś z naszego osiedla - ciągnąca się wzdłuż lasu droga wiodąca na drugi przystanek jest uczęszczana wyłącznie przez mieszkających w szesnastu domach nad jeziorem mieszkańców okolicznych rezydencji. Lekarze, prawnicy, architekci - elitarnie towarzystwo, żadnej patologii. Oczywiście ludzie miewają gości, zapraszają do siebie rodzinę, znajomych. Do tutejszych mężów i ojców dochodzi kilku dwudziestolatków, którzy niedawno dostali od rodziców auta i tłum samców się zagęszcza. O tych zupełnie przypadkowych, nieznajomych kolesiach, którzy mogli wjechać w drogę prowadzącą do Forest Hill i gdzieś w jej połowie zawrócić w stronę centrum, po drodze zgarniając idącą poboczem Kaję, wolę nawet nie myśleć... Czy nasza niania mogła wsiąść do auta nieznajomego faceta tylko dlatego, że jego wygląd budził zaufanie? - zastanawiam się, wyjmując z kredensu cukier. Później sięgam po komórkę i sprawdzam wiadomości, ale nie odezwali się ani Kaja, ani Leon, któremu dałam mój numer, zanim od nas wyszedł.

6

LEON

Został ostatni dom z ośmiu po tej stronie jeziora, myślę, wciskając dzwonek przy furtce. Później będę musiał przejść przez las, wzdłuż piknikowych polanek, boisk i placów zabaw dla dzieciaków, aż znajdę się po drugiej stronie, tam, gdzie w półkolu stoi kolejna ósemka domów. Zresztą, co ja mówię, domów? To pieprzone rezydencje, cud, że nie mają złotych klamek. I jeszcze ten upierdliwy dziadyga w budce strażnika – chyba przez dziesięć minut wyklócał się ze mną, że nie mogę wejść na teren osiedla, jeśli nie jestem zapowiedzianym gościem kogoś z rezydentów. To, że zagięła moja dziewczyna, niewiele go obeszło. „Znajdzie się, te młode ciągle się gdzieś zawieruszają” – skwitował jedynie, zanim zaszły się w swojej budce i łaskawie pozwolił mi zadzwonić do drzwi Rosnerów, pracodawców Kai. O odwiedzaniu innych domów nie było mowy, ale czego oczy tego dziada nie widzą... Uśmiecham się krzywo.

Kobieta z ostatniej willi po stronie jeziora, po której pracuje Kaja, otwiera mi w błękitno-różowym dresie, ze spiętymi wysoko jasnobłond włosami, wygląda to tak, jakby właśnie ćwiczyła. Jest po czterdziestce, ale bardzo atrakcyjna – widać taki już los żon trofeów z bogatych przedmieść – muszą o siebie dbać, żeby nie zostać wymienione na nowszy i jędrniejszy model.

- Niestety nie znam niani państwa Rosnerów, zresztą ich samych też dość słabo – mówi, kiedy już dociera do furtki, i drżąc z zimna w narzuconym na ramiona płaszczu, pyta, czy może jeszcze jakoś pomóc.

Sprawia wrażenie otwartej i sympatycznej kobiety, mam lekkie wyrzuty, że wyciągnąłem ją na mróz, ale nie mogę znaleźć Kai, do cholery, a to przecież ważniejsze od tego, czy zakłócam komuś wieczór, mówię sobie.

- Mam nadzieję, że pana dziewczyna szybko się znajdzie – dodaje jeszcze blondyna, przytupując, i zaczyna się wycofywać w stronę wejścia do domu. Jej mowa ciała sugeruje, że zdążyła już zmarznąć i nie ma ochoty poświęcać mi więcej czasu.

Dziękuję jej więc, a ona prosi, żebym zostawił jej swój numer.

- Na wypadek, gdybym czegoś się dowiedziała – tłumaczy, a ja zdaję sobie sprawę, że w jej głosie wyraźnie słyszę kokieteryjny ton. Mimo że drży z zimna, zachęcająco się uśmiecha i wstukuje namiary na mnie w swoją komórkę.

Wiem, podobam się kobietom, jestem przystojny i świetnie zbudowany, ale w takich okolicznościach? Nie do wiary! Żegnając się z nią szybko i energicznym krokiem ruszam wzdłuż ogrodzenia, aż wchodzę pomiędzy drzewa. Teren jest zadbane, pod nogami mam krętą kamienną ścieżkę, wszystko zostało zaaranżowane z największą troską o detale, żeby bogate snoby mogły sobie mieszkać wśród drzew i jednocześnie nie pobrudzić butów na spacerach po lesie. Obok ścieżki ciągnie się wewnętrzna droga – właściciele domów pod drugiej stronie jeziora również dojeżdżają do siebie od strony pętli, tą samą wąską uliczką, przy której stoi

dom Rosnerów i inne rezydencje. Moim zdaniem deweloper dał ciała, planując drogę wewnętrzną w ten sposób – jeśli coś zatamuje ruch na wysokości, powiedzmy, willi Rosnerów, ci z domów po drugiej stronie jeziora nie będą mogli wjechać ani wyjechać z osiedla. Nie żeby to był mój problem, uśmiecham się krzywo.

Jestem mniej więcej w połowie drogi do kolejnego domu, kiedy słyszę jakiś ruch za plecami i gwałtownie się odwracam.

– Co pan tu robi? To teren prywatny, nie można się tu szwendać! – naskakuje na mnie facet z wilczurem na smyczy.

Pies warczy, ale kiedy facet szarpie za smycz, uspokaja się.

– Mam zgodę ochrony – rzucam, ale to nie przekonuje właściciela psa, który przygląda mi się coraz bardziej podejrzliwie.

– Ma pan zgodę ochrony na włóczenie się po naszym prywatnym lesie? Raczej wątpliwe – rzuca kpiącym tonem.

– Moja dziewczyna nie wróciła do domu, pracuje u Rosnerów – mówię szczerze, a facet momentalnie zmienia nastawienie.

– Przykro mi – mówi. – Dzisiaj? – pyta, więc mówię mu co i jak, a on nagle przyznaje, że kojarzy Kaję. – Kilka razy rozmawialiśmy na pętli, czekając na autobus. Miła dziewczyna – dodaje.

Jego słowa od razu wzmagają moją czujność, każdy z tych bogaczy jest w moich oczach podejrzany, on również.

Pies szarpie za smycz, mężczyzna ponownie go uspokaja, czule gładzi łeb czworonoga.

– Jeśli jest pan pewien, że przepadła właśnie w naszej okolicy, postaram się zorganizować sąsiedzkie poszukiwania. Jeśli jest gdzieś w lesie, to na tym mrozie...

– Czemu miałyby być w lesie? – wchodzę mu w słowo.

– No nie wiem, głośno myślę. Skoro szuka jej pan tutaj, założyłem...

– Sam już nie wiem, gdzie mam jej szukać – przyznaję.

Jestem zdenerwowany, przemarznięty i zrozpaczony. Za kilka dni Boże Narodzenie, wokół migają choinkowe światełka, a snoby zamieszkujące rezydencje nad jeziorem z całą pewnością mają na głowach ważniejsze sprawy niż to, że Kaja gdzieś przepadła, myślę. Szybko jednak przypominam sobie jego propozycję zorganizowania poszukiwań i robi mi się nieco gupio. Może nie wszyscy tu są egoistycznymi dupkami?

– Niech mi pan zostawi swój numer. Jeśli się czegoś dowiem, zadzwonię – obiecuje facet z psem, podaje mi więc ciąg cyfr, a on dodaje, że nazywa się Jędrzej Bojarski, i żegnamy się pośrodku zaśnieżonego lasu.

Pół godziny później dzwonię do drzwi ostatniego domu, ale choć w oknach pali się światło, nikt mi nie otwiera.

Dochodzę więc do miejsca, w którym kończy się wewnętrzna asfaltowa droga, widzę głęboki jar rozdzielający ją od pobliskiej szosy i przy okazji rozumiem, czemu projektanci osiedla nie zdecydowali się zrobić wyjazdu również z tej strony, a później zawracam w stronę lasu.

W domach, które odwiedziłem, pachniało wypiekami, jedliną i korzennymi przyprawami, ale nigdzie nie znalazłem nadziei. Kaja przepadła, dociera do mnie i przez chwilę boję się, że zacznę płakać. Przed jej wyjściem do pracy się pokłóciliśmy. Ostro, nerwowo, naprawdę paskudnie. Nie chciała, żebym odchodził z restauracji, w której jestem szefem kuchni, i zakładał własny biznes. Przekonywała mnie, że to niepewne czasy i równie niepewny interes, poza tym nie podobało jej się, że zamierza mnie wziąć na współnika jedna z moich byłych lasek, Monika. Tłumaczyłem jej, że od dawna nic nas już nie łączy, a biznesplan mamy już gotowy i przemyślany, ale nie chciała słuchać. Wydarła się na mnie, a potem wyszła z mieszkania, trzaskając drzwiami. Przechodzi mi przez myśl, że może jej zniknięcie to próba odegrania się na mnie za tę awanturę? Szybko jednak rozumiem, że musi za tym stać coś więcej. Kaja taka nie jest, nie zrobiłaby mi czegoś podobnego tylko dlatego, że się pokłóciliśmy, zresztą, kiedy dzwoniłem do niej przed piętnastą, przeprosiłem, a ona rozmawiała ze mną całkiem normalnie i obiecała, że kupi parmezan.

Wybieram numer mamy, która razem z mężem numer dwa została w naszym mieszkaniu, ale niestety nie ma dla mnie żadnych dobrych wieści – nie, Kaja się nie zjawiała, nie, nic nie wiedzą, słyszę.

Wracam więc do Rosnerów, ale u nich też niczego się nie dowiaduję. Pan domu podobno jest chory i śpi na górze, nastoletni szczył – pasierb tej pisarki, gapi się w komórkę, a sama Dagmara wygląda na coraz bardziej zaniepokojoną, ale nie ma dla mnie żadnych konkretów.

Wychodzę więc na mróz, po tym, jak wypijam pół garnuszka gorącej herbaty, i z rękoma w kieszeniach ruszam w stronę pętli. Później ją mijam i wolno idę wzdłuż szosy, przyświecając sobie latarką z telefonu. Po obu jej stronach jest las, cisza wokół mnie wydaje się jednocześnie błoga i upiorna, śnieg skrzypi pod moimi stopami, mróz wdziera się do płuc. Nagle widzę drogę – wąską dróżkę prowadzącą w głąb lasu i mimo że moje buty są już całkiem przemoknięte, wchodzę na nią i ruszam pomiędzy drzewami, aż dociera do mnie, że to nie ma sensu. Zawracając, nie mam pojęcia, że jestem niecałe sto pięćdziesiąt metrów od przerebła, w który wpadła moja dziewczyna. Nie mogę tego wiedzieć, niewiele też widzę. Jest ciemno, wietrznie i naprawdę przeraźliwie zimno...

Wchodząc z powrotem na pobocze przy szosie, rozumiem, że pozostała mi wyłącznie ostatnia opcja, i chociaż naprawdę nie mam ochoty na rozmowę z tym sukinsynem, wybieram numer ojca. Nie rozmawialiśmy od ponad siedmiu lat, dokładnie od dnia, w którym stary oznajmił, że zostawia mamę dla tej tlenionej zdziry poznanej pod Warszawą podczas prowadzenia wyjątkowo zawikłanego i trudnego śledztwa. Znienawidziłem go wtedy i konsekwentnie unikałem spotkań z nim, aż w końcu i on przestał je proponować, ale teraz wiem, że tylko stary może mi pomóc. Jest prokuratorem, ma szerokie plecy, układy i pozycję, która może mi się przydać. Jeśli ktokolwiek może mi w tym momencie podać rękę, to wyłącznie on, mówię sobie. Chwilę później siadam na zwalonym pniu, z którego zgrabiąłem, nieobleczoną w rękawiczkę dłonią zgarniam śnieg, i przyciskam telefon do zmarzniętego ucha.

Ojciec odbiera dopiero po ośmiu sygnałach, w momencie, w którym tracę już nadzieję, że pogadamy.

- Synu? Rozumiem, że dzwoniisz z najserdeczniejszymi świątecznymi życzeniami? - rzuca sarkastycznym tonem.

Chyba coś sobie tego wieczoru chlapanął, słyszę to w jego głosie, wyraźnie przebija przez niego pijacka nuta.

- Kaja zaginęła - mówię.

A później tłumaczę mu, że to dziewczyna, z którą planowałem się zaręczyć, bo przecież z pewnością tego nie wie, chyba że zlecił mnie śledzić, jak lata temu zdarzało mu się to robić, kiedy chciał kontrolować mamę. Tak przynajmniej twierdził wujek, brat matki.

Opowiadając o naszych ślubnych planach, zaczynam szlochać, to wszystko jest takie upiornie nierealne, nie umiem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Starszy mnie uspokaja, chyba jednak się przejął. Sarkazm i pijacką nutę w jego lekko zachrypniętym głosie zastąpiło szczerze zaniepokojenie. Rozmawia ze mną tak, jakby nic złego się między nami nie wydarzyło, schował dumę do kieszeni, w tej ważnej dla mnie chwili nie pamięta o urazach i o tym, że latami uparcie go ignorowałem. Jestem mu za to wdzięczny.

- Podzwonię, pogadam z ludźmi, a ty zejdź z tego mrozu, schowaj się gdzieś, przeczekaj. Zaraz tam ktoś przyjedzie, daj mi godzinę, półtorej - obiecuje.

Następnie się rozłącza, a ja przypominam sobie jego szerokie ramiona, niewielką bliźnę na lewym policzku, proste jasne włosy, które lubił zaczesywać na bok, przylizane, jak to określała mama, i duże, ciepłe dłonie. Przez ostatnie lata wyparłem jego istnienie, nie chciałem mieć z nim nic wspólnego, ale teraz dociera do mnie, jak dobrze mieć ojca.

Chwilę później dzwoni Dagmara, mówi coś o spontanicznych sąsiedzkich poszukiwaniach, które właśnie dogadują, usiłuje mnie pocieszyć, podnieść na duchu. Dziękuję jej wylewnie, naprawdę doceniam gest, zwłaszcza zważywszy na pogodę, później pytam, czy mógłbym u nich przycupnąć na kwadrans i nieco się rozgrzać, bo w butach dosłownie mi chlupocze, dłonie mam tak zgrabiałe, że ledwo mogę utrzymać telefon.

- Jasne, zapraszamy - mówi pisarka z matczyną troską w głosie, chociaż jest mniej więcej w moim wieku, może ze trzy czy cztery lata starsza.

Wlokę się więc w stronę rezydencji Rosnerów, a kiedy tam docieram i wchodzę do środka, kompletnie się rozsypuję. Na lodówce wisi fotka dzieciaków gospodarzy pozujących w towarzystwie mojej Kai. Na jej widok coś mnie dławi w gardle. Bywała tu, lubiła ten dom, być może nawet siedziała na tym krześle, myślę. Wiem, że ceniła tę pracę, czasem odwoziłem ją na to osiedle, stąd wiedziałem, jak tu trafić. Często opowiadała o Dagmarze, pisarka chyba jej imponowała, zresztą lubiła również jej męża, a dzieciaki wręcz uwielbiała. Nagle przychodzi mi do głowy coś naprawdę niepokojącego, a po plecach przechodzi mi lodowaty dreszcz - a co, jeśli to właśnie oni mają coś wspólnego z jej zniknięciem?

7

ILONA

Dzwonek przy furtce rozdziera panującą w salonie ciszę, na jego przenikliwy dźwięk aż podskakuję. Jeśli to znowu ci rozwrzeszczani troglodcy, kumple Adama, to przysięgam, że będzie awantura, myślę, niechętnie wstając z sofy.

- Adam! - drę się, ale syn nie odpowiada. Pewnie siedzi u siebie i ze słuchawkami na uszach gra w jedną z tych koszmarnie brutalnych gier, których najchętniej bym mu zabroniła, chociaż przecież nie mogę...

Kupuje je sobie sam, poza tym ma skończone osiemnaście lat i w nosie to, co sędzę o jego zabawach przed komputerem.

- Adam! - krzyczę ponownie, ale uparcie odpowiada mi cisza.

Idę więc do frontowych drzwi, otwieram je i macham ręką stojącemu przy naszej furtce sąsiadowi Jędrzejowi Bojarskiemu.

- Zaraz otworzę, tylko się ubiorę! - krzyczę.

Później w pośpiechu zamieniam pantofle na kozaczki, wkładam grubą kurtkę z futrem i wolno schodzę po pełnych śniegu schodach przed domem. Adam oczywiście nie raczył odśnieżyć, chociaż prosiłam go trzy razy, żeby złapał za łopatę, a Mateusz... Wolne żarty... Dopiero kiedy ktoś z nas się poślizgnie, połamie i będzie zapakowany w gips, zostaną wyciągnięte wnioski i to tylko w najlepszym wypadku, myślę.

Brnąc przez śnieg, zastanawiam się, o co może chodzić sąsiadowi. Bojarskiego nawet nie znam. Mieszka po drugiej stronie jeziora, rzadko mamy okazję, żeby zamienić dwa słowa, ale czasem widuję go w okolicy. Wiem też, że jest ponoć całkiem obrotnym biznesmenem z branży spożywczej, a jego żona, ładna i zgrabna Niemka, pochodzi z okolic Hamburga, na tym właściwie kończy się cała moja wiedza o nim. No tak, i jeszcze pies - mają wilczurą, ładnego dużego czworonoga, którego zazwyczaj wyprowadza on, przed siódmą rano i wczesnym wieczorem, jak teraz, a w weekendy również w porze obiadowej.

- Dobry wieczór - mówię, otwierając mu furtkę.

- Dobry wieczór. Przepraszam, że przeszkadzam, ale podobno zaginęła niania Rosnerów - mówi, dodając, że nie będzie wchodzić, bo zaraz leci dalej.

- Niania Rosnerów zaginęła? - Z zaskoczenia aż uchylam usta. - Przecież dziś ją widziałam, przewróciła się na chodniku - mówię i czuję wrzuty sumienia, przypominając sobie moją wredną reakcję na jej upadek.

- Szuka jej chłopak, z którym mieszka. Twierdzi, że nie dotarła do domu, jakby przepadła gdzieś po drodze...

- No, ale nie za wcześnie na tak daleko idące wnioski? - pytam. - Ile minęło, parę godzin? To młoda dziewczyna, może spontanicznie zmieniła plany albo...

- Podobno nie. W każdym razie obiecałem, że zorganizuję grupę poszukiwawczą. Ze względu na pogodę nie powinniśmy tego bagatelizować. Za kwadrans ruszamy z pętli, rozejrzemy się po okolicy, weźmiemy psy. Gdyby mogła pani dołączyć, będę bardzo zobowiązany – mówi, w pośpiechu się ze mną żegna i rusza dalej.

- Chryste – rzucam pod nos, zamykając furtkę, po czym wchodzę do domu i wołam męża. – Ta ruda niania zaginęła, od Rosnerów. Na pewno kojarzysz, nieraz w końcu flirtowaliście – rzucam kąśliwym tonem, bo przecież widywałam ich pogawędki przez okno, a Mateusz od razu zabija mnie wzrokiem.

- Jeśli pytasz, czy mam z tym coś wspólnego, muszę cię rozczarować – cedzi, a ja mrużę oczy i wbijam w niego spojrzenie, którego nie powstydzilibyś nawet Bazyliszek.

- Czemu miałbyś mieć z tym coś wspólnego? – dziwię się, a on lekko wzrusza ramionami.

- Tak mi się powiedziało.

- Zawołaj Adama – proszę męża.

- Po co? Chcesz go przesłuchać? Trzeba było iść na prawo, nie na medycynę.

- Prawa też bym pewnie nie skończyła, bo po drodze zrobiłbyś mi brzuch – rzucam przez zęby, a on krzywo się uśmiecha.

- Z tego, co pamiętam, dość chętnie rozkładałaś wtedy nogi. Nie to, co teraz – mówi, a ja z trudem powstrzymuję chęć wymierzenia mu policzka.

- Dupek – syczę tylko, a on po raz kolejny wzrusza ramionami, staje u podnóża schodów i woła Adama.

Kiedy nasz syn zjawia się na półpiętrze, a na głos będącego wartkim źródłem finansowym ojca Adam reaguje zawsze, mnie natomiast zazwyczaj beczelnie i chamsko olewając, Mateusz prosto z mostu pyta go, czy widział dziś nianię Rosnerów.

- Nie, a co? Ja nianki nie potrzebuję – rechocze nasz osiemnastolatek.

- Na pewno jej nie widziałeś? – upewniam się.

- Przecież mówię.

- Idziemy jej szukać, ubieraj się – proszę, a syn patrzy na mnie jak na wariatkę.

- To idźcie, co mi do tego?

- Chodź z nami, pomożesz.

- Nigdzie nie idę! – podnosi głos. – Za parę minut będę gadał z kumplem, jesteście ustawieni na kamerkach.

- Nie krzycz na matkę – upomina go Mateusz, ale ton jego głosu nie brzmi zbyt przekonująco.

- Zaginęła młoda dziewczyna, dotarło to do ciebie?! Znasz ją, chyba nawet ci się podoba! – krzyczę, a syn gniewnie parska.

- Za stara dla mnie i strasznie zarozumiiała. – Adam uśmiecha się złośliwie i dodaje, że nie zamierza popierdalać po mrozie.

- A ty? Idziesz ze mną? Lena zostałaby w takim układzie w domu, z bratem, a my moglibyśmy się rozejrzeć i...

- Wybacz, muszę jeszcze dziś przejrzeć projekt – wchodzi mi w słowo mąż.

Świetnie wiem, że nie ma żadnego projektu do przejrzenia. Okłamuje mnie, bo nie chce mu się wychodzić na mróz. Mnie też nie bardzo się chce, ale nagle czuję taką potrzebę. Mam wyrzuty sumienia, bo nigdy tej dziewczyny nie lubiłam, poza tym nagle wyobrażam sobie, że znika jedno z moich dzieci i robi mi się słabo na samą myśl. Na zewnątrz ciągle zadymka i ten straszny mróz. Co, jeśli niania Rosnerów złamała nogę i leży w jakimś rowie? Jeśli ktoś ją napadł, pobił, zgwałcił? Tyle się słyszy takich mrozących krew w żyłach historii, że człowiek od razu myśli o najgorszym, mówię sobie, w pośpiechu wkładając stary golf.

Dziesięć minut później jestem na pętli, gdzie zebrała się już grupka okolicznych mieszkańców – większość ludzi ma w dłoniach halogenowe latarki i od razu żałuję, że sama takiej nie wzięłam, a przecież mamy dwie, są w garażu.

– Podobno Olga Wolska widziała dziś tę dziewczynę idącą wzdłuż drogi. Wracała akurat do domu, a niania Rosnerów szła w przeciwną stronę, pewnie na sto osiemnastkę – słyszę głos jednej z sąsiadek i lekko się wzdrzgam.

Jeśli ktoś siłą wciągnął ją do samochodu, może już być po niej, dociera do mnie. Ale kto zrobiłby coś takiego tutaj, w tej spokojnej, sielskiej okolicy? – myślę, zupełnie jakbym w swojej naiwności wierzyła, że wykształceni mężczyźni z dobrych dzielnic nie dopuszczają się poważniejszych przestępstw. „Forest Hill, sosnowy raj na skraju wielkiego miasta” – przypominam sobie hasło z ulotki dewelopera i krzywo się uśmiecham. Raj, w którym każdy obserwuje każdego, ujadające w ogrodach psy sąsiadów budzą nas czasem błędym świtem, a uliczka jest tak wąska, że z trudem mieszczą się samochody rezydentów, o gościach nawet nie wspominając. Ale nie ma co narzekać, mieszkałam już w znacznie gorszych miejscach, myślę i rozmasowuję skronie, czując, że nieubłagane zbliża się atak migreny.

– A może to ten jej chłopak ma coś na sumieniu? No wiecie, policja też zawsze podejrzewa mężów lub chłopaków – odzywa się jakaś kobieta, którą znam tylko z widzenia, a stojąca obok mnie Dagmara Rosner z niedowierzaniem kręci głową.

– Naprawdę uważasz, że można rzucać takie bezpodstawne oskarżenia? – pyta ją i nagle wokół mnie zapada cisza. – Miło, że przyszedł – dodaje Dagmara, zwracając się do mnie, chociaż przecież świetnie wiem, że pani pisarka za mną nie przepada, a ja kiwam głową na powitanie i przytupuję, usiłując się rozgrzać.

Czekając na kilku innych sąsiadów, stoimy na pętli jeszcze parę minut. Pogodowa aplikacja w moim telefonie twierdzi, że jest minus cztery, odczuwalność minus dziewięć, co czuję całą sobą, dosłownie zamierzam.

– Możemy już ruszać? – pytam z nadzieją w głosie i Jędrzej Borkowski decyduje, że nasza grupa pójdzie jednak przodem, w stronę drogi i lasu, a reszta dołączy, jak już się zbierze.

Dagmara zostaje. Ponoć chce koordynować nadal się zbierającą drugą grupą. Nie mam nic przeciwko, wręcz przeciwnie, bajkopisarka wyjątkowo działa mi na nerwy, właściwie od dnia, w którym ją poznałam...

Las rosnący wzdłuż drogi jest ciemny, przeraża mnie... W dodatku wzmaga się wiatr, drzewa złowrogo szumią, pnie strzelistych sosen niepokojąco skrzypią, a mnie przychodzi do głowy, że lada moment któreś z obciążonych mokrym, świeżym śniegiem drzew zwali się prosto na nas... Światła trzymanyh przez moich sąsiadów latarek omiatają pnie drzew, ktoś

spuszcza ze smyczy niewielkiego pieska, ktoś inny krzyczy: „Złapcie psa, tu podobno jest jakieś jezioro!”.

Jędrzej Bojarski, po tym jak dyscyplinuje szarpiącego się na smyczy wilczura, mówi, że tak, jest, trzeba uważać i zatacza trzymaną w rękę latarką krąg światła, jakby chciał wskazać nam kierunek, który powinniśmy omijać ze względu na lód.

Bgniemy przez wysoki śnieg, nasze ochryple głosy rozlegają się wśród nocnej ciszy, zakłócają odwieczny spokój lasu. To bez sensu – wszyscy to wiemy, ale idziemy dalej – jeśli za kilka godzin okaże się, że dziewczyna jakimś mało prawdopodobnym zrzędzeniem losu zabląkała się tu i zamarzła, bo nikt w porę jej nie znalazł, do końca życia będziemy mieć wyrzuty sumienia, myślę... Tylko co miałyby tu robić? Nie wiem. Mój zidiociały nastoletni syn miałby pewnie swoje własne durne teorie, takie jak pomyśl, że zaszła do lasu na „dwójkę”, jak Adam określa pewną codzienną czynność fizjologiczną, i złamała nogę, albo wpadła do jeziora, nie wiedząc, że pod warstwą białego puchu zdradziecko skrywa się tafla lodu.

Ja staram się nie myśleć o niczym, chcę po prostu przetrwać ten wieczór i nie zamarznąć, ani się nie rozpłakać z bezsilności i zimna. Jedna z idących przede mną kobiet zahacza rękawem kurtki o gałąź i naprawdę szpetnie klnie, kilka minut później inna, znacznie starsza, potyka się o korzeń drzewa i upada w śnieg. Pomagamy jej wstać, na moment przystajemy zasluchani w otaczającą nas ciszę, w końcu ktoś wrzeszczy „Kaja!” i ruszamy dalej. Kiedy przechodzę pod zaśnieżoną gałęzią jednego z drzew, odrobina białego puchu spada mi na głowę i niżej, za kołnierz. Wzdrygam się w zetknięciu z lodowatym dotykiem śniegu na skórze, oczy zachodzą mi łzami. Otaczający mnie ludzie zjawili się na pętli w parach. Tylko pisarka przysła na przystanek sama z racji tego, że jej mąż jest ponoć chory, a pasierb musiał zostać z kilkuletnią pasierbicą. Ale teraz, kiedy ramię w ramię bgniemy przez wysoki śnieg, każdy z naszej poszukiwawczej grupy jest tu z kimś. Tylko ja jestem w pojedynkę, bez wsparcia męża czy syna. Nie chciało im się wychodzić z domu, pozwolili, żebym tu marzła sama – myślę i robi mi się niewiarygodnie smutno...

– Kaja! – wrzeszczę, chcąc oderwać się od ponurych rozważań, ale las odpowiada mi ciszą.

Pieprzony Mateusz! Mąż już nawet nie udaje, że cokolwiek do mnie czuje, i chociaż wiele razy wmawiałam sobie, że to nic, przetrwam i będę ponad to, serce jednak boli, a w oczach lśnią łzy. Ale może to przez ten wiatr? – mówię sobie, wsuwając dłonie głębiej do kieszeni. Idąca przede mną kobieta opiera głowę na ramieniu męża, on obejmuje ją w pasie. Widok jest piękny, ale dla mnie bolesny. Mnie nie przytula nikt, a z Mateuszem chodzimy do łóżka góra kilka razy w roku, zazwyczaj w te noce, kiedy on wypije znacznie więcej niż zwykle. Na trzeźwo nawet nie patrzy w moją stronę, spowszedniałam mu, przejadłam mu się, myślę i ukradkiem ocieram policzek, po którym spłynęła pojedyncza łza. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam szczęśliwa...

8

KAROLINA

Kiedy jeden z sąsiadów dzwoni do naszych drzwi i prosi o udział w spontanicznie organizowanych poszukiwaniach, dosłownie nieruchomieję... Rozmawiają w progu, na schodkach przed wejściem. Otworzył mu Robert, ale i tak wszystko słyszę. Miałabym iść z nimi do lasu i udawać, że nie wiem, co się tam wydarzyło przed kilkoma godzinami? Jestem rozbita emocjonalnie, nie potrafię się pozbierać. Ostatnią godzinę spędziłam skulona pod kocem w ciemnym pokoju, bezgłośnie płacząc.

A teraz Robert staje nade mną i oznajmia, że sąsiedzi spontanicznie się skrzyknęli i idą szukać Kai, zaginionej niani Rosnerów.

- Ubiierz się, pójdziemy razem – mówi, usiłując mnie nakłonić do wyjścia z domu.

- Źle się czuję – jęczę, ale on jest nieugięty.

Sięgam więc po chusteczkę i wydmuchuję nos. Muszę wyglądać koszmarnie, ale nie o tym teraz myślę.

- Karolina, jeśli cokolwiek wiesz i ukrywasz w temacie zaginięcia tej dziewczyny, tym bardziej musisz tam iść. Właśnie dlatego, rozumiesz?

Wtedy, przez jedną chwilę, mam ochotę o wszystkim mu powiedzieć, ale nie decyduję się na taki ostateczny krok. Nie chcę, żeby znał całą tę koszmarną prawdę, która kilka godzin wcześniej stała się moim udziałem. Im mniej wie, tym lepiej dla niego, mówię sobie.

- Wstań, Karola. – Robert rzuca we mnie swoim swetrem, łapie mnie za kostkę i ciągnie.

- Puść, oszalałeś? – parskam, a on pochyła się, całuje mnie w czubek głowy i z naciskiem powtarza, że musimy iść.

- Nie chcę, nie rozumiesz?! Powiedz im, że dopadło mnie przeziębienie! – wrzeszczę, ale mój mąż, jak na zodiakalnego Koziorożca przystało, jest bardzo, bardzo uparty.

- Pójdziesz ze mną – oznajmia wkurzająco autorytatywnym tonem, po czym przynosi mi ulubiony sweter i sam zaczyna się przebierać. – Pospiesz się, proszę. Oni tam już czekają – dodaje, więc w końcu wstaję z kanapy, na której się kuliłam, uciekając przed światem, zmieniam spodnie od dresu na grube, ocieplane od wewnątrz getry, wkładam sweter z golfem i spinam w kucyk włosy tak, jak lubię je upinać pod czapkę.

Kiedy wychodzimy przed dom, czekam, aż mąż zamknie frontowe drzwi, a później przytulam się do niego i przez dłuższą chwilę czuję się bezpieczna w jego ramionach. Gdyby tylko znał prawdę... Ale nie zna, myślę.

- Naprawdę mi nie powiesz? – pyta, szepcząc w moje włosy. – Po tylu wspólnych latach myślałam, że sobie ufamy?

- Ufam ci, przecież wiesz – zapewniam go ze łzami w oczach. – Ale ty też musisz mi zaufać – proszę cicho.

- Ja bym ci powiedział. O wszystkim, przecież wiesz. - Robert wytacza najcięższe działa, a ja, wbrew temu parskam śmiechem.

- Nie powiedziałaś mi. Uwierz mi, w tej sytuacji wolałbyś milczeć - mówię z policzkiem wtulonym w jego starą puchową kurtkę.

- Dobrze, wrócimy jeszcze do tego. - Mąż chwilowo odpuszcza, ucina dyskusję i nie czekając na mnie, rusza w stronę furtki.

Idę kilka kroków za nim, zastanawiając się, jak to, co się dziś stało, odbije się na naszym małżeństwie. Jesteśmy szczęśliwą parą, kochamy się, ufamy sobie i z tego, co wiem, żadne z nas nie ma na sumieniu żadnego romansu. Jak jednak zareaguje Robert, jeśli tygodniami, a później miesiącami będę odmawiać wyznania mu prawdy? A może to wszystko nie potrwa tak długo? - myślę i nerwowo obracam się za siebie.

Ludzie bywają dobrzy, uczynni i życzliwi, ale również przerażająco bestialscy, myślę. Ludzie, których znamy...

Na pętłę docieramy ramię w ramię, trzymając się za ręce - mniej więcej w połowie drogi na miejsce zbiórki wsunęłam moją zziębniętą dłoń w dłoń Roberta, a on nie zaprotestował, co uznałam za dobry znak.

- Dalej nic nie wiadomo? - pytam Dagmarę, która wygląda tak, jakby miała zaraz się rozpłakać, i kuli się z zimna.

- Nic - potwierdza moje przypuszczenia. - Pierwsza grupa ruszyła już wzdłuż drogi, ale, jak dotąd, ani śladu Kai. Gdyby coś znaleźli, zadzwoniliby - mówi, po czym całuje mnie w oba policzki i uśmiecha się do Roberta.

- Czy ktoś już zawiadomił policję? - pyta siwa, elegancko ubrana żona emerytowanego radcy prawnego mieszkającego po drugiej stronie jeziora.

To mili ludzie, których niedawno poznałam na osiedlowym kiermaszu wymiany książek organizowanym przez emerytowaną polonistkę, panią Alinę. Jako nieliczni z naszych sąsiadów są przed siedemdziesiątką - zainwestowali w rezydencję nad jeziorem na stare lata, chcąc miło spędzić jesień życia nad wodą.

- Chyba ten chłopak powinien po nich zadzwonić - mówi cicho stojąca obok nas Renata Niemczyk, żona kardiologa z jednego z domów po drugiej stronie jeziora, a ja domyślam się, że musi chodzić o chłopaka rudej niani, który pewnie też jej szuka.

- Ma na imię Leon - wtrąca Dagmara takim tonem, jakby miała nam za złe, że tego nie wiemy. - I wygląda na bardzo przejętego.

- Może udaje? Zrobił jej coś, a teraz gra rolę zrozpaczonego - sugeruje Renata, co jeszcze bardziej wytrąca Dagmarę z równowagi.

- Przestańcie robić z niego zabójcę! To podłe i niczym nieuzasadnione! Był dziś u mnie, szukając Kai, rozmawialiśmy i zapewniam was, że nie jest mordercą! - krzyczy pisarka.

- Mógł przecież zrobić jej coś niechcący, nie planując tego. - Renata upiera się przy swojej wersji, w której to Leon jest sprawcą. - Mógł po nią podjechać, nie wjeżdżając przez szlaban na teren osiedla, pokłócili się, a on...

- Miała wracać autobusem - wchodzi jej w słowo Dagmara i dodaje, że prosiłaby o zaprzestanie spekulacji...

Towarzystwo milknie, a w końcu zjawiają się cztery ostatnie osoby i rozpoczyna się dyskusja, co dalej.

– My też ruszamy wzdłuż szosy? To chyba trochę bez sensu, skoro poszła tamtędy pierwsza grupa – zauważa Niemczyk, a z doktorem zgadza się jego żona i jedna z milczących dotąd sąsiadek, która przyszła z psem.

– Może obejźmy osiedle wokół jeziora? – proponuje Dagmara.

– Warto też zajrzeć do jaru – rzuca Renata, a ja przygryzam wargę, świetnie wiedząc, że w wąwozie jej nie znajdziemy...

– Zimno ci, kotku? – Robert gładzi mnie po plecach, a jego czuły gest sprawia, że znowu jestem bliska łez.

Nie mogę się jednak rozplakać, nie tu i teraz! Widywałam Kaję przelotnie, kilka razy zajrzałam do domu Dagmary i Piotra w momencie, kiedy ich niania opiekowała się Niną, i zamieniłyśmy kilka słów, nie mogę jednak powiedzieć, że ją znam. Gdybym zalała się łzami na pętli, mogłoby to wyglądać co najmniej dziwnie, mówię sobie i kurczowo zaciskam palce na dłoni Roberta.

Kiedy ruszamy, nikt się nie odzywa. Atmosfera jest grobowa, przenikliwy ziąb też nie zachęca do dyskusji. Idziemy na tyle szybko, żeby przynajmniej sprawiać wrażenie zaangażowanych w poszukiwania dziewczyny, która – według otaczających mnie ludzi – ranna, bądź napadnięta, wciąż może być na mrozie, ale na tyle ostrożnie, żeby nikt się nie przewrócił na oblodzonym chodniku przy pętli, który – choć pokryty świeżą warstwą śniegu wciąż jest zdradziecki.

Kiedy wchodzimy do lasku, w którym wieczorami lubimy czasem z Robertem spacerować, mąż odciąga mnie nieco dalej od grupy i mówi, że chce znać prawdę.

– Powiedz mi, co wiesz – naciska, a mnie zalewa fala złości.

To cholernie nie w porządku, że najpierw dosłownie zmusił mnie do wyjścia z domu, a teraz naciska właśnie tu, wśród otaczających nas sąsiadów, dociera do mnie. Ale czy ja zachowuję się fair wobec niego?

– Karola, proszę. – Robert łapie mnie pod rękę i zaciska palce na moim ramieniu tak, że nawet przez grubą kurtkę i wełniany golf czuję ból.

Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał, ale przecież nigdy wcześniej ja nie dałam mu do tego powodów...

– Przestań! – syczę, zerkając na stojącego najbliżej nas doktora Niemczyka, który wpatruje się w swoją komórkę, chociaż akurat tutaj prawie nigdy nie ma zasięgu. – Przestań naciskać! – dodaję, a mąż zabiera rękę i posyła mi pełne wyrzutu spojrzenie.

– Okej, więcej nie zapytam. Ale pamiętaj, że to ty zaczęłaś właśnie, cegła po cegle, budować mur łgarstw pomiędzy nami – mówi, a ja gniewnie parskam.

– Nie bądź taki patetyczny – mruczę, ale Robert już nie słucha.

Oddala się ode mnie, staje obok jednej z sosen i zagaduje sąsiadkę, najwyraźniej chcąc odciąć się ode mnie, a ją wciągnąć w banalną sąsiedzką pogawędkę o niczym.

Chwilę później grupa rusza przed siebie, przyświecając sobie latarkami, a ja wlokę się za nimi, czując się jak zdrączydni. Ci wszyscy przemarznięci ludzie, moi sąsiedzi, wciąż mają

w oczach nadzieję, a przecież ja świetnie wiem, że happy endu nie będzie. Wiem, ale nie mogę im powiedzieć. Jego wśród nas nie ma, ale przecież nie spodziewałam się, że przyjdzie, nie było takiej opcji. Nie ma zresztą większości sąsiadów, część osób wyjechała już na święta, inni są chorzy bądź znaleźli wiarygodną wymówkę, żeby nam nie towarzyszyć – gorączkujące dziecko, umierający pies, diabli wiedzą co – niektórzy ludzie bywają naprawdę bardzo kreatywni, kiedy chcą uniknąć niewygodnej dla nich sytuacji...

– Kajaaa! – krzyczy jeden z mężczyzn, dwóch innych omiata pobliskie drzewa światłem trzymanych w rękach latarek.

Wokół nas poszczekują towarzyszące nam psy, ale idą grzecznie, przy nogach właścicieli – wszystkie czworonogi są już na smyczach – ludzie boją się bliskości wody i kruchej tafli na jeziorze. Gdyby tylko wiedzieli, co skrywa się pod lodem drugiego z okolicznych jezior, wzdrygam się i dygocząc z zimna, idę dalej, brnąc przez śnieg.

Kilka minut później nad naszymi głowami rozlega się warkot helikoptera, wąski snop światła dochodzący z maszyny penetruje ciemny las, srebrną poświatą odziera go z tajemnic.

Policja już włączyła do akcji śmigłowiec? – dziwię się. Ktoś musi mieć niezłe wtyki w komendzie wojewódzkiej, żeby tak szybko dostać wsparcie z powietrza, myślę, spoglądając w górę, na krążącą nad osiedlem maszynę.

Kwadrans później po naszej okolicy kręci się kilkunastu mundurowych, a późnym wieczorem ktoś rozpusza wieści, że załoga śmigłowca dostrzegła przerębel i jest podejrzenie śmiertelnego wypadku.

Ludzie nie mają oczywiście stuprocentowej pewności, czy zauważony z helikoptera przerębel powstał w wyniku wypadku i czy pod lodem jest ciało Kai, ale wieści się rozrastają, krążą od domu do domu, z ust do ust, pęcznieją...

– Widziałas to, prawda? – pyta mnie Robert dwie godziny później, kiedy z kubkami gorącej herbaty w dłoniach stoimy w sięgającym podłogi oknie naszego salonu, patrząc na zasypane śniegiem szuwarey i dalej, na prześwit pomiędzy nimi, gdzie w ciągu dnia można dostrzec wodę. – Widziałas, jak ona wpadła pod lód? – dodaje.

W salonie jest całkiem ciemno. Po powrocie do domu zapaliliśmy światło tylko w kuchni, żeby napić się herbaty. Jeść nie mogę. Jestem tak głodna, że aż mi słabo, ale nie wyobrażam sobie nawet, że zdołałabym cokolwiek przełknąć, nawet mimo tego, że w lodowce jest naprawdę wyśmienity gulasz, za którym przepadam.

Nagle dociera do mnie to, co zakłada mój mąż – on nie podejrzewa, że Kaję ktoś gonił czy zastraszył. Robert myśli, że była tam sama i po prostu załamała się pod nią zbyt krucha tafla, kiedy nieopatrznie weszła na lód...

– Tak – szepczę więc tak cicho, że ledwo słyszalnie, a on wyjmuje mi z ręki kubek z niedopitą herbatą, stawia go na komodzie, obok swojego i zamyka mnie w ramionach.

– Czemu mi nie powiedziałaś? – pyta równie cicho, z ustami przy moich włosach.

– Czułam się winna. Po prostu tam stałam, a ona... Nie zdążyłam nawet krzyknąć, że kieruje się prosto na zasypany śniegiem lód, kiedy było już po wszystkim... Wpadła. Byłam kilkanaście metrów dalej, za drzewami. Nie zdążyłabym do niej dotrzeć, nie miałam przy sobie telefonu, żeby zadzwonić z drogi, zresztą na pomoc było już przecież za późno... Jak długo przetrzyma dziewczyna, topiąc się w lodowato zimnej wodzie? Dwie minuty? Trzy?

Minutę? Chryste, nie mam pojęcia – mówię i wybucham płaczem, a mąż tuli mnie do siebie, pociesza i uspokaja.

– To nie była twoja wina, Karolina – zapewnia mnie. – Nie mogłaś nic zrobić. Nic, słyszysz? I cieszę się, że nie podjęłaś jakichś desperackich kroków, sama przy tym kończąc pod lodem.

– Ludzie giną, ratując psy, a ja po prostu tam stałam, chociaż na moich oczach tonęła młoda dziewczyna... Kosztem własnego życia ratują psy, rozumiesz? A ja pozwoliłam utonąć człowiekowi!

– Byłaś daleko, sama jedna, kompletnie bezradna – mówi z naciskiem Robert, chociaż przecież nie ma pojęcia, gdzie właściwie stałam, a ja szlochając, opadam na sofę. – Domyślasz się, co tam robiła? – pyta po krótkiej chwili milczenia.

– Nie wiem, chyba pstrykała zdjęcia na Instagram – brnę dalej w kłamstwo. – Ośnieżone drzewa, te klimaty.

– Nie znała dobrze tej okolicy, poruszała się przecież zazwyczaj od pętli do domu Piotra i Dagmary, ewentualnie prosto wzdłuż szosy. Mogła nie wiedzieć, że pod śniegiem jest jezioro.

– Robert kiwa głową. – Wyobrażasz sobie bardziej bezsensowną śmierć? Czy ktoś, do kurwy nędzy, nie powinien tam postawić jakichś znaków ostrzegawczych?!

– Nie chcę o tym teraz rozmawiać, nie mam siły – mówię, a mąż siada obok mnie.

Kładę nogi na jego kolanach, a on odruchowo zaczyna masować mi stopy.

– Uważam, że powinnaś jednak pójść z tym na policję – mówi nagle Robert.

– Nie chcę.

– Karolina, to poważna...

– Odupuć mi, kurwa mać! – Zrywam się z sofy, biegnę przez ciemny salon i wpadam prosto na naszą osiemnastoletnią córkę.

– Klóćcie się? – pyta Michalina.

Wygląda na niezłe rozbawioną, co podnosi mi ciśnienie.

– A nawet jeśli? – syczę, wymijając ją.

Na górze, zamknięta w naszej małżeńskiej sypialni, wybucham płaczem. Okłamałam męża z nadzieją, że uwierzy w przedstawioną mu wersję wydarzeń i da mi święty spokój, a on chce, żebym gadała z policją? Na myśl o wizycie na komisariacie robi mi się słabo. Nie! Nie ma opcji, żebym cokolwiek im powiedziała! Ja przecież tylko spacerowałam po cholernym lesie, nie złego nie zrobiłam, mówię sobie, ocierając łzy.

Później kładę się na łóżku w ciemnym pokoju i zamykam oczy. Otacza mnie cisza, za oknem sypie śnieg i gdyby nie nachalnie powracające, koszmarnie wspomnienia sprzed kilku godzin, czułabym się pewnie całkiem błogo.

Nagle myślę o nim, o mężczyźnie, przez którego Kaja wbiegła na lód. Co teraz robi, po tym jak przyczynił się do tego, że zginęła, nawet jeśli niebezpośrednio? Chwilę później zrywam się z łóżka, gnam do łazienki i wymiotuję wypitą herbatą. Nie tylko okłamałam męża, niszcząc nasze idealne dotąd małżeństwo, ale to łgarstwo wrośnie między nas, będzie z nami już przed lata, zdają sobie sprawę i znowu zaczynam płakać.

9 LEON

Po wyjściu z domu pracodawców Kai idę szosą wzdłuż osiedla aż do umiejscowionego w lesie wąwozu, przed którym kończy się asfalt. Później zawracam i wolno ruszam z powrotem. Mijając ozdobione świątecznie przestronne wille, patrzę w ich okna, gdzieś tam widzę roześmiane twarze, naklejki z choinkami, kolorowe światełka... Część z tych osób lada moment ma zacząć szukać mojej dziewczyny, tak przynajmniej twierdzi ta pisarka, Dagmara, ale na razie jestem w zasypanej śniegiem uliczce sam... Kiedy mijam kolejny dom, do płotu z metalowych sztachet doskakuje duży pies, który na mój widok zaczyna wściekle ujadać. Przestraszony, wzdrygam się i przyspieszam kroku, zostawiając jego szczekanie za plecami.

Przez kolejną godzinę spaceruję wzdłuż drogi. Na nogach mam zimowe buty Piotra Rosnera, których użyczyła mi Dagmara. Powiedziała, że mąż nigdy ich nie nosił, bo były dla niego za małe, a na mnie pasują jak ulał i co ważne, są ciepłe i nieprzemoczone. Moje zostały u nich, w korytarzu przy kaloryferze, i zastanawiam się, czy znajdę odwagę, żeby po nie pójść, zwłaszcza, jeśli sprawy potoczą się źle.

Śnieg ciągle sypie. Teraz już może nie tak gęsto jak kilka godzin wcześniej, ale nadal można to nazwać zadymką. Zresztą prognozy i pogodowe alerty na dziś nie kłamały – nad naszą częścią kraju zima nie zamierzała szybko odpuszczać. Zaglądam do rowu. Co chwile. Oświetlam go światłem latarki z telefonu, zastanawiając się, w jak dużym byłbym szoku, gdybym nagle dostrzegł w śniegu skulone, przetrącone ciało Kai będącej ofiarą wypadku. Bo przecież mogło być i tak – ktoś mógł ją potrącić i zbiec, nie zatrzymując się. Na jezdni nie dostrzegłem co prawda żadnych śladów gwałtownego hamowania mogących wskazywać na tę wersję, ale kto wie, może skurwiel nawet nie hamował?

Jestem mniej więcej w połowie drogi pomiędzy przystankami, kiedy dostrzegam migające na niebiesko światło jadącego od strony centrum miasta radiowozy. Za nim jedzie kolejny i jeszcze trzy inne auta, cywilne. Przystaję na poboczu, przyglądając się kolumnie sunących szosą samochodów, a w mojej kieszeni zaczyna dzwonić telefon.

Ojciec...

Rozmawiamy drugi raz tego samego dnia, po ponad siedmiu latach milczenia. Zdaje sobie z tego sprawę, odbierając.

– Synu... Gdzie jesteś? – pyta i dodaje, że właśnie jedzie na miejsce.

Domyślam się więc, że jego auto jest jednym z tych, które właśnie mnie wyminęły, i proszę, żeby się zatrzymał. To dziwne, że mnie nie dostrzegł, zazwyczaj jest wyjątkowo spostrzegawczy, ale może akurat sprawdzał coś w telefonie? – myślę, podnosząc kołnierz oblepionej śniegiem kurtki.

Później biegnę w stronę jego czekającego na poboczu samochodu, aż zdyszany, dopadam ciemnej terenówki, którą przyjechał, i wsiodam do środka.

Wnętrze dżipa jest dosłownie przesiąknięte aromatem wody kolońskiej i tytoniu – najwyraźniej ojcu, pomimo wielu usilnych prób, nadal nie udało się rzucić palenia.

– Witaj, Leos – odzywa się, kiedy zamykam za sobą drzwi od strony pasażera, zostawiając na zewnątrz siarczysty mróz, wiatr i zadymkę.

Głos ma ciepły i nagle zdaje sobie sprawę, że jestem poruszony. Pomijając Paulinę, jedną z moich byłych lasek, od lat nikt nie nazywał mnie Leosiem, zresztą nigdy za tym nie przepadałem, ale w jego ustach brzmi to dziwnie rozczulająco, powróciły wspomnienia z moich szczenięcych czasów, kiedy jeszcze byliśmy rodziną, a on zabierał mnie ze sobą na ryby, pozwalał mi dopijać piwo ze swojej szklanki i zaglądał do mojego pokoju wieczorami, żeby się upewnić, czy śpię i czy w ogóle jestem w łóżku...

– Cześć – mówię, nie dodając jednak „tato”.

Na takie czułości mimo wszystko jest chyba zbyt wcześnie.

– Nadal nic? – pyta, zanim rusza.

– Nic. Zadzwońiłbym, gdyby co.

– Chujowa sprawa – klnie.

Zawsze lubił rzucać mięsem, czego nie znosiła moja matka. Ale przecież on latami robił wszystko, żeby zrobić jej na złość...

Na pętlę docieramy chwilę później. Tuż obok umundurowani policjanci przepytują ochroniarza z wartowniczej budki przy wjeździe do osiedla, niesympatyczny dziadyga musiał wyjść na mróz w samym uniformie, idę o zakład, że to się skończy zaziębieniem, ale jakoś mi zgreda nie żal – nie okazał mi zbyt wiele zrozumienia, kiedy z nim rozmawiałem.

– Pogadałem z ludźmi, pociągnąłem za kilka sznurków – odzywa się nagle mój ojciec tym swoim chełpliwym tonem, który świetnie pamiętam ze swoich szczeniackich lat.

Kiedy byłem szczyłem, nie znosiłem tej jego buty, arogancji i ciągłych przechwałek. Żenowało mnie jego podkreślanie rozległych prominentnych znajomości, czułem się z tym źle i miałem go za nadętego dupka. Teraz jednak zdaje sobie sprawę, że dzięki temu komuś gdzieś tam, na odpowiednim stołku, chciało się zrobić nieco więcej, niż zapewne zrobiono by tak wcześnie w przypadku zaginięcia anonimowej dziewczyny. Tym bardziej że mama Kai nie ma ani kasy, ani wykształcenia, ani elokwencji. Prezencji też nie ma, umówmy się – siwa, z zaniedbanymi zębami, donosząca ciuchy ze szmateksów – od razu widać, z kim ma się do czynienia. To alkoholiczka, która od lat ostro chleje, później na trochę zrywa z wyniszczającym nałogiem i zaraz do niego wraca – nikogo nie wzruszyłyby jej łyzy na komisariacie, nikogo by nie obeszała, myślę z goryczą, bo mimo wszystko matce Kai, którą niedawno poznałem, bardzo współczuję.

Ojciec, mimo panującego na zewnątrz mrozu, uchyla okno od strony kierowcy i przez chwilę oddycha czystym, rześkim powietrzem. Tu nie cuchnie gryzącym dymem jak w pełnej na wpół zrujnowanych kamienic dzielnicy, w której z Kają mieszkamy, tu żadne stare rudery, których właściciele kopcą byle czym, nie wypuszczają trucizny z kominów. Tu pachnie lasem, balsamicznie, inaczej – jak widać grubość portfela ma wpływ nawet na jakość powietrza.

Mija kilka kolejnych wlokących się w nieskończoność minut; modłę się, żeby czas przyspieszył, żeby w końcu coś zaczęło się dziać...

Wciąż siedzimy w aucie, dzięki czemu jest mi odrobinę mniej zimno, a moich policzków nie szczypie lodowaty wiatr, ale ojciec i tak zauważa, jak bardzo zdążyłem przemarznąć, i nieproszony zamyka okno.

- Udało mi się ściągnąć tu znajomego podkomisarza z koleżanką, dwa radiowozy i helikopter – dodaje chwilę później.

- Helikopter? – Pewny, że ojciec ściemnia, robię pełną niedowierzania minę, ale dosłownie minutę później, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, nad osiedlem o wyjątkowo snobistycznej nazwie Forest Hill rozlega się warkot śmigłowca.

- Co u ciebie? – pyta nagle stary, chociaż idę o zakład, że świetnie wie.

Jako prokurator zna kilku całkiem niezłych prywatnych detektywów, a że zawsze lubił mnie i mamę śledzić, sprawa wydaje mi się jasna.

- Robię we włoskiej knajpie, jestem u nich szefem kuchni – mówię jednak, a on kiwa głową i wyciąga ze schowka paczkę marlboro.

Kiedy po nie sięga, widzę, że nie ma na palcu obrączki, więc druga, tleniona żona musiała pójść w odstawkę, o czym nie miałem pojęcia. Mama też o niczym mi nie napomknęła, ale ona nigdy nie lubiła mówić o moim ojcu i wracać wspomnieniami do lat małżeństwa z nim.

- Rozwiódłeś się? – pytam, a on wyjmuje zapalniczkę, zapala peta, zaciąga się, wydmuchuje dym i w końcu rzuca krótkie: „Stare dzieje, ze trzy lata minęły”.

Trzy lata. Więc flądra, dla której zostawił mamę, również nie znalazła szczęścia u jego boku, dociera do mnie.

- A ty? Jesteś z Kają szczęśliwy? – interesuje się nagle, wymawiając jej imię z zaskakującą łatwością, chociaż przecież wcale jej nie znał.

- Tak. Mam zamiar niebawem się jej oświadczyć, a później wziąć z nią ślub. We Włoszech. Znaleźliśmy już nawet urokliwe miasteczko w Toskanii, tylko Kaja się gdzieś zawieruszyła – mówię i parskam nerwowym śmiechem, zdając sobie sprawę z tego, jak żałośnie to zabrzmiało.

- Ale ty nie masz chyba z tym nic wspólnego, co, synu? – pyta nagle ojciec prokuratorskim tonem, którego czasem używał, kiedy podejrzewał, że coś nabroiliem, i kładzie dłoń z tyłu mojej głowy, u nasady karku, jak zwykł to robić, kiedy byłem w liceum. – Bo jeśli masz, wolałbym to wiedzieć tu i teraz – dodaje, a ja zastanawiam się, czy gdybym rzeczywiście coś Kai zrobił, szanowny pan prokurator zaciągnąłby mnie przed oblicze sprawiedliwości, żądając dla mnie surowego wyroku, czy może wręcz przeciwnie: łągłby i mataczył, chroniąc los i przyszłość jedyne syna?

- Nie – mówię.

- Jesteś pewny? – Stary nadal nie wygląda na przekonanego, co trochę mnie boli.

- Tak, kurwa, jestem pewny! Czekałem na nią w domu, przygotowując lasagne. A kiedy zdałem sobie sprawę, że dawno powinna się zjawić, wyszedłem, żeby jej poszukać! Co niby mogłem jej zrobić, co?! Utopić ją w pieprzonej wannie?! Przesiąkłeś tą swoją pracą, zbyt wiele ludzkich szumowin w życiu widziałeś, ale zapewniam cię, że tak na co dzień normalni ludzie raczej rzadko się zabijają! – wybucham.

- Dobrze, daj mi chwilę, jeszcze podzwonię. - Ojciec nie komentuje ani moich słów, ani mojego wzburzenia.

Sięga jedynie po telefon, przeczesuje palcami włosy i wybierając czyjś numer, bez słowa wysiada na mróz.

Kiedy przechadza się odśnieżonym niedawno chodnikiem przy pętli, przyglądam się jego emanującej pewnością siebie sylwetce, szerokim ramionom i gestykulacji, która nawet z daleka zdradza jego prestiżową zawodową pozycję. Nie zmienił się tak wiele, odkąd widziałem go po raz ostatni - nieznacznie posiwiał na skroniach, ale włosy nadal ma gęste, zaczesane do tyłu, a jasne oczy patrzą uważnie, przewiercając rozmówcę na wylot. Wciąż jest atrakcyjny, zdaje sobie sprawę, ale przecież nie ma jeszcze nawet pięćdziesiątki. Przytrafiłem mu się za młodu, rok po maturze, i byłem chyba jedynym powodem zawarcia związku małżeńskiego z moją dwa lata od niego starszą matką. Bawiąc się z nią w dom, studiował prawo i z tego, co mi czasem opowiadała, na weekendy uciekał do willi swoich rodziców - mecenasostwa z wielkim domem i ogrodem pełnym owocowych drzew na przedmieściach, gdzie w spokoju, dokarmiany przez ukochaną mamusię i z daleka od nękanego kolkami syna, czyli mnie, mógł zasiadać nad książkami. Takie to właśnie było od początku nieudane małżeństwo, którego owocem jestem ja, myślę, czując w ustach dziwny gorzki posmak porażki i odrzucenia, którym zdążyłem już chyba przesiąknąć.

Ale teraz jest tutaj, marznie na mrozie, działając w mojej sprawie, za co jestem mu wdzięczny. Ogarnął się, wypił kawę czy dwie, wsiadł za kierownicę i jest. Podejrzewam, że kiedy do niego dzwoniłem, mógł być po dwóch czy trzech kieliszkach, ale to w jego przypadku nie pierwszozna - jeżdżenie po alkoholu. Brzydzi mnie to, nienawidzę ludzi, którzy bezmyślnie narażają życie i zdrowie innych, ale nie chcę teraz o tym myśleć, to byłoby zbyt wiele jak na ten wieczór...

Młodzi policjanci nadal krążą wokół pętli, jeden z nich prowadzi na smyczy wilczura, drugi przystanął i uważnie się rozgląda, snop światła trzymanej przez niego latarki omiata rosnące nieopodal karłowate iglaki i niknie w ciemności sosnowego lasu.

Ojciec wciąż z kimś rozmawia, śnieg osiada na jego jasnych włosach, białymi plamkami naznacza ciemną wełnę płaszcza na jego szerokich prokuratorskich ramionach. Kiedy kończy rozmowę, zapala kolejnego papierosa, dopala go, chodząc w kółko i sprawdzając coś w telefonie, a później ciska niedopałek na ziemię, niecierpliwym ruchem strzepuje z rękawów i włosów śnieżynki i wsiada do samochodu.

- Synu, to jeszcze nic pewnego - zaczyna, a mnie robi się niedobrze. - Ci z helikoptera zauważyli szczelinę w lodzie, coś w rodzaju przerębla...

- Nie! - krzyczę, szarpiąc za klamkę, i wybiegam na mróz.

- To jeszcze o niczym nie świadczy. - Ojciec wysiada w ślad za mną, dogania mnie i kładzie na ramieniu rękę, którą momentalnie strącam.

- Kaja nie weszłaby na kruchy lód, nie jest idiotką. Nie weszłaby zresztą na żaden lód - mówię, a może bardziej warczę, wściekły na cały świat, na niego, na siebie, nawet na moją dziewczynę, gdziekolwiek teraz jest...

- Mówię ci tylko, co zauważyli chłopcy ze śmigłowca, nie wyciągajmy pochopnych wniosków - pociesza mnie ojciec, ale żadne jego słowa nie zdołają podnieść mnie na duchu.

Kochałem ją, myślę. Kocham! Cholera, kocham, skąd ten przeklęty czas przeszły?!

– Znajomy gliniarz chce z tobą pogadać. Nieformalnie, nie stresuj się – mówi po chwili ojciec, a do samochodu podchodzi postawny, ciemnowłosy mężczyzna w grubej pikowanej kurtce.

Nie chcę z nikim rozmawiać, ale wiem, że to konieczne. Dlatego zgadzam się przejść z nim do jego wozu, a kiedy policjant za moją niechętną zgodą włącza dyktafon, skupiam się i odpowiadam na wszystkie jego pytania. Jeśli znajdą ją martwą, będę pewnie podejrzany, zdaję sobie sprawę. Mąż, chłopak, narzeczony – jeśli chodzi o tego typu sprawy policjanci wręcz uwielbiają robić z nich swoich faworytów. Ale nie muszę się bać, nie powinienem. Przecież nie wiem nawet, gdzie Kaja się podziała, myślę, nie zrobiłem jej nic złego, nie mógłbym...

Kiedy kończę rozmowę z posepnym, siwiejącym na skroniach gliniarzem, wracam do samochodu ojca, który oznajmia mi, że ze względu na fatalną pogodę i braki w ludziach poszukiwania zostają odwołane do rana.

– Nie wierzę! – krzyczę. – A jeśli ona jest ranna?! Jeśli leży gdzieś w lesie i zamarza na tym wypizdowie, a wy...

– To nie moja decyzja, synu, ale w pełni ją popieram. Jutro zaczniemy od nowa – obiecuje, chociaż przecież nie wszedł z innymi w las, a jego eleganckie skórzane półbuty nawet nie nadają się na taki śnieg.

– Oni myślą, że Kaja nie żyje, prawda? – pytam cicho.

– Niczego nie można z góry zakładać. – Ojciec odpowiada w miarę dyplomatycznie, jak na jego możliwości, ale ja przecież wiem swoje...

Mimo że minęło dopiero kilka godzin, oni już postawili na niej krzyżyk, sprawa jest przesądzona. Jedna szczelina w lodzie i jednogłośnie uznali, że szukają już tylko ciała.

– A jeśli ktoś ją porwał? – mówię cicho. – Czy ten pies złapał jakiś trop? Czy ktokolwiek w ogóle się przejął tym, że zaginęła moja dziewczyna?! – wrzeszczę, chociaż przecież wiem, że to niesprawiedliwe.

Ludzie się przejęli, ale czasem nie da się zrobić wiele, nie od razu.

Później usiłuję sobie przypomnieć metody działania psów policyjnych – czytałem całkiem niedawno coś o molekułach zapachowych unoszących się w powietrzu, na które reagują tego rodzaju zwierzaki, ale jakie to w końcu teraz ma znaczenie?

– Zawieź mnie tam – proszę ojca. – Nad to jezioro, do tej szczeliny w lodzie.

– Synu, ty chyba kompletnie oszalałeś! Tam są już policyjne taśmy, zadeptałbyś ślady. – Ojciec wygląda na zażenowanego moim pomysłem.

– Chcę jej poszukać, muszę tam iść! – W bezsilnej złości uderzam pięścią w deskę rozdzielczą, a ojciec wyciąga rękę i gładzi mnie po głowie, mierzwiąc mi włosy.

– Synu, jeśli twoja pani wpadła do tego przereźbla, jest już bardziej zmrożona niż pieprzony mintaj z dyskontu – rzuca z właściwym sobie czarnym humorem, a kiedy dosłownie zabijam go wzrokiem, dodaje, że trzeba mieć nadzieję, ale histeria w niczym nikomu nie pomoże. – Podrzucę cię do domu – mówi po chwili.

– Zostaję tu! – upieram się, ale z nim nie ma dyskusji.

- Wrócimy jutro - obiecuje.

Jutro, myślę. Czy stanie się cud i jutro obudzę się u boku odnalezionej Kai, czy już zawsze będę rozpoczynać dzień z myślą, że jej nie ma?

Dochodzi druga w nocy, ale nie mogę spać. Poszukiwania, które spontanicznie zaaranżowaliśmy z kilkorgiem sąsiadów, zakończyły się fiaskiem. Kai nie odnaleźliśmy, później pojawiła się policja i mniej lub bardziej delikatnie zaczęto nam sugerować powrót do domów.

Położyłam więc spać Ninę, zajrzałam do pasierba, który definitywnie nie miał ochoty ze mną rozmawiać, i samotnie usiadłam w salonie, gdzie tkwię od kilku godzin.

Piotr śpi w naszej sypialni, a ja, chociaż kleją mi się oczy, czuję, że prędko nie zasnę.

Przechodzę więc do kuchni, kroję sobie kawałek chałki i parzę mocną herbatę.

Jedząc, płaczę... Mam olbrzymie wyrzuty sumienia, że początkowo zbagatelizowałam sprawę i nie przyłożyłam się nawet do pierwszych poszukiwań – mój krótki, samotny spacer na pętłę i z powrotem wydaje mi się teraz wyjątkowo żałosny. Z drugiej jednak strony czy cokolwiek zmieniłaby moja większa aktywność, skoro nawet tyle kręcących się po okolicy osób nie zdołało Kai odnaleźć? Pewnie nie...

O pierwszej w nocy Leon wysłał mi esemesa, w którym jeszcze raz dziękował za okazane mu serce, pomoc i nasze zaangażowanie, jednocześnie dając mi znać, że Kai nadal nie ma... Zakładam, że teraz, przed drugą nad ranem, sytuacja jest identyczna...

Dopijając herbatę, myślę o szczelinie w tafli lodu, którą wypatrzyła ponoć załoga śmigłowca, i do oczu napływają mi łzy. Przypominam sobie pośpiech Kai, determinację, z jaką chciała zdążyć na autobus, i jej dość klarowną deklarację, że tego akurat popołudnia musi być w mieszkaniu wcześniej, żeby pomóc swojemu facetowi w przygotowaniu kolacji. Sprawiała wrażenie szczęśliwej, widać było, że cieszy się na ten wieczór i chce jechać prosto do mieszkania. Co więc poszło nie tak? Autobus musiał jej uciec, tu nie mam nawet cienia wątpliwości. Odjechał, a ona ruszyła pieszo, wzdłuż szosy, albo już gdzieś przy pętli wsiadła do czyjegós auta. Być może ktoś stąd jechał do centrum i ją zabrał. Co wydarzyło się dalej? Nie wiem...

Nagle myślę o mężu. Wyszedł z domu kilka minut po niej, wsiadł do samochodu i pojechał po światelka, ale nie dotarł do centrum, bo ponoć źle się poczuł. Zwymiotował w zaspę i zawrcił, powiedział. Przypominam sobie jego przemoczone nogawki spodni, ubłocone buty i zagadkowe zachowanie, a mój żołądek wykonuje salto i robi mi się niedobrze. To, jak szybko poszedł na górę, też wydaje mi się niepokojące. Jakby się tam zaszył, chcąc uniknąć konfrontacji ze mną.

Alte przecież jeśli to Piotr Kaję podwiózł, wysadziłby ją przy rondzie w okolicach centrum handlowego i nic złego by się nie stało, myślę. Znam go, nie jest typem, którego można by podejrzewać o najgorsze, mówię sobie, ale jakiś cichy, wredny głosik w mojej głowie pyta mnie, czy aby na pewno znam własnego męża.

Pobraliśmy się przecież tak szybko, przed ślubem niewiele o nim wiedziałam. Spodobał mi się fizycznie, zauroczył mnie elokwencją, a samo słowo „wdowiec” brzmiało tak solidnie i pewnie. Kim jednak był Piotr za fasadą zaradnego wiceprezesa firmy, zatrokanego ojca osieroconych dzieci i mojego świeżo upieczonego męża? Czy ukrywał jakieś mroczne „ja”, o którym jeszcze nie wiem? – zastanawiam się, skubiąc rąbek swetra.

Nagle przychodzi mi do głowy coś naprawdę niepokojącego. A jeśli Piotr jej nie podwiózł, tylko potrącił? Stąd jego zdenerwowanie, mokre nogawki spodni, ubłocone buty... Co, jeśli mój mąż przypadkiem potrącił naszą nianię, a później, w panice, korzystając z tego, że szosa była akurat pusta, włożył jej ciało do bagażnika i gdzieś je wywiózł?

– Jezu, ale mi odpieprza – mrużę pod nosem, jednak podejrzenie rozrasta się w mojej głowie, nie daje mi spokoju.

Jest druga osiemnaście nad ranem, kiedy wkładam kurtkę, a później wchodzę do garażu przez łączące go z willą wewnętrzne drzwi i zapalam światło. Czarna terenówka męża stoi na swoim miejscu. Ma ubłocone koła, ale ja nie zwracam uwagi na błoto. Szukam śladów krwi, być może włosów...

Reflektory są całe. Żadnej „pajęczynki” na przedniej szybie, zero niepokojących śladów na przedzie i drzwiach. Czy Piotr zdążyłby je zetrzeć, gdyby naprawdę doszło do jakiegoś koszmarnego incydentu na szosie? Nie znam się na śladach hamowania, ale czy przy tak zdradliwie śliskiej, miejscami oblodzonej nawierzchni była szansa, że auto zaczęło sunąć bokiem, potrącając idącą poboczem pieszą i nie zostawiając przy tym znaku na asfalcie?

Kucam z przodu terenówki i oglądam zderzak. Badam zimny metal opuszkami palców, centymetr po centymetrze, mrużąc oczy, przyglądam się mu, szukam nawet najmniejszych wgnieceń czy rys, ale auto, pomijając odrobinę błota na dole drzwi i kołach, wygląda jak nowe...

Zapasowe kluczyki są na jednej z półek, za skrzynką z narzędziami. Otwieram więc działo i przez chwilę wydaje mi się, że czuję unoszący się we wnętrzu terenówki zapach perfum naszej niani – znajomą ulotną nutę frezji – Kaja zawsze uwielbiała kwiatowe, bardzo kobiece zapachy. Nie powinno mnie to jednak dziwić, w ostatnich dniach Piotrowi zdarzało się przynajmniej trzy razy ją odwozić, ona często przed wyjściem spryskiwała się wyjętymi z torebki perfumami, więc auto mogło wciąż ulotnie nimi pachnieć. Ja sama jestem alergikiem i nie perfumuję się na co dzień, wyłącznie od święta. Może właśnie dlatego w samochodzie męża wyczuwam jedynie nutę zapachową używaną przez Kają? – myślę.

Wtedy dostrzegam coś, co sprawia, że po plecach przechodzi mi dreszcz. Jej kolczyk. Jest charakterystyczny i bardzo tandetny, ale jednocześnie w pewien sposób uroczy, w kształcie choinki z czerwoną kokardką na czubku. Pamiętam, że pierwszy raz zauważyłam te kolczyki w okolicy mikołajek. Kaja miała je w uszach, kiedy robiłam fotkę jej i dzieciakom, tego jestem pewna. A teraz jeden z nich leżał na dywaniku pod siedzeniem pasażera w aucie mojego męża. Podnoszę go i ważę w dłoni. Ja nigdy nie założyłabym takiego kiczu, ale Kaja była młoda, jej to nawet pasowało, uśmiecham się pod nosem i nagle zaczynam płakać, zaraz później przychodzi panika. Co, jeśli Piotr miał coś wspólnego z jej zaginięciem, myślę? Jeśli to właśnie Piotr okaże się jednym z tych potworów, o których kręci się mroczne dokumenty? Z pozoru idealny sąsiad, mąż i ojciec, a kiedy nikt nie widzi bestia... Stojąc z kolczykiem Kai

w dłoni, usiłuję sobie przypomnieć, czy miała je w uszach tego dnia, ale jak na złość dużo pracowałam przy poprawkach i raczej się rozmijałyśmy. Zgubiła go kilka dni wcześniej czy może kilka godzin temu? – zastanawiam się, nerwowo i bolesnie przygryzając dolną wargę.

Nagle słyszę kroki, ktoś idzie przez hol na parterze. Chwilę później uchylają się garażowe drzwi, w których staje Piotr. Jest w piżamie, na którą narzucił prążkowany frotowy szlafrok, na nogach ma grube skarpety w poprzeczne pasy i ulubione szare pantofle. Wygląda tak, jakby przed momentem coś go obudziło, jak dziecko wyrwane z pierwszego snu...

– Zszedłem na dół zaparzyć sobie herbaty i wydawało mi się, że ktoś tu jest – mówi. – Czemu otworzyłaś mój samochód? – pyta.

– Byłam pewna, że zostawiłam szalik na tylnym siedzeniu – kłamie.

W prawej dłoni zaciskam kolczyk, zaskakująco ostre krawędzie plastikowej choinki wbijają mi się w skórę.

– I zostawiłaś? – pyta mąż, wciąż stojąc w progu.

– Nie – mówię, zanim zamykam drzwi od strony pasażera.

– Nie możesz spać?

– Chyba widzisz – mruczę, a on posyła mi pytające spojrzenie.

– Jesteś na mnie zła, bo zostawiłem cię z dziećmi na cały wieczór?

– Nie jestem na ciebie zła.

– Przecież widzę – upiera się Piotr, ale nie zamierzam kontynuować tej dyskusji.

Pytam go jedynie, jak się czuje, a on mówi, że lepiej.

– Wypijesz ze mną herbatę, skoro już oboje kręcimy się po domu o tak niehumanitarnej porze? – Uśmiecha się do mnie i wyciąga rękę, żeby pogłaskać mnie po głowie.

Z garażu wychodzimy razem, później on przekręca klucz w wewnętrznych drzwiach i łapie mnie za rękę. Tę, w której jeszcze przed momentem trzymałam kolczyk Kai. Jednak teraz jest w kieszeni moich szarych dresowych spodni, które czasem wkładam nocą, gdy nie mogę spać, albo kiedy sprzątam.

W kuchni Piotr rozlewa zaparzoną kilka minut wcześniej herbatę do naszych ulubionych zimowych kubków w renifery, ale nawet słowem nie pyta o Kaję, a przecież, skoro przespał cały wieczór, chyba powinien być ciekawy, czy nasza niania się odnalazła.

Pijąc herbatę, zastanawiam się, czy on podejrzewa, że celowo poszłam obejrzeć jego wóz, i przechodzą mnie ciarki. Chciałam jeszcze zajrzeć do bagażnika, ale nie zdążyłam. A co, jeśli ona nadal tam jest? – myślę nagle i robi mi się słabo. Czy jest taka opcja, że mąż, potrafiwszy dziewczynę, w panice upchnął ją do bagażnika, a później wrócił do domu z uwięzioną z tyłu wozu ofiarą wypadku, żeby wszystko sobie dokładnie przemyśleć i zastanowić się, gdzie podrzucić zwłoki? A jeśli to wcale nie są zwłoki? Jeśli Kaja – ranna i przerażona, być może zakneblowana, właśnie teraz leży w jego aucie, drżąc z zimna i bezgłośnie wołając o pomoc? Myślę o tym, podczas gdy Piotr wyjmuje z szafki ozdobną metalową puszkę z motywem ostrokrzewu, w której trzymamy biszkopty.

– Chcesz? – pyta, wyciągając pudełko w moją stronę, ale przecząco kręcąc głową, jestem pewna, że nie byłabym w stanie niczego przełknąć.

- Wyjątkowo trudny dzień – mówi mąż, siadając naprzeciwko mnie, ale wcale nie sprawia wrażenia zdruzgotanego.

Wręcz przeciwnie, je z apetytem, a później mówi coś o tym, że według najnowszych prognoz jest szansa na białe święta.

- Nie zapytasz o Kaję? – odzywam się po kilku chwilach milczenia.

- Nie znaleźli jej jeszcze, już to wiem. Jakoś przed dwudziestą trzecią Jędrak Bojarski wysłał mi esemesa i mniej więcej się orientuję, co się działo wieczorem.

- Myślisz, że przytrafiło się jej coś naprawdę złego? – pytam cicho, nie odrywając wzroku od jego twarzy.

- Nie wiem, ciężko powiedzieć. Szczelina w lodzie brzmi niepokojąco, ale przecież mogła powstać zupełnie bez związku i udziału Kai. Trzeba mieć nadzieję, że wszystko się wyjaśni. Może w drodze do mieszkania pokłóciła się z tym swoim chłopakiem i żeby zrobić mu na złość, śpi u koleżanki, nie mając pojęcia, że wszyscy jej szukamy?

- Nie sądzę, zresztą Leon mówi, że nic takiego nie zaszło – mówię, a mąż obojętnie wzrusza ramionami.

- A ja uważam, że są na to spore szanse. Mów, co chcesz, ale charakterek to ona miała. – Uśmiecha się pod nosem. – A jego nie znam, więc nie wiem, na ile możemy mu ufać. Zostawmy to w rękach policji, oni wiedzą, co zrobić.

- Aż tak dobrze ją znałeś? – dziwię się, nie komentując jego późniejszej uwagi o Leonie i policji.

- A ty nie? Daj spokój, Dagmara! Przecież czasem nawet się z tego nabijaliśmy, jaka z niej mała złoźnica.

- Powiedziałeś „miała”, czas przeszły – dociera nagle do mnie. – Powiedziałeś, że Kaja miała charakterek.

- Nie łap mnie za słówka – obrusza się Piotr. – Idziemy spać? Znacznie lepiej się czuję, możesz wracać do naszej sypialni, to raczej nie grypa.

- Prześpię się w pokoju gościnnym na dole, wolę nie ryzykować – decyduję. – Jeśli jednak coś rozłoży cię na święta, przynajmniej ja będę w stanie ogarniać dom, dzieciaki i całą resztę.

- Jak wolisz, kotku. – Piotr wstaje od stołu, pochyla się, żeby pocałować mnie w czubek głowy i z kubkiem niedopitej herbaty w ręku opuszcza naszą przestronną, cichą kuchnię.

Kiedy wychodzi, zerkam w stronę okna. Na zewnątrz wciąż sypie, ale lekko się ociepliło. Według mojego telefonu jest już „tylko” minus jeden, znacznie też zelżał wiatr.

Gdzie jesteś, Kaju? – myślę, chowając na miejsce puszkę po biszkoptach.

Zanim się kładę, idę do holu i zerkam w stronę garażowych drzwi. Chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że to niedorzeczne, idiotyczne i po prostu śmieszne, wiem, że dopóki nie sprawdzę bagażnika terenówki, nie zdołam zmrużyć oka. Boję się jednak iść do garażu, dopóki mąż nie śpi – gdyby teraz przyłapał mnie na oględzinach swojego wozu, nie miałabym pojęcia, jak wytłumaczyć mój powrót tam...

Przechodzę więc samotnie do salonu i z nogami okrytymi pledem kładę się na sofie, co chwilę zapadając w płytką drzemkę i budząc się.

Koło czwartej trzydzieści nad ranem wstaję – zmarznięta, z zeszywniałym barkiem – i na palcach, starając się poruszać bezszelestnie, idę do ciemnego holu. Przy wiodących na górę schodach przystaję i nasłuchuję, chcąc się upewnić, czy na pewno wszyscy domownicy śpią, ale nic nie wskazuje na to, żeby było inaczej – z góry nie dochodzą żadne dźwięki. Później przekręcam klucz w drzwiach i w samych skarpetkach wkraczam na lodowato zimną betonową podłogę.

Zanim otwieram bagażnik, biorę głęboki wdech. Co, jeśli ona naprawdę tam jest? – myślę. Wezwę karetkę i policję, skazując męża na areszt i późniejsze długie lata odsiadki, czy może obudzę Piotra i zaczniemy tuszować to, co zrobił, ręka w rękę, z myślą o dobru dzieci i naszym finansowym przetrwaniu? Co zrobiłabym, gdybym odkryła, że mój mąż przez przypadek potrafił naszą nianię, a później spanikował i zaczął ukrywać dowody zbrodni?

Zawsze miałam się za dobrego człowieka, uważałam, że mój kompas moralny jest niewzruszony, ale czy w takiej sytuacji nie porzuca się wszystkiego, w co się wierzy, żeby chronić najbliższych? Kocham Piotra i jestem z nim bardzo szczęśliwa. Pokochałam też jego dzieciaki, które w ciągu swojego krótkiego życia zdążyły już stracić matkę, więc gdyby okazało się, że ich ojcu grozi wieloletnia odsiadka, byłyby pewnie zdruzgotane...

– Proszę, niech cię tam nie będzie – szepczę, zanim otwieram bagażnik.

Kiedy zerkam do środka, przyświecając sobie latarką z telefonu, bo nie odważyłam się tym razem zapalić górnego światła, ulga, jaką czuję, prawie zwała mnie z nóg. Nie ma jej tam! Jezu Chryste, nie ma jej! Uświadamiając to sobie, prawie płaczę ze szczęścia. Później pochylam się i węszę, niczym myśliwski pies, chcąc sprawdzić, czy wykładzina, którą wyłożony jest bagażnik, nie pachnie frezjową nutą, ale niczego takiego nie wyczuwam.

Zamykam więc klapę i wymykam się z garażu, ze zlodowaciałymi stopami, ale lekkim sercem. Później wchodzę na górę, wślizguję się do naszej sypialni i kładę obok śpiącego męża, czując bijące od jego ciała ciepło, które momentalnie mnie rozgrzewa. Już nie chcę spać sama w gościnnej sypialni, myślę. Potrzebuję Piotra, przy nim czuję się bezpieczna – myślę.

Zanim się jednak kładę, chowam do kosmetyczki pojedynczy kolczyk Kai. Musiała go zgubić kilka dni temu, kiedy Piotr podrzucił ją na przystanek sto osiemnastki, tłumacząc sobie. Przecież nic innego nie mogło się wydarzyć...

Noc przesypiam fatalnie. Leżący obok mnie Mateusz prawie cały czas chrapie, ja bezsenne przewracam się w pościeli, później samotnie kręcę się po parterze, podlewam kwiaty, wychodzę nawet na moment na taras, z którego kontempluję widok zaśnieżonych szuwarów i ciemnej tafli wody i drżąc z zimna pośród sypiącego śniegu, z narzuconą na ramiona mężowską kurtką, piję grzane wino z cynamonem, goździkami i rumem, które kilka minut wcześniej przygotowałam dla siebie w kuchni.

Alkohol mnie rozgrzewa, ale tylko na chwilę. Odkąd dowiedziałam się, że zaginęła niania Rosnerów, ciągle mi zimno, zwłaszcza po wieczornym spacerze, podczas którego bezskutecznie i bezcelowo obeszlśmy szmat terenu. Przecież to stało się gdzieś tu, pod naszym nosem! Rezydencję przy wjeździe, tuż za pętlą i wartownią, zajmuje rodzina dewelopera, który wybudował nasze osiedle – on, jego raczej aspołeczna żona, pies i pięcioletni syn, później, dalej w szeregu, jesteśmy my, a za nami Piotr i Dagmara Rosnerowie. Co, jeśli ktoś tej dziewczynie zrobił krzywdę? – zastanawiam się. Ktoś z nas...

Nagle myślę o mężu. Dupek lubi młode laski, ma grubą kasę i zdarzyło mu się już mnie zdradzić. Czy to możliwe, że zrobił coś niani, z którą za moimi plecami połączyła go jakaś sekretna historia? Ale co? Przecież jej nie zgwałcił, uśmiecham się krzywo. Zresztą akurat ta panienka wyglądała mi na taką, która nie bardzo by chyba protestowała, gdyby dobrał się do niej mężczyzna taki Mateusz, mówię sobie.

Później wracam do domu, zamykam przeszklone wyjście na taras i siadam na sofie. Jest mi tak zimno, że przynoszę z pokoju gościnnego puchową koldrę po babci, którą się otulam. A mój syn? Niedawno kpił, że niania Rosnerów jest dla niego za stara, ale świetnie wiem, że dziewczyna mu się podoba, każda matka wyczuwa takie rzeczy. Zresztą wielokrotnie kręcił się przy niej, kiedy jesienią wystawała na pętli, raz chyba nawet podrzucał ją do centrum, wyraźnie coś było na rzeczy. Mniej więcej w czasie, kiedy zaginęła ta dziewczyna, Adam wybiegł z domu i dokąś pojechał, przypominam sobie, ale szybko ganię się w duchu za snucie tak nedorzecznych podejrzeń. Przecież razem nie uciekli, prawda? Zważywszy na to, że syn smacznie śpi na górze, w swoim pokoju. To ona zaginęła, nie on. Pewnie gdzieś się szwenda, może poszła potańczyć, a jej chłopak zrobił raban na pół Polski. Myśląc o Leonie, krzywo się uśmiecham. Przystojny koleś, ale też chyba irytująco zarozumiały. Musi mieć świetnie ustawionego tatusia, skoro tyłu gliniarzy od razu przybiegło, żeby przeczesywać las, myślę.

Nad ranem wracam do naszej małżeńskiej sypialni i udaje mi zasnąć, ale już przed ósmą budzi mnie dzwoniąca komórka.

– Cześć, nie za wcześnie? – pyta Ewa, kiedy sięgam po telefon i odbieram.

Zdecydowanie za wcześnie, myślę, ale na głos zapewniam ją, że nie ma problemu.

Ewa jest jedną z tych nielicznych sąsiadek, z którymi mam w miarę bliskie relacje, chociaż moje uczucia do niej są mocno ambiwalentne. Z jednej strony ją podziwiam – jest prawniczką, panią mecenas od rozwodów, która wspólnie z przyjaciółką prowadzi własną kancelarię, ale z drugiej strony jej zazdroszczę – nietuzinkowej urody, pewności siebie i własnego domu, na który zarobiła sama, w pojedynkę. Ja w życiu nie mogłabym sobie pozwolić na samotne zamieszkanie w tak elitarnym miejscu jak nasze osiedle – finansowo jestem niemal całkowicie zależna od Mateusza, co z roku na rok frustruje mnie coraz bardziej... Ona radzi sobie świetnie, w dodatku jeździ porsche i wysłała córkę do prywatnej szkoły, w której uczyły się najbogatsze dzieciaki. Tak, zazdroszczę jej, ale jednocześnie zawsze dobrze mi się z nią rozmawia – Ewa jest otwarta, życzliwa i szczerą – kiedy dzwoni, gadamy zazwyczaj o wszystkim, jakbyśmy znały się od wieków, a przecież tak nie jest – ona wprowadziła się do Forest Hill jako jedna z ostatnich, dopiero kilka miesięcy temu...

– Wiesz już, co się dzieje nad jeziorem? Nurkowie zaczynają szukać ciała – rzuca Ewa, a ja nerwowo zerkam w stronę okna, chociaż przecież nie zdołam zobaczyć z niego miejsca, w którym działają służby.

– Ciągle myślę, że to mogło być któreś z naszych dzieci – mówię, a Ewa gniewnie parska.

– Więc nie myśl! Nasze dzieciaki są bezpieczne, może dlatego, że lepiej ich pilnujemy!

– Ona była pełnoletnia, chyba po dwudziestce – przypominam koleżance.

– Wiem. Mówię tylko, że nie możesz się katować takimi upiornymi wyobrażeniami.

– Myślisz, że ona tam jest? No wiesz, pod lodem? – szepczę do telefonu.

– Oby nie – odpowiada Ewa równie cicho.

– Od wczoraj nie mogę przestać o tym myśleć. Zastanawiam się, co ją spotkało, analizuję wszystkie możliwe scenariusze. A jeśli ktoś ją zgwałcił? Tu, dosłownie pod naszymi nosami, w tych lasach, w których biegamy, spacerujemy i wyprowadzamy psy?

– Nie masz psa. – Ewa parska nerwowym śmiechem, a ja jej wtóruję.

– Fakt, i całe szczęście. Wystarczy mi opieka nad rozpieszczoną dziewięciolatką i parą samców z dwiema, przepraszam, czterema lewymi rękoma. Ale wiesz, jak mi odbija? Przez chwilę zastanawiałam się nawet, czy Mateusz nie ma z nią romansu.

– Z nianią Rosnerów? Daj spokój. – Ewa znowu się śmieje i dodaje, że musi kończyć, a ja wyobrażam sobie ją, ubraną w którąś z tych eleganckich sukienek, które wkłada do pracy, w pełnym makijażu, w pośpiechu popijającą poranną kawę, i robi mi się wstyd.

Ostatnio za długo śpię i kompletnie o sobie nie dbam. Potrafię nawet do szesnastej snuć się po domu w koszuli nocnej i szlafroku, ignorować dzwonek do drzwi, żeby unikać wizyt listonosza, i nawet czasem darować sobie szcztokowanie włosów, chociaż przecież jeszcze niedawno tak bardzo się cieszyłam ze zmiany koloru na platynę. Ubieram się dopiero przed powrotem męża do domu, jemu wolę się jednak nie pokazywać taka rozmemłana... Tymczasem Ewa lada moment wsiądzie w swoje porsche cayenne w kolorze starego złota i ruszy do centrum, gdzie, stukając obcasami przywiezionych z Mediolanu szpilek, będzie się przechadzać po marmurowych posadzkach własnej kancelarii. Ja tymczasem spędzę przedpołudnie na ogarnianiu domu, zabawianiu córki i w sumie na niczym więcej.

– Beznadzieja – szepczę do siebie i zmuszam się, żeby wstać z łóżka.

Mateusz chyba już wyszedł, w domu panuje niczym niezmacona cisza. Żadnego odgłosu wody leżącej z prysznica, pracującego ekspresu do kawy, nic. Lena może jeszcze spać, Adam niemal na pewno – ten truteń, mój syn, kiedy tylko nie musi iść do szkoły, potrafi spać do południa, a tak się akurat złożyło, że na kilka dni przed świętami zostawiliśmy dzieciaki w domu, nie chcąc, żeby przywlokły szalejącą w obu placówkach gripę.

Parzę kawę w kuchni i wyglądam przez okno, ale nie widzę niczego ciekawego i nagle czuję przemożną chęć pójścia do lasu, nad drugie jezioro, tam, gdzie ponoć nurkowie właśnie szukają ciała zaginionej niani.

Plany krzyżuje mi jednak Lena, która schodzi na dół w piżamie i płaczącym głosem oznajmia, że boli ją brzuch.

Kurwa mać, klnę w duchu, wściekla na Bogu ducha winną córkę, bo niestety prawda jest taka, że w naszym domu jak nie urok, to szraczka...

– To wracaj do łóżka, zrobię ci dobre śniadanko – mówię, a ona wciąż tym żałosnie płaczącym tonem pyta, gdzie jest tatuś.

Dobre pytanie, myślę, podejrzewając, że Mateusz, chcąc uciec przed przedświąteczną gorączką, pojechał do swojego architektonicznego studia, gdzie przez kilka kolejnych godzin będzie udawać, że pracuje, tak naprawdę przeglądając Internet, grając w wojenne gry i otwarcie flirtując ze swoją dwudziestosiedmioletnią asystentką...

– A Adam gdzieś wyszedł – odzywa się nagle Lena, zanim wychodzi z kuchni.

– Gdzie wyszedł? – dziwię się.

– W nocy wyszedł – dodaje, jak zawsze z wielką satysfakcją donosząc na starszego brata, który od jakiegoś czasu kompletnie ją ignoruje.

– Adam wyszedł w nocy? – Ze zdziwienia uchylam usta, chociaż przecież wiem, że jest grudzień, a ona ma tylko dziewięć lat i równie dobrze mogło być już nawet po siódmej rano, za oknem wciąż jest wtedy ciemno.

– Zadzwonimy do niego? – dodaje, sięgając po telefon, a Lena siada na jednym z hokerów ustawionych przy kuchennej wyspie i machając nogami w powietrzu, przygląda się jak wybieram numer syna.

Niestety, mimo że dość długo trzymam telefon przy uchu, syn nie odbiera.

Piszę więc esemesa z zapytaniem, gdzie jest, i odkładam telefon na kuchenny blat.

– Co chcesz na śniadanie? – pytam Lenę, która obojętnie wzrusza ramionami.

– Może płatki? – mówi po chwili namysłu, a ja posyłam jej uśmiech.

Moja córeczka, myślę. Jedyne promyk słońca w domu przepełnionym energią butnych, aroganckich samców. Bo owszem, czasem tak o mężu i synu myślę – jest ich tylko dwóch, ale bywa, że dom dosłownie wibruje od wszechobecności testosteronu. Obaj zbyt głośno mówią, tupią, zbiegając po schodach, nieustannie trzaskają drzwiami i wszędzie rozrzucają swoje brudne skarpety, przepocone podkoszulki i noszone bokserki. Lena jest inna. Cicha, nieśmiała, pedantyczna, choć jednocześnie odrobinę rozpieszczona, ale to akurat moja wina. Kiedy jesteśmy same, odprężam się, odnajduję wewnętrzną równowagę, którą tracę od razu po powrocie męża czy syna, a już z całą pewnością, kiedy Adam sprasza do nas hordy swoich zajeżdżających potem, przyszczytanych i głośnych kumpli.

- Mamusiu, a czy ta ruda pani nie żyje? – pyta nagle Lena, a ja nieruchomieję z miską na płatki w dłoni.

- Wiesz, co się wczoraj stało? – dziwię się, bo jeszcze minutę wcześniej byłam pewna, że moja dziewięciolatka nie jest w temacie.

- Podśledzałam, jak Adam rozmawiał przez telefon. Ona nie żyje, tak?

- Żyje, córeczko. Po prostu gdzieś się zasiedziała i jej chłopak się martwi.

- I panowie policjanci też się martwią? – drażni temat Lena.

- Tak, oni też – mówię, zastanawiając się, czy moja córka szybko zapomni o całej sprawie, czy wręcz przeciwnie, będzie do niej wracać i zadawać niewygodne pytania. – Połóż się – proszę ją. – Albo nie, czekaj. Zjedz i pójdziesz do łóżka. Masz gorączkę? – pytam i przykładam dłoń do jej czoła, które faktycznie jest dość ciepłe.

Cholera!

Kiedy Lena je, odczytuję esemesa od Ewy.

„Błagam, ratuj! Mojej mamie skończyła się mąka, a bardzo chce coś jeszcze dziś upiec. Podrzuciłabyś jej tak z kilo czy dwa? Oddam! Nie chcę, żeby wychodziła na tę ślizgawicę!” – czytam i od razu żałuję, że to zobaczyłam.

Nie chce mi się ubierać, wychodzić na mróz i przede wszystkim robić niczego konkretnego z włosami. Jestem rozczochrana, zmęczona i rozbita emocjonalnie po wczorajszych wydarzeniach i niemal nieprzespanej nocy, a przede wszystkim nie mam ochoty na rozmowę z panią Aliną, emerytowaną polonistką, która zapewne wciągnie mnie w jakies okołoliterackie dyskusje albo obnaży moją bezdenną ignorancję w temacie współczesnej prozy europejskiej... Głupio mi jednak odmówić Ewie i faktycznie fatalnie by się złożyło, gdyby przesympatyczna i zawsze promienna starsza pani połamała się przez moją nieuprzejmość. Odpisuję więc, że w ciągu godziny podrzucę jej matce mąkę, a później zostawiam córkę nad płatkami, pędzę pod prysznic i usiłuję wykrzesać z siebie minimum energii potrzebnej do przetrwania kolejnego dnia...

Kiedy jakieś pół godziny później – pomalowana, z ułożonymi włosami i znośnie ubrana – schodzę na dół, odkrywam, że po tym jak upiekłam pierniczki, nie mamy już mąki – Mateusz zapomniał kupić, chociaż tuż przed świętami to przecież priorytet.

- Ja pier... – ucinam cisnące się na usta przekleństwo i jeszcze raz przeszukuję szafki, tym razem odkrywając dwa kilo poznańskiej, które Mateusz bądź Adam upchnęli za stare i rzadko używane garnki Zeptera.

- Mamo, mogę włączyć telewizor? – pyta Lena gdzieś za moimi plecami.

Zazwyczaj nie zgadzam się, żeby oglądała cokolwiek, zwłaszcza kiedy ma wyłączną kontrolę nad pilotem, ale tego akurat dnia mam już chyba wszystko gdzieś...

- Jasne, córciu – mówię. – Włącz sobie coś, a ja skoczę do pani Aliny i zaraz wracam. Pod żadnym pozorem nie otwieraj nikomu drzwi, słyszysz? Choćby nie wiem, co mówił.

- A jeśli będziesz miała wypadek? – pyta moja dziewięciolatka.

- Idę kilka domów dalej, więc może nie będzie tak źle. – Uśmiecham się do niej. – Włącz sobie coś, ale jeśli będzie zbyt brutalne, zmień kanał.

- A Adam może oglądać wszystko – wypomina mi córka, zanim wychodzi z kuchni.

- Adam jest pełnoletni – mruczę, pakując mąkę do lnianej siatki, którą kilka lat wcześniej kupiłam na jarmarku w Toskanii.

Przy frontowych drzwiach zdaję sobie sprawę, że mój syn nadal nie odśnieżył przed domem, i w przypływie wściekłości sama łapię za łopatę. Jasne, moi panowie nie zmoczą sobie butów, bo wyjeżdżają z garażu, przez bramę. To ja muszę przebrnąć do furtki przez sięgający powyżej kostek śnieg... Odśnieżając chodnik przed naszą willą, zdaję sobie sprawę, że tylko ja robię to sama. Pozostałe kobiety mają uczynnych mężów, nastoletnich synów lub zatrudniają studentów do dbania o podjazd zimą i koszenia trawy w lecie. Wiem, że to w sumie nic takiego i żadna hańba, ale kiedy z łopatą do odśnieżania w rękę widzi mnie przechodząca akurat uliczką Sylwia Wilczyńska, czuję się upokorzona. Nie ja powinnam walczyć z tonami cholernego śniegu, mówię sobie i czuję napływające do oczu łzy.

- Cześć, sąsiadko! – Sylwia macha mi odzianą w elegancką skórzaną rękawiczkę dłonią; wygląda tak promiennie, że z frustracji aż zaciskam zęby.

- Cześć – odpowiadam raczej chłodno, modląc się, żeby Wilczyńska nie wciągnęła mnie w rozmowę, bo chcę tylko zanieść pani Alinie tę mąkę, a później wrócić do domu, zmyć oczy, wskoczyć w ulubiony dres i w towarzystwie córki zalec przed telewizorem, z miską popcornu pomiędzy nami.

Całe szczęście Sylwia wyraźnie się spieszy – taksówka stojąca kilka metrów dalej okazuje się czekać na nią.

Po uporaniu się z odśnieżaniem padam na twarz i drżą mi mięśnie ramion, co sprawia, że czuję się stara. Wchodzę do domu, żeby sprawdzić, co robi córka, a kiedy upewniam się, że młoda siedzi na sofie w salonie zapatrzona w plazmę, na której ekranie jakaś blondyna z drinkiem w ręku i zblazowanym wyrazem twarzy leży nad hotelowym basenem, wymykam się z domu i z darami w postaci dwóch kilogramów mąki w ręku ruszam w stronę rezydencji Ewy.

Dzwoniąc do furtki, przyglądam się zdobiącemu frontowe drzwi wieńcowi z ostrokrzewu, który wygląda mi na dość drogi, później lustruję wzrokiem ustawione na schodach donice z niewielkimi iglakami i dziwię się, że Ewie, która jest przecież ateistką, w ogóle chciało się wczuwać w bożonarodzeniowy nastrój...

Pani Alina otwiera drzwi w momencie, w którym zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle słyszała dzwonek, i macha do mnie z werandy.

- Wejdz, kochanie! – krzyczy, a ja przypominam sobie, że przecież Ewa wysłała mi esemesem kod od ich furtki, w pośpiechu sprawdzam komórkę, wpisuję go i wchodzę na zaśnieżony ogród.

- Dzień dobry. – Uśmiecham się, zamierzając wręczyć starszej pani siatkę z mąką i zmyć się, ale ona zaprasza mnie do środka i jest, delikatnie mówiąc, mocno namolna.

- Dobrze, ale tylko na pięć minut – mówię, dodając, że Lena jest sama w domu.

- Lena to już duża pannica. – Pani Alina lekceważąco macha ręką. – W jej wieku opiekowałam się młodszymi braćmi i pomagałam mamie w kuchni, a tacie w piekarni.

- To były inne czasy – mówię, a matka Ewy posyła mi rozbawione spojrzenie.

- Skoro tak mówisz. – Uśmiecha się.

Później zaprasza mnie do kuchni, w której pachnie korzennymi przyprawami, i sadza za olbrzymim okrągłym stołem. Na blacie stoi wazon ze sztucznymi i mocno według mnie kiczowatymi różami oraz stos kryminałów, głównie polskich autorów, co wnioskuje po nazwiskach widniejących na ich nieco pozaginanych grzbietach.

– Dziękuję, że się do mnie pofatygowałaś. Rano upiekłam pierniczki, zużyłam resztę mąki, sama widzisz – rzuca, siadając naprzeciwko mnie. – Co u ciebie, kochanie? – pyta, a ja zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co odpowiedzieć.

Rzucam więc coś o tym, że u nas po staremu, a ona nakłada na talerz kilka pierniczków, wstaje, wyjmuje z lodówki zimne mleko i wlewa je do szklanki.

– Moja Ewunia od dziecka lubi je właśnie z zimnym mlekiem. – Uśmiecha się, stawiając przede mną szklankę. – Jedź, kochanie, błada coś jesteś... Te ostatnie dni przed świętami to wyjątkowo trudny czas dla pań domu, a tu jeszcze ta wczorajsza sprawa z nianią Rosnerów... Szukają jej nurkowie, Boże drogi, oby nie znaleźli...

– Słyszałam – mówię, zanim wgrzynam się w pierwszy pierniczek. – Pyszne – dodaje, a pani Alina swoim zwyczajem zaczyna opowiadać o ostatnio przeczytanej książce jakieś znanej ponoć polskiej autorki, o której, prawdę mówiąc, pierwszy raz słyszę.

Ku mojemu zaskoczeniu urywa jednak swoje literackie rozważania i mówi, żebym może faktycznie wracała już do córki.

– Dziękuję. – Uśmiecham się, kiedy mimo moich protestów gospodyni wręcza mi miseczkę pełną słodkości, i ruszam do drzwi.

Przechodząc przez hol, dostrzegam poustawiane na kamiennym obramowaniu kominka figurki reniferów, olbrzymiego Mikołaja wypełniającego wnękę pod schodami i kilka stroików, które zdobią niewielkie drewniane komódki. Dom kobiet, myślę. Pachnący kobietami, pełen dobrej energii, ciepła i dopieszczony. Ewa, jej mama i córka, nawet kotka jest kobietą, myślę i nagle chce mi się płakać. Tak tu domowo, myślę. U nas tego nie czuję...

– Wesołych świąt – rzucam w progu, chociaż Bóg, w którego nie wierzę, mi świadkiem, że dałabym wszystko, żeby był już styczeń, a najlepiej maj!

– I dla was, kochanie – odpowiada pani Alina, po czym mnie obejmuje i długo do siebie tuli, co sprawia, że jeszcze bardziej chce mi się płakać.

Wracając do domu, mniej więcej w połowie drogi ślizgam się na chodniku i upadam, boleśnie tłukąc sobie biodro. Wstając, przypominam sobie, jak dzień wcześniej parsknęłam śmiechem na widok upadku Kai, i tym razem przestaję już walczyć z łzami. Na szczęście uliczka jest pusta, więc przynajmniej nikt nie jest świadkiem mojego wyczynu, pocieszam się, kiedy udaje mi się już wstać i otrzepać śnieg z dżinsów.

W domu młoda nadal siedzi przed plazmą, Mateusza wciąż nie ma, jest za to Adam. Wyraźnie słyszę jego głos. Syn rozmawia z kimś przez komórkę, kręcąc się po kuchni.

„Jasne, że stary zdradza matkę, od lat” – słyszę nagle jego głos. Później dodaje, że w sumie starszy wie, jak korzystać z życia, ale z drugiej strony on sam nie chciałby chyba być aż tak wrednym, egoistycznym bucem, i wybucha paskudnym, złośliwym śmiechem.

Polykając łzy, wycofuję się do holu. Później trzaskam frontowymi drzwiami, udając, że dopiero co weszłam, przez chwilę stoję w korytarzu, dając sobie czas na „zdjęcie butów”, co

przecież już zrobiłam, a później przechodzę prosto do kuchni.

- Dokończ odśnieżanie, bo ja nie miałam siły na całość – mówię ostro, a syn posyła mi zdziwione spojrzenie, zaskoczony wrogim tonem mojego głosu.

- Dobra, ale teraz gadam z...

- Teraz! – wrzeszczę, a później podchodzę do niego, wyrywam mu z ręki komórkę i ciskam nią o ścianę.

- Kurwa, mam, bez kitu – mamrocze zszokowany moim atakiem Adam, ale wyraz mojej twarzy jest chyba ostatecznym argumentem i syn wychodzi z kuchni, nawet nie patrząc w stronę leżącego na podłodze telefonu.

Podnoszę go więc, rozłączam rozmowę, ignorując rzucane z drugiej strony „halo!, halo?!”, i kładę telefon ze strzaskanym ekranem na stole. Skończyło się ignorowanie mnie, myślę. Albo zaczną mnie szanować, albo wykopię z domu ich obu – męża i tego trutnia Adama.

- Nie syp tego śniegu w rododendrony! – wrzeszczę chwilę później, w końcu zamykam okno, idę do salonu i siadam obok córki.

- Czemu krzyczałaś na Adama? – pyta młoda, ale nie zamierzam się wdawać w dyskusję.

Obejmuję ją ramieniem i bez słowa wpatruję się w ekran naszej olbrzymiej plazmy.

Muszę coś zrobić ze swoim życiem, myślę.

Problem w tym, że nie mam pojęcia co...

12

KAROLINA

Rano, następnego dnia po utonięciu Kai, przestaje sypać, ale nadal trzyma lekki mróz, a świat za oknem wygląda jak jakaś bajkowa kraina. Ciężko w całej tej sielance umiejscowić tragedię młodej dziewczyny, która wydarzyła się tuż obok nas, myślę, wolno sącząc kawę.

Jest kilka minut po dziewiątej, kiedy słyszę frontowe drzwi – ktoś wchodzi do domu.

– Robert, to ty?! – krzyczę, wiedząc, że wczesnym rankiem mąż wyskoczył do klubu fitness w centrum, do którego chadzał jeszcze przed naszą przeprowadzką.

Odpowiada mi córka.

Ma dziwny głos, wydaje się zdenerwowana. Zaniepokojona, odstawiam filiżankę z kawą i przechodzę do holu.

Michalina stoi przy frontowych drzwiach. Ma wilgotne włosy, mokre dżinsy, kozaki, nawet jej jasnobłękitna pikowana kurtka gdzieś wyjada się przemoczona. Ten widok wytrąca mnie z równowagi, zwłaszcza że nie mam pojęcia, co jej się przytrafiło.

– Nie krzycz na mnie – prosi, zanim zrzuca na podłogę mokrą kurtkę, pozbywa się butów i z trudem ściąga kompletnie przemoczone wąskie dżinsy.

– Morsowałaś? – pytam raczej kąśliwym tonem, a ona parska śmiechem.

– Tak jakby – rzuca.

Widzę, że drży, musiała zmarznąć.

– Miśka, co się stało? – pytam.

– Powiem ci, tylko najpierw gorący prysznic – obiecuje moja jedynaczka, zanim w pośpiechu rusza w stronę schodów na górę.

– Jadłaś śniadanie?! – krzyczę, bo Michaśka jest już na półpiętrze.

– Nie! Poproszę o kanapki z jajkiem i majonezem! – odkrzykuje młoda, zanim znika w swoim połączonym z niewielką łazienką pokojem na piętrze.

Wracam więc do kuchni, gdzie wyjmuję z lodówki jajka i decyduję, że ugotuję wszystkie, które zostały, dzięki czemu będą na zapas, do sałatki warzywnej. Czekaając, aż zrobią się na twardo, przechodzę do holu i zbieram rozrzucone przez córkę rzeczy, które po prostu tam zostawiła, ale nie czuję złości. W maju ma maturę, później pewnie rozpoczną się jej studia i jednocześnie moja walka z pustym gniazdem...

Kiedy o tym myślę, żałuję, że nie zdecydowaliśmy się z Robertem na drugie dziecko. Był taki czas – Miśka miała jakieś osiem, dziewięć lat, a my dość często o tym mówiliśmy, ale ostatecznie plan nie wypalił... Na pociechę będę mieć pracę – uśmiecham się z myślą o butik w centrum, który otworzyłam kilka lat wcześniej. Prowadzenie go daje mi dużo satysfakcji, chociaż oczywiście zatrudniam ekspedientki, ale zawsze mogę tam sobie podjechać, wypić kawę z dziewczynami, pogadać z naszą krawcową, pośmiać się. „Ona tańczy” to przyjazne,

stworzone przez kobiety i dla kobiet miejsce, w którym sprzedajemy głównie wieczorowe kreacje, ale jest też kącik z sukienkami w stylu biurowym i ściana płaczu, jak żartobliwie i wyłącznie między sobą nazywamy podświetlaną witrynę z torebkami, które są dość drogie, co zazwyczaj rodzi narzekania niektórych klientek. Na otarcie łez mamy dla nich tanią sztuczną biżuterię i kawiarniany barek, w którym po bardzo promocyjnych cenach serwujemy kawę i ciastko dnia, a czasem kieliszek wina, w zależności od pomysłu i promocji.

Michalina schodzi na dół, kiedy rozsmarowuję masło na kromkach razowca.

- Dzięki, kochana jesteś. - Córka przytula się do moich pleców i przez moment stoimy objęte.

- Usiądź, mamy do pogadania - mruczę, kiedy młoda w końcu mnie puszcza, a ona teatralnie wzdycha, ale posłusznie siada przy stole. - Więc?

- No dobra, i tak to ze mnie wyciągniesz - krzywi się. - Wpadłam do jeziora. Zadowolona?

- Wpadłaś do jeziora? - Odkładam nóż i z przerażeniem wpatruję się w córkę.

- No tak, a na co ci to wyglądało? Wróciłam cała mokra.

- Myślałam, że łąziłaś po zaspach i tarzałaś się w nich. Jako dziecko zawsze to lubiłaś. Nazywaliśmy cię z tatą buszującą w śniegu.

- Nie jestem już dzieckiem, jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś. - Córka puszcza do mnie oczko i sięga po jeden z leżących na stole pierniczków, tych nieco zdeformowanych i mniej udanych sztuk, które można podjadać przed świętami.

- Zauważyłam. - Wysiłam się na uśmiech, chociaż to, co przed chwilą mi wyznała Michaśka, naprawdę mnie zmroziło.

Jak, do kurwy nędzy, wpadła do jeziora?!

- A coś więcej? - pytam, usiłując z niej wyciągnąć okoliczności zajścia, z którego wyszła z wyglądem mokrej kury.

- Będziesz wściekła - uprzedza mnie Michaśka.

- Postaram się nie wpaść w szal - rzucam żartobliwym tonem, a córka ponownie teatralnie wzdycha i zaczyna mówić.

- Rano Adam napisał mi esemesa, dając znać, że nurkowie zaczynają szukać ciała. Wiesz, niani Rosnerów. Zaproponował, żebym z nimi podjechała nad jezioro, chciał zobaczyć, jak to wszystko wygląda.

- Poszliście się gapić na ludzką tragedię jak hieny? Pięknie - mruczę, zaraz później czując się jak ostatnia hipokrytka.

Przy tym, co sama ukrywam w sprawie Kai, jej niezdrowa ciekawość to pewnie pikus.

- Mogłaś się utopić, zdajesz sobie z tego sprawę?! Weszliście na lód?! Naprawdę jesteś aż tak niemądra?! - pytam podniesionym głosem, bo nagle dociera do mnie, o czym tak naprawdę rozmawiamy.

- No nie, tylko kawałek. Przy samym brzegu, może ze dwa metry w głąb jeziora, ale...

- Dziecko, czy ty masz dobrze w głowie?

- No może i nie? - Michalina parska śmiechem, kompletnie bagatelizując zajście i chichocząc, dodaje, że kiedy wpadła do wody, na ratunek rycersko ruszył jej Adam. - To on

mnie wyciągnął i na rękach zaniósł do swojego samochodu. Zmoczyłam mu tyłkiem siedzenie, ale powiedział, że żaden problem – chwali się.

- Bardzo romantyczne. Bądź jednak pewna, że gdybyś wpadła głębiej, tylko bezradnie by się przyglądał, jak toniesz. Swoją drogą dziwi mnie to, że nikt was stamtąd nie przegonił.

- Daj spokój, wpadłam po kolana, później straciłam równowagę i klapnęłam w wodę tyłkiem, ale przecież nie wlałam na sam środek jeziora! Zresztą tam kręcili się ratownicy, podeszliśmy od drugiej strony, przedarliśmy się lasem, żeby ominąć gliniarzy i policyjne taśmy.

- Akcja stulecia, brawo wy. Ciesz się, że to skończyło się tylko tak, bo mogło być gorzej – moralizuję, stawiając przed nią talerz z posmarowanym majonezem razowcem, na którym położyłam pokrojone w plasterki jajko na miękko. – Chcesz kawy, moja dorosła córko? – Pochyliłam się, żeby pocałować ją w czubek głowy, a ona mruczy: „jasne”, i wgrzyza się w kanapkę.

Kiedy parzę kawę, myślę o Adamie. Może nie powinnam wydawać aż tak ostrych opinii, ale nie uważam go za dobrego chłopaka. Syn Ilony jest w ostatniej klasie technikum, rok starszy od mojej uczęszczającej do ogólniaka Miśki. Uczy się ponoć fatalnie, ale to akurat mam gdzieś. Bardziej martwi mnie jego stosunek do matki – niejednokrotnie słyszałam jak chamsko się do niej odnosi, warczy na nią albo kompletnie ją ignoruje. Sporo mówiła mi też Dagmara – ona mieszka bliżej, ich domy ze sobą sąsiadują i wielokrotnie słyszała, jak Adam wyzywa matkę od krów, wrzeszczy na nią, obraża ją i urządza awantury. Ojca tak nie traktuje, czuje przed nim respekt. Pewnie dlatego, że to od niego ciągnie kasę, myślę. Mateusz jest architektem, świetnie zarabia i lubi rozpieszczać syna, natomiast Ilona... Cóż, na jej miejscu przemyślałabym rozwód. Rozumiem, że jest całkowicie zależna finansowo od męża i nie będzie to proste, ale, na miłość boską, jest zdrową, wciąż jeszcze młodą kobietą! Czemu nie pójdzie do pracy, nie stanie na nogi? Nie wyobrażam sobie życia na utrzymaniu męża, przecież to jakiś przedsięwzięcie piekła. O przemocy ekonomicznej w małżeństwach nie mówi się w Polsce wiele, a moim zdaniem powinno się. Co czuje Ilona, żebrząc o pieniądze? Mateusz wydziela jej kasę tak, jak daje się kieszonkowe dziecku, czy może mają jakiś sympatyczniejszy układ? – zastanawiam się, wyjmując z kredensu filiżankę dla córki. A wracając do Adama, chłopak jest arogancki, leniwy i wyniosły. Zdarzało mu się mijać mnie w uliczce bez choćby skinięcia głową, a „dzień dobry” już nie wspomnę, chociaż przecież koleguje się z moją córką i mógłby się przywitać. Czuję, że Ilona sobie z nim nie radzi i nie zazdrości jej takiego układu z synem – wygląda na to, że Adam poniewiera nią tak samo, jak mąż, a ona im na to pozwala. Nie znam jej zbyt dobrze, jakoś mnie do niej nie ciągnie. Kiedyś wpadłyśmy na siebie przypadkiem w lasku, przy boisku do siatkówki, i chociaż ledwo mnie wtedy kojarzyła, zaczęła wrednie obgadywać Dagmarę. Że zadziera nosa, wielka pani pisarka, te klimaty. Ja akurat Dagę lubię i cenię. Jest kochającą macochą dla dzieciaków Piotra i dobrym, życzliwym człowiekiem. Zakończyłam więc dość szybko rozmowę z Iloną, obiecując sobie, żeby raczej schodzić jej z drogi, co nie zmienia faktu, że naprawdę jej współczuję. Jej małżeństwo nie jest udane, to widać gołym okiem. Nigdy nie widziałam, żeby mąż ją przytulił czy się do niej uśmiechnął. On nawet na nią nie patrzy, traktuje ją jak powietrze. To musi być koszmar, życie u boku kogoś, kto już nie spogląda ci w oczy z czułością, myślę i nagle przypominam sobie

kłamstwo, które wcisnęłam własnemu mężowi... Czy Robert jeszcze kiedyś spojrzy mi w oczy z czułością, jeśli dowie się, co przed nim zataiłam? A może jednak zrozumie, miałam przecież swoje powody... Sama już nie wiem...

– Proszę, z cukrem i śmietanką. – Stawiam przed córką kawę i gładzę jej włosy.

Tak bardzo ją kocham... Kiedy myślę, że mogłabym ją stracić, nie mogę oddychać. Jest dla mnie wszystkim, ona i Robert.

– Co robisz po południu? – pytam ją, z przyjemnością przyglądając się, z jakim apetytem je.

U piętnastoletniej córki mojej starej przyjaciółki zdiagnozowano właśnie anoreksję, ale na szczęście moja Michaśka nigdy nie przejawiała idiotycznych pomysłów w stylu: „zjem sobie jedno jabłko na dzień i skubnę ze trzy pestki dyni”.

– Nic. Będę oglądać *Blair Witch Project*, Adam mówi, że zajebiste, a później się zobaczy.

– Adam, Adam, Adam... A może pójdziesz z matką na sanki? – proponuję nagle, a Michalina parska śmiechem.

– Mamuś, serio? – pyta, a ja wzruszam ramionami.

– Czemu nie? Pamiętasz tamtą górkę w okolicy naszego starego domu? Uwielbiałyśmy razem zjeżdżać – przypominam jej.

– Tak, ale miałam wtedy jakieś trzynaście lat, a ty byłaś jeszcze młoda i nie groziło ci złamanie biodra.

– Hej! To było podłe – mówię, ale i tak obie się śmiejemy. – Proszę, chodźmy na sanki. Proszę, kotku. Zabierz matkę na śnieg – powtarzam i Miśka w końcu rzuca: „dobra”.

– Ale jeśli obtłuczysz sobie tyłeczek, to później nie narzekaj – dodaje z pełnymi ustami, po czym dopija kawę, wstaje i odnosi talerz do zlewu, gdzie go myje, osusza papierowym ręcznikiem i odkłada na kuchenny blat.

– Teraz? Chyba że za bardzo zmarzłaś...

– Teraz? Niech mi się chociaż te jajka ułożą w brzuszku – żartuje Miśka, więc łaskawie zgadzam się dać jej pół godziny.

– Wyciągam sanki! – krzyczę chwilę później, z garażu.

– Jesteś kompletnie popieprzona! – odpowiada mi córka gdzieś z półpiętra, ale w jej głosie słyszę mnóstwo czułości.

Przebijając się, staram się nie myśleć o Kai, jednak ciągle mam przed oczyma to, co stało się dzień wcześniej. Może właśnie dlatego chcę zrobić coś tak idiotycznego jak wyciągnięcie osiemnastoletniej córki na sanki? Chcę chociaż na chwilę uciec od tego, co się wydarzyło, pouklądać sobie wszystko w głowie, uwolnić się od poczucia winy. Skłamałam w sprawie, w której nigdy nie powinnam kłamać, ale teraz, tyle godzin po wszystkim, bałabym się już to odkręcić... Było za późno, a prawne i moralne konsekwencje tego, co zrobiłam, zwyczajnie mnie przerażały.

– Patrz, co znalazłam! – Córka, która schodzi ze schodów, ciska we mnie dwiema identycznymi czapkami z futrzanymi uszami, które dwa lata wcześniej kupiłyśmy sobie w Pradze.

Robert ma taką samą, ale w przeciwieństwie do nas nigdy jej nie nosił.

- O, są. Byłam pewna, że te nasze uszate czapki zawieruszyły się gdzieś podczas przeprowadzki. - Uśmiecham się, a Michaśka pyta, czy znalazłam sanki.

- Tak, są w garażu.

- Czemu właściwie ich nie wyrzuciliście? - dziwi się.

- No nie wiem, może będziemy z twoim tatą wozić na nich wnuki? - żartuję, a Miśka wywraca oczyma.

- Zapomnij! Nie posiadam ani krzty instynktu macierzyńskiego - oznajmia, a mnie rozbawia jej poważny ton.

- Pogadamy o tym za jakieś dziesięć lat. - Uśmiecham się do niej. - Może nawet wcześniej.

- Nie ma opcji. Niemowlaki są paskudne - krzywi się Miśka, po czym rusza w stronę drzwi.

- Niemowlaki bywają przesłodkie, ale na chwilę obecną nie mam nic przeciwko temu, żebyś myślała, że są paskudne - mrugam do niej.

- Dobra, chodźmy - ponagla mnie. - Miejmy to już za sobą! Całe szczęście Adam jest teraz na paintballu, więc nie natknę się na niego w uliczce, ciągnąc za sobą sanki - dodaje i ściąga z wieszaka kurtkę.

- Znasz cały jego rozkład dnia? - pytam, kiedy wkładamy buty.

- No nie, ale to akurat wiem.

Kilka minut później wdrapujemy się na porośniętą iglastymi drzewami skarpe, którą widzimy z okien od frontu. Wzgórze jest miejscami strome, a wąską ścieżkę, którą się na nie wspinamy, przecinają duże gązdy, które trzeba omijać bokiem, i kilka nierównych kamiennych stopni. Podejrzewam, że to właśnie to zadrzewione podejście zainspirowało wykonawcę do nazwania naszego osiedla Forest Hill, choć, jeśli o mnie chodzi, mogłoby się po prostu nazywać Zalesione Wzgórze. Sanki ciągnę ja, wołę to niż wysłuchiwanie narzekań młodej, dla której jest zbyt zimno, zbyt ślisko i zbyt stromo.

- Jeszcze kawaleczek - motywuję ją, bo faktycznie chwilę później teren się wyrównuje, ścieżka znacznie poszerza, przechodząc w udeptany ziemny trakt, wzdłuż którego dość często uprawiają jogging nasi sąsiedzi, a otaczający nas las znacznie się przerzedza, aż dochodzi się do górki z drugiej strony, tym razem nieporośniętej drzewami.

Dalej są pola, za nimi kolejna ściana lasu, ale prawdę mówiąc, nigdy nie dotarłam jeszcze aż tak daleko. Zresztą po co miałabym tam iść?

- Dobra, tu? - Córka przystaje na szczycie góry i robi śmieszoną minę. - Zjeżdżamy razem? Albo nie, ty pierwsza! Czekaj, zrobię filmik!

- Nie nagrywaj, wszystko zawsze musi być w tym twoim telefonie?

- No tacie chcę wysłać - mówi, więc ustępuję.

Zjeżdżam pierwsza, głośno się przy tym śmiejąc.

Michalina została na górze, piszczy i coś do mnie krzyczy.

Później wdrapuję się na górkę i oddaję jej sanki.

- Jedziesz, mała - zachęcam, a ona wywraca oczyma.

- Jeśli się zabije, będziesz mnie miała na sumieniu - mówi, a ja od razu wracam wspomnieniem do wpadającej pod lód Kai i pochylam się z rękoma na ugiętych kolanach, biorąc kilka głębokich wdechów. - Mamo? Co jest? - Michalina wygląda na zaniepokojoną.

- Nic, złapała mnie kolka - kłamię. - Zjeżdżaj, mała.

- Dobra, jadę. - Córka zasiada na sankach, wyciąga w górę rękę z telefonem, żeby zrobić sobie kilka selfie, w tym jedno z wywalonym jęzorem, później chowa komórkę do kieszeni kurtki i po chwili wahania decyduje się zjechać w dół.

Górka nie jest szczególnie stroma, ale za to całkiem długo opada, dzięki czemu trasa jest całkiem zadowalająca.

- Zjechałam! - drze się z dołu Miśka, więc biję jej brawo i radośnie macham rękoma, zastanawiając się jednocześnie, kim jest matka Kai i jak przyjmie wieści o jej śmierci.

Bawimy się w śniegu jakieś pół godziny, w końcu zmachane, z policzkami zaczerwienionymi od mrozu, wracamy na wiodącą przez las ścieżkę.

- Nie powinnaś się tak ostentacyjnie uganiać za Adamem - mówię nagle, bo od dawna miałam zamiar poruszyć temat, chociaż wiem, że jest cholernie drażliwy. - Usiądźmy - proszę, kiedy mijamy gruby zwalony pień i strącam z niego śnieg. - Zresztą możesz usiąść na sankach. - Uśmiecham się do Michaśki, która ma krótszą kurtkę.

- Nie uganiem się za nim - obrusza się młoda, wyraźnie dotknięta.

- Owszem, uganasz się. I co gorsza, z tego, co widzę, raczej bez skutku. On traktuje cię jak kumpelkę, ale...

- Bo jesteśmy kumplami! - podnosi głos Michalina.

- Daj spokój, bądźmy szczerze. Kochasz się w nim przynajmniej od roku, podejmujesz coraz bardziej desperackie kroki, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, ale on cię olewa! Nie goń za facetem, jeśli chcesz go złowić. Zaczynj go ignorować, wtedy dopiero dasz mu do myślenia. Nie bądź na każde jego skinienie, miej własne plany, przestań śledzić jego rozkład dnia, wybiegać z domu, kiedy tylko zaesemesuje, że chce pogadać. Bądź niedostępna, pozwól mu na przejęcie inicjatywy.

- Ale on rzadko ją przejmuje. Dziś wyjątkowo się odezwał, bo chciał wyciągnąć ekipę nad jezioro i pogapić się na pracujących nurków, ale zazwyczaj to ja muszę go zaczepiać, żeby go gdzieś wyciągnąć. Jeśli tego nie robię, potrafi milczeć nawet kilka tygodni.

- I nie daje ci to do myślenia? - pytam. - Córciu, wiem, że kiedy człowiek się zakocha, zwłaszcza w twoim wieku, to...

- Nie jestem w Adamie zakochana! - Miśka zrywa się z sanek, schyla, lepi śnieżną kulkę i ciska nią we mnie, trafia w ramię. - Nie jestem w nim zakochana! - powtarza z naciskiem, ale jej płonące z emocji policzki i lśniące w oczach łzy pokazują mi co innego.

- Jesteś, Misia - mówię, po czym wstaję i tulę ją do siebie.

- A nawet jeśli? On i tak woli Kaję - szepcze Michalina, zanim mówi: „puść”, i z powrotem siada na sankach.

- Kaję? Od Rosnerów? - dziwię się, bo prawdę mówiąc, nie miałam pojęcia, że Adamowi podoba się niania sąsiadów.

- A znasz jakąś inną Kaję?

- Nie - mówię. - Nie wiedziałam, że Adam z nią kręci. Ale ona chyba ma chłopaka?

- No ma. Adam ślini się do niej z daleka, chociaż chodzą słuchy, że robił konkretniejsze podchody i został przez nią spuszczoney po brzytwie. Poza tym ją podglądał - wyrывa się

Michaśce, zanim gryzie się język.

- Podglądał ją? Gdzie?

- Nieważne, zapomnij.

- Zaczęłaś, to dokończ - mówię.

- No przez okno. Kaja się czasem przebiera, kiedy pilnuje tej małej od Rosnerów. Żeby nie pobrudzić bluzki, wiesz, jak jest z bachorami. Trzyma u Rosnerów dwa stare podkoszulki, a Adam obczał, o której zazwyczaj wychodzi na autobus, zakrada się do łazienki rodziców, skąd widzi okno gościnnego pokoju Rosnerów, i podgląda, jak Kaja się przebiera.

- A ty się za nim uganiaasz? - Z niedowierzaniem kręcę głową.

- Każdy facet to świnią, Adam chyba nie jest wyjątkiem? - Wzrusza ramionami Michalina.

- Nie każdy facet to świnią - zapewniam ją.

- Chciałabym go zaprosić na studniówkę, ale okropnie się boję, że mnie oleje - wyznaje Miśka, płynąc na fali szczerości.

- Myślałam, że idziesz z Adrianem - dziwię się, bo przecież jeszcze niedawno zapewniała, że pójdzie z kolegą z klasy, który również nie ma pary.

- Nie chcę iść z Adrianem! Chcę z Adamem - rzuca płaczącym tonem, a później, zupełnie dla mnie niespodziewanie, wybucha płaczem. - Tak bardzo go kocham, mamus. Nigdy nikogo tak nie kochałam, a on mnie olewa - chlipie.

Patrzę na nią, skuloną i łkającą na sankach, i ogarnia mnie szybko narastający niepokój. Od dawna podejrzewałam, że młoda czuje miętę do aroganckiego syna sąsiadów, ale nie miałam pojęcia, jak obsesyjnie jest w nim zadurzona. Na myśl o tym, że być może zabierze go na studniówkę, robi mi się słabo. Miśka jest bardzo infantylna, naiwna i słodka, a on... Rozpieszczony gówniarz z własnym autem, który po balu pewnie ją upije i zaciągnie do hotelu albo na tylne siedzenie... Moja córka jest dziewicą. Cieszy mnie, że nie uległa presji rówieśnic i nie wylądowała w łóżku z byle kim, żeby pochwalić się koleżankom zaliczonym pierwszym razem, ale jednocześnie martwi jej życiowe niedoświadczenie i zbyt duże zaufanie, które okazuje ludziom. Jeśli wpadnie w zachłanne łapska Adama, to się może różnie skończyć...

- Myślisz, że powinnam go zaprosić? - pyta cicho, nie mając pojęcia, w jaką panikę wpadłam podczas naszej rozmowy.

- Myślę, że powinnas go sobie odpuścić. Niedługo pójdiesz na studia, poznasz kogoś innego, odpowiedniejszego, a teraz...

- Nie chcę nikogo innego! - krzyczy.

- Córeczko...

- Nieważne, wracajmy do domu! - Michalina ostro ucina dyskusję, nagle zła na cały świat, w tym i na mnie.

Później zrywa się z sanek i gna przez ośnieżony las, slalomem wymijając rosnące wzdłuż ścieżki niskie iglaki.

- Adam to dupek! - krzyczę za nią.

- Ale jaki przystojny! - odkrzykuje mi.

- To jeszcze gorzej! Duppek to tylko duppek, ale przystojny duppek to idealny przepis na damsko-męską katastrofę! - rzucam.

- Tato też jest przystojny i jakoś nigdy ci to nie... - Córka urywa w pół zdania i sekundę później słyszę wrzask bólu.

Jezus Maria! Pędzę w jej stronę, ślizgam się, wołam jej imię. Spadła! Jak podejrzewałam, potknęła się i runęła w dół stromej ścieżki. Mroczna strona Forest Hill, o której nie pisałam w swoim folderze deweloper, myślę, kłękając przy niej.

- Boli - szlocha, skulona w śniegu.

- Co, ręka?

- Noga! Mamo, chyba złamałam nogę! - drze się, a ja w panice dzwonię po karetkę, całe szczęście akurat tutaj udaje mi się złapać zasięg, jesteśmy już niedaleko osiedla, wraca cywilizacja.

Kiedy czekamy na pomoc, tulę córkę w ramionach, jakby była małym dzieckiem. To moja wina, myślę. To ja wyciągnęłam ją na sanki, a później poruszyłam drażliwy temat Adama. Co jeszcze się wydarzyło w tych dniach, z których tak się cieszyłam? Miały być piękne, beztrudnie święta, a jest martwa Kaja, zapłakana Miśka i moje narastające z godziny na godzinę wyrzuty sumienia.

Ambulans dociera zaskakująco szybko. Prywatna klinika, na którą namówili nas znajomi, to jednak niezła opcja, myślę, z niepokojem śledząc ruchy młodych ratowników medycznych niosących Michaśkę na przerażająco wąskich noszach.

W szpitalu pakują moją córkę w gips. Noga jest złamana, Miśka uziemiona. I nagle, choć czuję się przez to jak potwór, myślę, że może to i szczęście w nieszczęściu? Znam Michalinę na tyle, żeby podejrzewać, że z nogą zapakowaną w gips raczej daruje sobie studniówkę. Początkowo dyrekcja szkoły chciała zorganizować zabawę w pierwszych dniach lutego, ale zdecydowano, że będzie to druga połowa stycznia, więc jest szansa, że córka będzie jeszcze unieruchomiona. Jak mówię, szczęście w nieszczęściu.

- Nie pójdę przez to na studniówkę - mówi cicho Michalina, kiedy dwie godziny później Robert odbiera nas z kliniki.

- Może pójdziesz - pocieszam ją, ale wydaje się załamana.

Nie mam pojęcia, jak mogłabym ją wesprzeć... Boli mnie serce na widok jej cierpienia, czuję się bezradna, mam ochotę zakopać się w pościeli i nie wychodzić z sypialni aż do wiosny.

- Córeczko, tak bardzo mi przykro - zaczynam, ale Michalina nawet nie ukrywa, że jest na mnie wściekła.

- Chciałam oglądać film, a ty mnie wyciągnęłaś na sanki - szlocha.

- Daj spokój, to był wypadek. Nie możesz obwiniać mamy. - Robert staje w mojej obronie, ale Michaśka nie zamierza już z nami gadać.

Chcę coś powiedzieć w swojej obronie, ale dzwoni komórka męża, a on ucisza mnie ruchem ręki, zerka na wyświetlacz i odbiera.

- Jędrzej Bojarski twierdzi, że policja ma kolejnego świadka. Ktoś widział Kaję wsiadającą do czarnej terenówki - mówi Robert po tym, kiedy kończy rozmowę z sąsiadem, i posyła mi złośliwy uśmiešek. - Ale ty żadnej terenówki nie widziałaś, prawda? - sarka.

- Bo nie było żadnej terenówki! - Trzymam się swojej wersji, a mąż tylko z politowaniem kiwa głową i opuszcza pokój.

- Nigdy wcześniej się nie okłamywaliśmy, Karola! - dodaje jeszcze gdzieś z korytarza.

Później wkłada kurtkę i wychodzi na mróz - trzaśnięcie frontowymi drzwiami jasno i wyraźnie mówi mi, że jest wściekły.

Sięgam po komórkę i wysyłam mu wiadomość: „Przykre, że bardziej wierzysz plotkom niż własnej żonie”.

Robert oddzwania za jakieś pół minuty, kiedy jeszcze wciąż mam telefon w ręku.

- Powiedz mi, kogo wtedy widziałaś z Kają w lesie, Karola. Muszę to wiedzieć, chcę - naciska, po raz kolejny wywierając na mnie presję.

Wtedy się poddam. Mam dość samotnego stawiania oporu sytuacji, dość kłamstw i po kokardy wyrzutu w jego głosie. Szeptem zdradzam mu, kogo widziałam, a on na dłuższą chwilę milknie, po czym rzuca przeciągłe: „kuuurwaaa”.

- Właśnie - syczę. - Teraz rozumiesz, czemu nie chciałam ci o niczym mówić? I módl się, żeby go nie wsadzili, bo wtedy marny nasz los! Módl się, Robert! - krzyczę, zanim się rozłączam.

Chwilę później sprawdzam, co u córki, podaję jej zdobiony wełnianymi pomponami koc, o który prosiła, i przechodzę do łazienki, gdzie kompletnie się rozklejam. Kurwa, kurwa, kurwa! - wrzeszczę bezgłośnie, tylko w mojej głowie.

13

LEON

Następnego dnia zjawiam się na pętli tuż po wschodzie słońca, tym razem znacznie lepiej przygotowany – mam przy sobie termos z gorącą herbatą, najgrubszą kurtkę, którą jak dotąd wkładałem wyłącznie na wypadu w góry, i czapkę z pomponem, dzięki której nie zmarzną mi uszy, tak jak poprzedniego wieczoru.

Ojciec przyjeżdża kilka minut później i parkuje w zatoczce na pętli, gdzie jest kilka miejsc postojowych, być może dla gości odwiedzających osiedle. On również jest dziś znacznie bardziej odpowiednio ubrany – elegancki wełniany płaszcz zastąpił jasnoszarą puchówką, w której wygląda masywniej, ale też dziwnie młodo, na nogach ma śniegowce, a zamiast ciemnych spodni w kant jasnoniebieskie dżinsy.

– Synu. – Kiedy wysiada, kładzie mi dłoń na ramieniu i mówi, że nurkowie rozkładają już sprzęt nad jeziorem, lada moment zaczną się poszukiwania.

Nie odpowiadam.

Myślę o tych obcych ludziach, których dłonie dotkną jej martwego ciała, jeśli znajdą je pod warstwą lodu. O podwodnej kamerze, sonarach, całym tym sprzęcie, który pewnie ze sobą mają, żeby łatwiej ją odnaleźć. Domyślam się, że to nie jest zbyt głębokie jezioro, ale jeśli okaże się bardzo zamulone, odnalezienie Kai, o ile tam właśnie jest, może być trudniejsze – niemal całkowicie bezseną noc spędziłem w sieci, gdzie wyczytałem, że w takich wypadkach nurkowie poruszają się pod taflą dosłownie po omacku.

– Jedźmy tam – proszę ojca.

– Teren jest odgradzony, po co przeszkadzać służbom?

– Muszę tam być! – upieram się i ojciec niechętnie się zgadza.

Na miejscu nie pozwala mi jednak podejść zbyt blisko, zresztą część terenu jest odgradzona biało-niebieską policyjną taśmą. Siedzimy w jego zaparkowanym na poboczu aucie, a widok na znajdujące się jakieś sto pięćdziesiąt metrów w głąb lasu jezioro zasłaniają nam uginające się pod śniegiem gałęzie iglastych drzew.

– Jeśli coś znajdą, będą dzwonić bezpośrednio do mnie – mówi.

Godzinę później koszmar, którego wciąż nie objąłem umysłem, staje się rzeczywistością – ojciec dostaje telefon, a ja od razu wiem...

Nie mogę odдыchać, świat zdaje się wirować wokół mojej głowy. Wsiadam z jego auta i brnę przez śnieg w stronę jeziora. Bezlitośnie szorstkie gałęzie uderzają mnie w twarz, osuwają się z nich ciężkie śnieżne czapy, nogi się pode mną uginają, w gardle wzbiera szloch.

Ojciec dogania mnie niemal od razu, łapie za ramię.

– Stój, nie zadeptuj śladów! Zaraz zjawi się prokuratorka, najlepsza, jaką mógłbyś sobie wymarzyć.

O jakich śladach on pieprzył? – myślę w złości. Wszystko od dawna zdeptane, w dodatku zasypane grubą warstwą świeżego śniegu.

– Chcę ją zobaczyć! – krzyczę, ale on trzyma mnie mocno, nie pozwala biec dalej.

– Nie możesz. Synu, zrozum, nie teraz – tłumaczy.

Nagle mówię coś zupełnie idiotycznego, ale przecież w takich chwilach człowiek opęda się od koszmaru, jak tylko potrafi...

– Może to nie ona? – pytam. – Może to jakieś inne zwłoki, kogoś innego? Muszę ją zobaczyć, w przeciwnym razie...

– Leon, uspokój się! – Ojciec podnosi głos.

Robię z siebie widowisko, przynoszę mu pewnie wstyd. Wokół pełno gliniarzy, kręci się parę osób w cywilu, ktoś zerka w naszą stronę, ktoś inny krzyczy: „Cześć, Wojtku!”, i macha ręką, witając mojego ojca.

– Zobaczysz ją, kiedy będzie gotowa – mówi starszy, odciągając mnie od jeziora.

Idziemy śniegiem, nie środkiem leśnej drogi, usiłując nie zdeptać tych cholernych śladów, ale przecież wokół tyłu ludzi, a śnieg ciągle sypie i sypie z zachmurzonego nieba, jakby zamiast sprawiedliwości sprzyjał temu, kto tu z nią był. Bo przecież ktoś musiał być! Ktoś, kto sprawił, że zaczęła biec w stronę wody, nieświadoma niebezpieczeństwa czyhającego na nią pod grubą warstwą świeżego białego puchu.

– Tato... – łkam, a on bierze mnie w ramiona i tuli, nie przejmując się już tym, że parę osób ciągle zerka w naszą stronę.

– Przykro mi, Leoś. Tak bardzo mi przykro, że coś takiego cię spotkało – mówi, trzymając mnie w mocnym męskim uścisku.

W końcu wyswobadzam się z jego objęć i siadam w śniegu pod jednym z drzew. Gdzieś za moimi plecami po jeziorze suną sanie lodowe przystosowane do tego typu akcji, ktoś krzyczy: „Julek, czekaj!”, daleko, po drugiej stronie lasu ujada pies. Myślę o wszystkich tych ludziach w pięknych domach nad wodą, dla których ten poranek jest tylko kolejnym dobrym dniem, i z moich ust wydziera się przeciągły jęk, ból wydaje się nie do zniesienia. Wszystkie te bogate snoby piją teraz kawkę, spacerują ze swoimi zadbanymi, rasowymi psami, jedzą czekoladowe rogaliki albo biorą długi gorący prysznic, a moja Kajka nie żyje...

Ojciec kuca obok mnie, zapadając się przy tym w śnieg i prawie tracąc równowagę.

– Chodźmy do samochodu, kurewski dziś ziąb – prosi, ale nie potrafię wstać. Siedzę pod drzewem i szlocham, nie umiem się opanować, coś we mnie pękło. – Synu... – dodaje, ale w żaden sposób nie reaguję.

Myślę tylko o tym, że tu jestem bliżej niej, niż gdyby wsiadł do auta.

Kilka minut później przyjeżdża pani prokurator – wysoka, siwiejąca na skroniach kobieta po pięćdziesiątce, z włosami spiętymi w ciasny kok i mocną, męską szczęką, która uściskiem dłoni wita się z moim ojcem, posyła mi przelotne spojrzenie lodowato niebieskich oczu i wysoko podnosząc nogi, rusza w stronę brzegu jeziora.

Boję się tam spojrzeć. Nie chcę widzieć sylwetki Kai w czarnym worku na zwłoki, nie umiem oswoić tego, co się dzieje, czuję się tak, jakby moje życie skrzyło w jakimś zupełnie

popapranym, niewiarygodnym kierunku. Chciałbym zawrócić, ale nie umiem. Nie dam rady cofnąć czasu, nie mogę jej uratować.

Gdyby wczoraj nie poszła do pracy...

Gdybym zaoferował, że po nią przyjadę...

Gdyby nie uciekł jej autobus...

Gdyby, gdyby, gdyby...

Ojciec wyciąga do mnie rękę i w końcu udaje się mu podnieść mnie na nogi i zaprowadzić do samochodu, gdzie siedzę bez ruchu, gapiąc się w przestrzeń przez zasypaną drobnym śniegiem przednią szybę.

- Jeśli ktokolwiek przyczynił się do śmierci Kai, zapłaci za to. Przysięgam ci to, Leoś, słyszysz? - odzywa się ojciec po dłuższej chwili ciszy. - Leoś, słyszysz?

- Słyszę - mówię w końcu.

- Odwiozę cię do mieszkania. Tu raczej nie powinniśmy tkwić, na tej zimnicy też nie...

- Nie chcę jechać do mieszkania - protestuję, ale po chwili dociera do mnie, że w sumie, czemu by nie.

Wleżę do łóżka, zakopię się w pościeli i zapomnę o całym świecie, myślę. Będę udawać, że to wszystko to tylko koszmarny sen, a Kaja wyszła na łyżwy albo zakupy i lada chwila wróci. Lubiła jeździć na łyżwach, często wyciągała mnie na lodowisko. Ironia losu, zważywszy na to, że skończyła pod taflą lodu, myślę...

W drodze na moją ulicę milczymy.

Ojciec świetnie wie, dokąd jechać, więc, jak podejrzewałem wcześniej, miał na mnie oko nawet w tym czasie, kiedy ze sobą nie rozmawialiśmy.

- Nawet nie udajesz - mówię cicho.

- Czego? - pyta.

- Że nie znasz mojego adresu - wyjaśniam, a on lekko się uśmiecha.

- Wiem, że w ostatnich latach nie chciałeś mnie znać, ale zawsze, bez względu na wszystko jesteś moim synem - mówi.

- Więc zleciłeś śledzenie mnie temu szemranemu łysemu detektywowi, z którym od lat współpracujesz? - kpię.

- Nikt za tobą nie jeździł, twoja matka mi powiedziała, gdzie mieszkasz, dawno temu.

- Myślałem, że ze sobą nie gadacie.

- Czasem gadamy. Mamy syna, wiesz? Jest już dorosły i niestety raczej za mną nie przepada, ale i tak czasem dzwonię, żeby ją zapytać, co u niego - mówi, zanim zmienia pas.

Kiedy parkujemy przed moją kamienicą, pyta, czy może wejść na górę.

- O ile twoja mama nie została na noc ze swoim ślubnym numer dwa, bo to mogłoby być niezręczne - dodaje.

- Nie została. Koło trzeciej w nocy zamówiłem im taksówkę i kazałem wracać do siebie - mówię.

- Więc wejdźmy.

- Nie potrzebuję niańki - cedzę, zaraz potem myśląc o Kai.

Moja sliczna była przecież nianią i kochała tę pracę.

- Nie będę cię niańczył. Synu, po prostu jest coś... Chcę pogadać.

- Poważnie, akurat teraz?! W dniu, w którym martwe ciało miłości mojego życia ogląda właśnie prokuratorka?! - wybucham.

- To ważne. - Ojciec nie zamierza łatwo ustąpić, uparł się, więc w końcu rzucam „okej” i obaj wysiadamy z jego terenówki.

Na klatce ostro zajeżdża moczem, odkąd zepsuł się zamek w drzwiach od bramy, nocami zaglądają tu jakieś zapite lokalne żule, żeby bezkarnie odlewać się u podnóża schodów, przy zejściu do piwnicy, gdzie leży coraz więcej stłuczonego szkła po butelkach od wódki i cała masa innych śmieci.

Wchodzimy na górę, nie zamieniając ze sobą nawet słowa, ale milczenie pomiędzy nami nie jest niezręczne, wręcz przeciwnie, zdaje się nas dziwnie zbliżać, przypomina ulotny cień więzi, która niemal całkowicie się rozerwała przez ostatnich siedem lat.

Później lokalizuję w plecaku klucze i otwieram stare odrapane drzwi od wynajętego kilka lat wcześniej poddasza, a ojciec zdejmuje buty i kurtkę, pozbywa się szala i czapki, przeczesał palcami włosy i wchodzi w głąb mieszkania, kierując się w stronę stojącej na samym środku dużej ciemnobordowej sofy z mocno wytartym oparciem - spadku po poprzednim lokatorze, który, wyprowadzając się do swojej nowej dziewczyny, zostawił część starych mebli, w tym właśnie ten obity welurem grat.

- Przyjemnie tu, choć nieco ciemnawo - zauważa ojciec, zanim wygodniej się rozsiada.

- Dziękuję.

- Jesteś głodny? Zrobić ci kanapkę? - pyta, odwracając się w moją stronę.

- Nie - odburkuję, bo jego pomysł wydaje mi się niedorzeczny.

Nie będę wpięprzać kanapek, podczas gdy Kaja...

W lodówce jest piwo. Ojciec przyjechał autem, ale mam to gdzieś. Otwieram dwie flaszki Gambrinusa z charakterystyczną czerwono-złotą etykietą i stawiam przed ojcem butelkę. Szklanki podaję chwilę później, chociaż wiem, że obaj będziemy szyć alkohol prosto z flaszek, po czym siadam naprzeciwko niego i pociągam kilka pierwszych łyków przyjemnie schłodzonego trunku.

- O czym chcesz gadać? - pytam. - Znowu się żenisz? Mówią, że do trzech razy sztuka, więc spoko. Gdyby co, mogę ci nawet podać obrączki na tej śmiesznej ozdobnej poduszce, jak na dobrego syna przystało - rzucam kiepskim żartem, a on pociąga kilka łyków alkoholu, odstawia butelkę na podkładkę i patrzy mi prosto w oczy.

- Czy Kaja mówiła ci kiedyś, z kim się spotykała, zanim się związałaście? - pyta.

- Co?

- Czy Kaja...

- Słyszałem, ale co ci do tego? - cedzę.

Nagle rozumiem. No tak, cały on... Starszy sprawdził pewnie jej przeszłość, nie spodobała mu się jej biedna, patologiczna rodzina, to, że bywała ponoć dość rozrywkowa, i zaczyna gadać pod tytułem: „Nie martw się, synu, są na świecie inne kobiety”.

- Więc nic nie wiesz, tak właśnie myślałem... - Ojciec wstaje i zaczyna krążyć po poddaszu, w końcu siada z powrotem i mówi coś, co sprawia, że dosłownie mnie zatyka: - Zanim

związała się z tobą, przez krótki czas Kaja była ze mną. Poznałeś ją w knajpie, w której pracujesz, prawda? A wiesz, czemu wybrała się tam na kolację? Bo spodobała się jej na zdjęciu, które zauważyła w moim gabinecie. Wypytywała o ciebie, ciągle zaczynała temat, w końcu wyciągnęła ze mnie tyle, żeby móc cię zlokalizować. I poszedłem w odstawkę. Zagadnęła cię, kiedy robiłeś obchód sali, prawda? Jesteś jednym z tych szefów kuchni, którzy wychodzą do gości zapytać, jak im smakowało zaserwowane jedzenie, a ona...

- Zamknij się! - wrzeszczę, strącając przy okazji flaszkę z piwem, które, spienione, rozlewa się u moich stóp i wsiąka w dywanik. - To ohydne, nie wierzę! - Zrywam się z sofy, a ojciec, z miną urodzonego stoika, obojętnie wzrusza ramionami.

- Czemu podchodzisz do tego tak ambicjonalnie? Boli cię fakt, że posuwałem ją przed tobą, ale przecież kobieta to w końcu nie przedmiot, ma własną wolę i własne pragnienia. Była ze mną, a później zapragnęła ciebie. Powinno ci to raczej schlebiać - mówi.

- Jesteś obrzydliwy - warczę.

- Jestem po prostu człowiekiem.

- Jesteś chory! Gdybym wiedział...

- To co? Nie dotknąłbyś jej, bo sypiała ze mną? Brzydziłbyś się nią? Piętnował jej przeszłość? O chuj ci właściwie, synu, chodź!

- Nigdy ci tego nie wybaczę! - rzucam mściwie. - Może i powoli zaczynałem zapominać o wszystkich twoich podłościach, ale tego nigdy ci nie wybaczę! Powinieneś mi powiedzieć, kiedy tylko od ciebie odeszła, żeby być ze mną! Chciałbym...

- Podobno ją kochałeś. Teraz nagle się jej wypierasz? Nie rób z niej zdziwy, a ze mnie jakiegoś rozerotyżowanego demona. Poznaliśmy się w nocnym klubie, zaiskrzyło. Spotykaliśmy się przez kilka tygodni, później zdecydowała, że zwiąże się z tobą. Spodobała się jej, poszła do przodu, nie oglądając się za siebie. Wiem, że pewnie masz do niej żal, ale sam pomyśl, jak miałaby ci o tym powiedzieć?

- Jak mogła mi nie powiedzieć?! - wrzeszczę. - Jak mogła mówić, że mnie kocha, sypać ze mną, rozmawiać o naszych zaręczynach i jednocześnie ukrywać coś takiego?!

- Kochała cię - mówi stary, a mnie dosłownie telepie.

- Skąd niby jesteś aż tak dobrze poinformowany?! - warczę i nagle mnie oświeca... - Spotykaliście się - mówię, kiedy to do mnie dociera. - Nawet po tym, jak już związała się ze mną.

- Wyłącznie na przyjacielskiej stopie, tutaj nie musisz mieć żadnych obaw. Nie tknąłem jej od dnia, w którym mi powiedziała, że umawia się z tobą - przyznaje ojciec tym swoim spokojnym, niewzruszonym tonem, który w tym akurat momencie doprowadza mnie do szału.

- To dlatego tak się przejąłeś jej zaginięciem, prawda? Stąd cała ta pokazówka, służby na twoje skinienie, pierdolony helikopter! Zazwyczaj na takim etapie włącza się do poszukiwań drony, ale ty musiałeś wyskoczyć ze śmigłowcem, na bogato, chodziło w końcu o twoją byłą dupę! - wrzeszczę, a on się krzywi.

- Chciałem tylko zauważyć, że kobietę, którą niedawno określałeś miłością swojego życia, nazwałeś właśnie dupą.

- A nie tym dla ciebie była?! Wszystkie te swoje flamy od lat traktowałeś przedmiotowo! Nawet w czasach, kiedy zdradzałeś mamę, byłeś już dokładnie takim samym sukinsynem! W kobietach widzisz wyłącznie cycki i dupę, nic więcej!

- Bo być może większość z nich nie ma niczego więcej do zaoferowania - odzywa się mój starszy filozoficznym tonem, a ja gniewnie parskam.

- Jesteś bardzo nieszczęśliwym człowiekiem - cedzę. - Nieszczęśliwym, chorym sukinsynem, który nie potrafi kochać!

- Potrafię kochać. Kocham ciebie, kocham...

- Wynos się stąd - przerywam mu, a on mówi: „dobrze”, i rusza w kierunku wieszaka przy frontowych drzwiach, na którym zawiesił kurtkę.

Wkłada ją, kiedy pytam, czy miał coś wspólnego z wypadkiem Kai.

- A może to ty masz coś na sumieniu? Ty, nie ja, jak wczoraj sugerowałeś - rzucam przez zęby, a on sięga po swoją czapkę i patrząc mi prosto w oczy, mówi:

- Zapewniam cię, że wczoraj, kiedy do mnie zadzwoniłeś, od ponad trzech godzin siedziałem w Zimnym Śledziu ze znajomym prokuratorem i dwiema sędzinami. Mam na to od groma świadków i taśmy z monitoringu. Nie miałem też żadnego motywu, żeby pozbywać się twojej dziewczyny. Lubilem Kaję, była niegłupia, zabawna i piękna. Zawsze dobrze się czułem w jej towarzystwie, nawet po tym, jak już odstawiła mnie na boczny tor.

- Rzuciła cię, to niewystarczający motyw?

- Daj spokój, przecież to nawet nie był związek. Bzykałem ją, kupowałem jej perfumy i zabierałem na kolacyjki przy świecach, posuwając jednocześnie sądową protokolantkę i znajomą prokuratorkę. Nie przywiązuję się do kobiet, już nie, więc bynajmniej nie miałem żalu. Wręcz przeciwnie, ubawił mnie fakt, że tak śmiesznie się to wszystko potoczyło, trochę jak w filmie. Zobaczyła cię przypadkiem, na zdjęciu, zapragnęła...

- Śmiesznie się to wszystko potoczyło? No faktycznie, kurwa, ubaw po pachy, zwłaszcza od wczoraj! - wrzeszczę.

- Miałem na myśli początki waszego związku - wyjaśnia mi starszy i z powrotem ściąga kurtkę, którą tym razem własnoręcznie odwiesza.

- Co robisz? - pytam.

- Zostaję z tobą. Nie chcę cię teraz zostawiać samego.

- Wręcz przeciwnie, wypierdalasz stąd!

- Zmusz mnie. - Uśmiecha się krzywo, po czym nie czekając na odpowiedź, przechodzi w głąb poddasza i siada na sofie.

Zamykam się w łazience. Nie mogę znieść jego obecności, drażni mnie nawet intensywny zapach jego wody kolońskiej, a to, co mi właśnie wyznał, sprawia, że chce mi się rzygać. Więc taką właśnie osobą była dziewczyna, z którą chciałem się ożenić - sypiała ze starszymi facetami, zmieniając kochanków jak rękawiczki...

Ojciec puka do drzwi kilka minut później.

- Niedobrze ci, synu? Od dziecka rzygałeś w stresie, przed każdym egzaminem czy ważniejszą klasówką, pamiętam świetnie... Jak już puścisz pawia, wpuść staruszka do łazienki. Muszę się odlać - słyszę.

Zaciskam palce na brzegu umywalki i zerkam w lustro. W tym akurat momencie wyglądam na obłąkanego i tak właśnie się czuję.

Wszyscy mnie oszukiwali. Ojciec, Kaja, może nawet mama? Kto wie, może ona też wiedziała, że dostały mi się resztki po ojcu, przechodzona zdzira, która dawała dupy, komu popadnie. Tak bardzo ją kochałem, myślę. Była dla mnie wszystkim, ale, jak się okazuje, ja dla niej byłem tylko kolejnym przystankiem, kolesiem, w którego mieszkaniu zacumowała na dłużej nieokreślony czas... Myślę o naszej rozmowie, o tym wieczorze, kiedy stwierdziliśmy, że fajnie by było pobrać się w Toskanii. Wyglądała tak przekonująco, patrzyła na mnie tak ciepło. Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa – krzywię się, a później uderzam pięścią w taflę lustra, tłukę ją, a jeden z odłamków wbija mi się w dłoń.

Ból jest ostry, ale zaskakująco przyjemny, pozwala oderwać się od koszmaru, który mnie otacza. Rozcięta dłoń pulsuje, krew spływa na białe podłogowe kafelki pod moimi nogami, barwiąc je na ostry szkarłat.

Ojciec wali pięścią w drzwi, w końcu udaje mu się je wyważyć – wciąż ma krzepę, jest silny i zdeterminowany.

– Kurwa, poważnie?! – klnie na mój widok, zanim delikatnie wyjmuje wbity w moją dłoń odłamek z rozbitego lustra i owija ranę ręcznikiem.

W drodze do pobliskiego szpitala nie zamieniamy nawet jednego słowa. Nienawidzę go, nie mam mu już nic do powiedzenia, a nadzieja, że w końcu, po latach, zaczniemy się dogadywać, ulatuje bezpowrotnie...

14

DAGMARA

W Wigilię jest lekka odwilż, ale nadal sypie gęsty śnieg, a ten, który zdążył spaść w ostatnich dniach, robi ładny klimacik – wygląda na to, że święta faktycznie będą białe, ale tragiczna śmierć Kai odbiera mi całą radość z Bożego Narodzenia.

Śniadanie jemy w czwórkę – milczący Daniel, którym chyba dość mocno wstrząsnęło to, co się stało, lekko zaziębiona Nina i Piotr, równie cichy jak syn...

– Ciężko uwierzyć, że już nigdy jej nie zobaczymy – mówię cicho, kiedy dzieciaki oddalają się od stołu i w zaskakującej zgodzie idą do salonu. Rzadko się zdarza, żeby Daniel opiekował się znacznie młodszą siostrą, ale to jest właśnie ten dzień.

– Fakt – zgadza się ze mną Piotr.

– Myślisz, że znajdą sprawcę? Niczego nam nie mówią, niewiele też można wyczytać w lokalnych mediach... Wpadła pod lód, ale czemu? Co, do cholery, robiła w lesie, kilkaset metrów od głównej drogi?! Czy ktoś był w to zamieszany, czy to faktycznie tylko nieszczęśliwy wypadek bez udziału osób trzecich?

– Wiem tyle co ty, Dagmara – mówi Piotr zmęczonym głosem, a mnie przypomina się tamta noc tuż po zaginięciu naszej niani, kiedy w panice zaglądałam do bagażnika jego terenówki, i targa mną palący wstyd.

Jak w ogóle mogłam pomyśleć, że mój mąż miał coś wspólnego z jej tragedią? Jest dobrym, szlachetnym człowiekiem, przecież go znam! Nawet gdyby niechcący zrobił jej krzywdę, bez wahania zadzwoniłby po pomoc! Ale czy mam stuprocentową pewność, że tak właśnie by postąpił?

– Nie płacz, kochanie. Co to da? – Piotr na widok moich łez obejmuje mnie od tyłu i tuli w ramionach, a ja myślę o leżącym na dnie mojej kosmetyczki kolczyku w kształcie choinki i znowu pojawiają się wątpliwości...

– Możemy na moment pójść na piętro, póki dzieciaki zajęły się sobą? Chcę z tobą o czymś porozmawiać – mówię, decydując się w końcu na otwartą konfrontację z mężem i moimi wątpliwościami.

Walczyłam ze sobą przez kilka dni, ale teraz, podczas późnego, wigilijnego śniadania, zupełnie niespodziewanie czuję, że muszę go o to zapytać. Muszę, bo inaczej nie będę umiała normalnie funkcjonować, wątpliwości mnie zeżrą...

– Teraz? – Mąż ziewa, wlewa do kubka resztkę kawy z dzbanka i podchodzi do okna. – Mówiłem, będą białe święta. Mam nadzieję, że wieczorem przejdziemy się do lasu – rzucam lekkim tonem i nagle oboje zdajemy sobie sprawę, jak niedobrze to zabrzmiało w obliczu tego, co się wydarzyło w ostatnich dniach...

- To już nigdy nie będzie nasza spokojna, sielska kraina - mówię cicho. - Zawsze, spacerując po okolicy, będę myśleć o tym, co się przytrafiło Kai.

- Tylko nie mów, że chcesz zmienić adres, bo jeszcze nie doszedłem do siebie po przeprowadzce. - Piotr się do mnie uśmiecha, odstawia kubek z niedopitą kawą na blat i rusza w stronę wyjścia z kuchni. - Chciałaś pogadać - przypomina mi.

Zanim wchodzimy na górę, zaglądamy do dzieciaków, które siedzą na ozdobnych poduszkach u podnóża naszej olbrzymiej choinki i oglądają jakiś filmik w telefonie Daniela, zaśmiewając się przy tym. Ciekawe, co rozbawiło dzieciaki w tak różnym wieku, zastanawiam się, zanim wchodzę na schody.

Piotr czeka na mnie na półpiętrze, a kiedy do niego dołączam, przyciąga mnie do siebie i całuje w usta.

- Obiecuj mi, że mimo wszystko to będą piękne święta. Nasze pierwsze w nowym domu. - Uśmiecha się, a mnie rozczula widok drobnych zmarszczek wokół jego oczu.

- Obiecuję - mówię, a on zamyka mnie w uścisku i przez chwilę tuli.

- Kocham cię, maleńka - szepcze.

- Ja ciebie też, przecież wiesz - odpowiadam.

Na piętro wchodzimy, trzymając się za ręce, później Piotr siada na naszym starannie przeze mnie pościelonym łóżku, a ja wyjmuję z nocnej szafki niewielką kosmetyczkę we wzór w panterkę - kiczowaty imieninowy prezent od koleżanek z mojej dawnej pracy w urzędzie miasta, który mimo wszystko lubię.

- Nie wiem nawet, jak zacząć, ale chcę to już mieć za sobą - rzucam.

- Dobra, to wal. - Piotr, niepewny tego, w którym kierunku zmierza rozmowa, posyła mi dość powściągliwy uśmiech, a ja wyjmuję z kosmetyczki kolczyk Kai.

- Poznajesz? - pytam, kładąc go na kołdrze w czerwono-zieloną kratę.

- Co to jest? - Mąż wygląda na szczerze zdziwionego.

- Proszę, nie udawaj - mówię, a on posyła mi pytające spojrzenie. - To kolczyk Kai - dodaję.

- I? Ciągle coś u nas zostawiała, jak nie czapkę czy książkę, to nawet telefon. - Mąż lekko się uśmiecha, przywołując wspomnienia, zaraz potem poważnieje. - Chryste, naprawdę ciężko w to wszystko uwierzyć - mówi, chociaż nawet nie jest wierzący.

- Znalazłam go w twoim samochodzie - wyjaśniam, a on jeszcze bardziej pochmurnieje.

- Czekaj, tamtej nocy? Nie szukałaś szalika na tylnym siedzeniu? Umyślnie przeszukiwałaś mój wóz?!

- Szukałam szalika i znalazłam kolczyk - kłamię, ale Piotr nie wygląda na przekonanego.

- Co w związku z tym?! - pyta podniesionym głosem i gwałtownie wstaje z łóżka, żeby zacząć nerwowo krążyć po naszej sypialni. - Uważasz, że mam coś wspólnego z jej wypadkiem?! - naskakuje na mnie.

- Nie wiem, masz? Ktoś podobno widział tamtego popołudnia Kaję wsiadającą do czarnej terenówki. Ty wyszedłeś z domu tuż za nią, a wróciłeś...

- Nie kończ tego, Dagmara. - Oczy męża ciemnieją z wściekłości. - Nawet się nie waży w taki sposób mnie obrażać!

- Nie chcę cię obrazić, Piotr! Chcę znać prawdę - mówię i łapię go za rękę, ale on momentalnie ją wyrывa.

- Masz mnie za jakiegoś pieprzonego potwora?! Uważasz, że zaproponowałem jej podwózkę, a później zjechałem z drogi, zaciągnąłem ją nad jezioro i co?! Kazałem jej wejść na łód?! O czym my w ogóle rozmawiamy?!

- Piotr, proszę. Ja muszę znać prawdę. - Zaczynam płakać. - Jeśli coś się stało, jeśli jesteś jakoś w to zamieszany, muszę wiedzieć. Nie powiem nikomu, będziemy trzymać się razem, tylko zdradź mi całą prawdę. Pokłóciliście się w samochodzie? Wysiadła w gniewie i samotnie poszła do lasu? Coś między wami zaszło? Dobierałeś się do niej, a ona...

- Dość! - Mąż uderza pięścią w komodę, a później sięga po kółczyk w kształcie choinki, ciska go na podłogę i rozdeptuje. - To, co właśnie tu odstawiałaś, jest tak ohydne, że nie wiem nawet, jak mógłbym to skomentować! Ty, moja żona, kobieta, której ufam i którą kocham, sugerujesz, że mam coś wspólnego ze śmiercią naszej niani?! - wybucha.

- Nie krzycz, na dole są dzieci - proszę go, a on jeszcze raz wciska w dywan resztki kółczyka i oskarżycielsko wyciąga w moją stronę palec.

- Właśnie kompletnie ci odwaliło! Rozumiem, że czasem ponosi cię twoja pisarska wyobraźnia, ale tym razem przegięłaś - cedzi.

- A ja nie rozumiem, czemu aż tak się obruszasz. Znalazłam w twoim aucie jej kółczyk, chciałam tylko wyjaśnić, czy...

- Nie rozumiesz, czemu tak się obruszam?! To wyobraź sobie, że w okolicy tajemniczy wypadek ma, powiedzmy, dziewiętnastoletni trener personalny, a ja cię przesłuchuję, wmawiając, że masz z tym coś wspólnego albo że miałaś z nim romans!

- Nie wmawiam ci, że miałaś z Kają romans!

- Nie?! Wybacz, ale odniosłem inne wrażenie!

- Kółczyk był w twoim aucie! - Teraz ja też na niego wrzeszczę. Stoimy naprzeciwko siebie i krzyczymy, to pierwsza tak gwałtowna kłótnia w naszym związku i czuję się fatalnie z myślą, że to ja ją rozpętałam, i to w Wigilię...

- Odwoziłem ją wiele razy i świetnie o tym wiesz! Musiała go zgubić wcześniej! Widziałaś te kółczyki w jej uszach w dniu, w którym zaginęła? Nie sądzę, bo nie mogła ich mieć, a jeśli miała, to wyłącznie jeden. Drugi od kilku dni musiał być w moim aucie!

- Dobrze, wierzę ci - mówię bliska łez, a Piotr gniewnie parska.

- Wierzysz mi?! Kamień, kurwa, z serca! - klnie, chociaż jak dotąd nigdy nie używał takich słów w rozmowach ze mną. - Życzę ci spokojnego wieczoru, kochanie, bo właśnie zmienilem plany. Zabieram dzieci do rodziców, a ty posiedź tu sama, ochłoń i przemyśl sobie parę spraw - oznajmia mi, a ja uchylam usta ze zdumienia.

- Chcesz jechać z dziećmi aż pod Olsztyn? Niezapowiedziany, w Wigilię? Twoi rodzice mają pewnie plany, a my...

- Tym nie musisz się już martwić - wchodzi mi w słowo Piotr, po czym odwraca się na pięcie i zostawia mnie samą w sypialni.

Wybiegam za nim na korytarz i łapię go za rękaw.

- Nie wygłupiaj się. Przygotowałam mnóstwo jedzenia, a dzieci...

- To moje dzieci i mam prawo zabrać je do dziadków!

- Twoje dzieci? Teraz to są wyłącznie twoje dzieci, mimo że dbam o nie, karmię je i wychowuję jak własne?!

- Tak, to moje dzieci – ucina dyskusję mój mąż, po czym wychyla się przez poręcz schodów i krzyczy na Daniela, każąc mu się pakować na wyjazd do dziadków.

- Co? Przecież mieliśmy siedzieć w domu – dziwi się mój pasierb.

- Zmiana planów.

- Piotr, proszę cię – usiłuję jeszcze negocjować, ale mąż nie chce nawet spojrzeć mi w oczy.

- Nie wyobrażasz sobie, jak podle się teraz czuję. W najgorszych sennych koszmarach nie przypuszczałbym, że dojdzie pomiędzy nami do takiej rozmowy. Nawet nie próbuj! – rzuca przez zęby, kiedy chcę go przytulić.

Godzinę później wyjeżdżają – dzieci nieco zdezorientowane, ale w sumie dość zadowolone z czekającej je nieplanowanej podróży, Piotr ponury, z zaciśniętymi ustami. Zostaję w pustym domu, z wypełnioną po brzegi lodówką i oczami pełnymi łez. Nie powinnam poruszać tematu kolczyka, wyrzucam sobie, samotnie siedząc na sofie w salonie, w którym starannie ułożone pod olbrzymią choinką leżą prezenty.

Piotr obiecał, że wróci następnego dnia po południu, ale nawet to mnie nie pociesza. Zabierając dzieci do swoich rodziców pod Olsztyn, nie tylko chciał mi pokazać, kto tak naprawdę o nich decyduje, ale też w pewien sposób mnie ukarać. Nie uderzył mnie, nie zrobił mi żadnej fizycznej krzywdy, ale odebrał to, z czego tak długo się cieszyłam – naszą pierwszą wspólną Wigilię w nowym domu. Patrzę na nakryty śnieżnobiałym obrusem stół, który zdążyłam już przepięknie udekorować, i zaczynam płakać. To, co się wokół nas dzieje, to jakiś niewyobrazalny koszmar. Jeszcze kilka dni temu cieszyłam się na święta, przystrajałam dom i ekscytowałam się jak dziecko, a teraz siedzę sama pośrodku pustego salonu i nie wiem, co ze sobą zrobić.

„Wracajcie, proszę! U Twoich rodziców zapowiedziały się przecież Twoje siostry z dziećmi, a Wy nawet nie wzięliście niczego do jedzenia” – wpisuję w telefonie, ale ostatecznie nie wysyłam wiadomości. Błagać go nie zamierzam, myślę.

Godzinę później dzwonię po taryfę i jadę do centrum. Wiem, gdzie mieszkała Kaja, raz, w drodze do mojego dentysty, podrzuciłam ją pod kamienicę, w której wynajmowała poddasze razem z Leonem. Nie wiem, czemu to robię, ale czuję, że muszę spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, jak bardzo mi przykro... W siatce mam jego buty, po które jeszcze się do nas nie zgłosił, w drugiej smakołyki – sałatkę, śledzia, roladę ze szpinakiem i ciasto. Leon jest w żalobie, chciałabym przychylić mu nieba, choć wiem, że w tym momencie nic go pewnie nie pocieszy.

Do kamienicy wchodzi niemal od razu – wpuszcza mnie wychodzący z bramy pan z psem na smyczy, zresztą mam wrażenie, że zamek w drzwiach wejściowych jest zepsuty.

Później wspinam się na drugie piętro i dzwonię do drzwi po lewej – mosiężna tabliczka zaczynająca się od skrótu ich imion nie pozostawia wiele wątpliwości.

Początkowo nikt mi nie otwiera i zaczynam się obawiać, że nikogo nie ma w domu, kiedy nagle słyszę charakterystyczny szcęk metalowej zasuwki i w progu pojawia się Leon.

Wygląda strasznie, zupełnie jakby nie spał od kilku dni. Jego policzki są nieogolone, oczy przekrwione, a beżowy dres, który ma sobie, zmięty i nieświeży. Na jego rękę widzę nieznacznie przesiąknięty krwią opatrunek i przez chwilę się zastanawiam, co takiego mogło mu się przytrafić. Później posyłam mu błady uśmiech i robię krok w jego stronę.

- Leon... Wybacz, że cię nachodzę... Chciałam tylko powiedzieć, jak bardzo mi przykro - zaczynam, tym razem zwracając się do niego na ty, a jego przystojną twarz wykrzywia brzydki grymas wściekłości.

- Wszystkim jest cholernie przykro, a moja dziewczyna nie żyje - rzuca mi w twarz.

W jego głosie słyszę złość, nawet jej nie ukrywa.

- Wszyscy kochaliśmy Kaję - mówię cicho, a on wybucha śmiechem.

- Jasne, wszyscy, kurwa, kochali Kaję, ale ktoś kochał ją tak bardzo, że wywiózł ją do lasu i zabił! - wybucha.

- Policja nie ustaliła jeszcze, co tak naprawdę się tam wydarzyło. To mógł być wypadek - mówię, a on uderza pięścią we framugę drzwi.

- Wypadek?! Chcecie mi wszyscy wmówić, że moja dziewczyna, kobieta, którą chciałem poślubić, z własnej woli wlaża na łód?! Bo co? Chciała zrobić zdjęcia na Insta?! Nie, taką debilną nie była! - podnosi głos Leon, a ja zdaję sobie sprawę, że to już drugi facet, który wydziera się na mnie tego przedpołudnia...

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że wszystkim nam jest ciężko - mówię, a on przygląda mi się w milczeniu.

- Pani mężowi też jest ciężko? - pyta nagle mocno sarkastycznym tonem. - Ktoś widział, jak Kaja wsiadała do czarnej terenówki, i niespodzianka, czarną terenówką jeździ również Piotr Rosner. Brzmi znajomo? - Leon rzuca nazwiskiem mojego męża w takiej złości, że aż przechodzą mnie ciarki.

- Zapewniam, że mój mąż nie ma z tym nic wspólnego, nigdy nie skrzywdziłby Kai - mówię z naciskiem, a Leon robi dwa kroki w moją stronę i patrząc mi prosto w oczy, pyta, skąd niby mam taką pewność.

- Nie będę tego słuchać - mówię, kładąc reklamówkę z jedzeniem przy jego drzwiach.

Siatkę z jego butami stawiam obok.

- Cokolwiek to jest, proszę to zabrać - mówi on, ale nie zamierzam słuchać jego poleceń.

Chce, niech to zje, nie chce, niech wyrzuci, trudno...

Jego agresja mnie boli, ale też trochę zaskakuje. Okazałam mu przecież mnóstwo życzliwości, a on nagle uważa mnie za wroga? Kiedy do nas przyszedł, pytając o Kaję, zrobił na mnie dobre wrażenie. Teraz jednak wygląda jak ktoś zupełnie inny, aż się zastanawiam, co zmieniło tego ciepłego, spokojnego chłopaka w kogoś takiego. Oczywiście wiem, przytrafiła mu się niewyobrażalna tragedia, ale jednak...

- Proszę to zabrać, słyszy mnie pani? Nie potrzebuję niczyjej litości! - rzuca przez zęby, jego oczy płoną wściekłością.

Nie odpowiadam mu.

Bez pożegnania, porzucając przyniesione siatki, zbiegam po schodach i bez oglądania się za siebie pędzę w dół.

- Ja też szukam prawdy i dowiem się, kto za tym stoi! - wrzeszczy w ślad za mną Leon, po czym na zaniedbanej klatce schodowej zapada cisza.

Czy on mi właśnie groził? - zastanawiam się, wychodząc na ulicę.

Chwilę później wzdrzgam się na wspomnienie Piotra w złości rozdeptującego kolczyk naszej niani i oczy zachodzą mi łzami.

Nie powinnam tu przychodzić, wyrzucam sobie.

Wigilijny wieczór spędzam przed telewizorem. Moja rodzina mieszka głównie za granicą, zresztą i tak nie zostawiłabym domu w święta, tyle się mówi o włamaniach do pustych willi... Koło północy wypijam pół butelki wina i kładę się w pokoju gościnnym na parterze. Na piętro nawet nie wchodzę po tym, jak darliśmy się na siebie z Piotrem pośrodku naszej sypialni, nie mam ochoty tam spać, zwłaszcza sama.

Prawie zasypiam, kiedy słyszę jakiś dziwny hałas dochodzący od strony tarasu. Brzmi to tak, jakby ktoś się po nim kręcił. Na myśl o tym, że jakiś intruz usiłuje dostać się do domu, serce zaczyna mi walić tak szybko, że aż kręci mi się w głowie. Co gorsza, nie ustawiłam alarmu, tym na co dzień zajmuje się Piotr... Hałas się powtarza, teraz jestem już pewna, że ktoś jest na tarasie. Wybiegam z gościnnej sypialni z palcami zaciśniętymi na obudowie telefonu, wpadam do kuchni, znajduję jeden z największych noży i z nim w ręku przechodzę do salonu. Poruszam się bezszelestnie, nie zapalam światła i staram się przesuwać z plecami przy ścianie, chcąc pozostać nieuważona z zewnątrz. Wtedy go widzę, stoi tuż przy sięgającym podłogi oknie - majestatyczny, olbrzymi... dzik...

- Ja pierdołę - klnę, a nóż wypada mi z ręki...

Musiał tu zajść od strony jeziora, gdzie nie ma ogrodzenia, dociera do mnie. Chwilę później wybucham histerycznym śmiechem.

Wracając do łóżka, wciąż chichoczę. Najśmieszniejsza wydaje mi się myśl, że dosłownie kilka minut wcześniej zastanawiałam się nawet nad tym, czy to aby nie mój mąż, zimnokrwisty morderca naszej niani, nie wrócił po mnie nocą, żeby zamknąć mi usta, bo odkryłam prawdę o nim.

- Odpieprza mi - mamroczę, okrywając się kołdrą. - Piotr ma rację, odwaliło mi...

Rano trochę pracuję, chcąc zabić czas, trochę ćwiczę i jem zdecydowanie zbyt dużo keksa, ale w końcu święta są raz w roku.

Koło południa mąż wysłał mi dość zdawkowo brzmiące esemesa z informacją, że jednak wracają dopiero jutro, a mnie do reszty warzy się nastrój. Tęsknię za nimi. Brakuje mi Nineczki, Daniela i oczywiście Piotra, ale duma nie pozwala mi o tym wspominać. Wysłałam mężowi jedynie lakoniczną odpowiedź o treści: „okej, jak wolicie”, a później idę po kolejną porcję ciasta i samotnie pochłaniam ją na sofie, płacząc...

15

ILONA

W Wigilię od samego rana kłócimy się z Mateuszem – jemu nie podoba się to, że podobnie jak w moim rodzinnym domu, chcę tego dnia jeść mało i postnie – wyśmiewa mnie, kiedy to proponuję, po czym ostentacyjnie przygotowuje sobie kanapki z pasztetem, do nich pije kawę z podwójną ilością śmietanki, a wszystko dopełnia kawałkiem czekoladowego ciasta z kokosowymi wiórkami, które sam sobie kupił, gdyż, jak się pogardliwie wyraził: „niby ma w domu żonę, ale jakby jej nie miał”. Jego uwaga jest podła, naprawdę wredna. Nie znoszę świąt, ale przecież się staram! Sprzątam, piekę, dekoruję dom, ale jemu ciągle mało.

Przed piętnastą, po kilku godzinach szwendania się po domu, szurania kapciami, podżerania chipsów i bezcelowego kręcenia się po ogrodzie, mąż zniecka pojawia się w kuchni i oznajmia mi, że musi gdzieś wyjść, po czym, nie czekając na moją odpowiedź, w pośpiechu wkłada elegancki wełniany płaszcz.

– Jest Wigilia, najpóźniej za trzy godziny siadamy do stołu – zaczynam, ale Mateusz nawet nie udaje, że mnie słucha.

– Zdaję sobie z tego sprawę – rzuca tylko i tyle go widzę.

– Ja też wychodzę. – Adam, widząc, że ojciec opuścił dom, szybko rusza w jego ślady.

– Słucham?!

– Mówię, że wychodzę – powtarza. – Słuch ci się pogarsza na starość, mamuśka? – szczerzy się.

– Uważaj na słowa – radzę mu.

Nie odpowiada.

Funduje mi paskudny krzywy uśmiech, świetnie wiedząc, że w przypadku konfrontacji z nim jestem raczej bezsilna, po czym wkłada kurtkę, posyła w locie całusa siostrze, która w rewanżu pokazuje mu język, i po chwili znika za drzwiami.

– Wow! – mówię do siebie i siadam na krześle, a Lenka obejmuje mnie za szyję i szepcze: „Nie martw się, mamusi”.

Nie martw się, dobre. Jest Wigilia, a mój mąż i syn opuścili dom, ale mam się nie martwić...

– Poczytasz sobie coś? Mama musi zadzwonić – proszę Lenkę, która posłusznie idzie do siebie, na górę, gdzie zapewne na dłużej zaszyje się z książką.

Dobre, kochane dziecko, myślę z wdzięcznością. Tylko dla niej chce mi się jeszcze żyć.

Kiedy córka zostawia mnie samą, sięgam po swoją komórkę i wybieram numer Oli, mojej kuzynki. Jesteśmy ze sobą blisko, Aleksandra wie o mnie wszystko, również to, jak bardzo nieudane jest moje małżeństwo z Mateuszem – jej jako jednej z nielicznych ludzi na świecie szczerze wyznałam prawdę, bez oszukiwania czy lukrowania mojej rzeczywistości.

- Odejdź od niego, Ilona - radzi mi kuzynka, kiedy streszczam jej ostatnie wydarzenia. - Ten związek to jakaś gehenna, kobieto, obudź się - prosi.

Słyszac ją, czuję się jak ostatnia ofiara losu. Oli układa się z mężem, właśnie dokończyli z Konradem budowę domu, są bardzo szczęśliwi. Chciałabym mieć taki związek jak ona, ale albo nie umiem go stworzyć, albo Mateusz nie jest odpowiednim dla mnie mężczyzną.

- Ilona, słyszysz mnie? Znajdź sobie pracę, a później kopnij go w końcu w dupę. Sugeruję ci to od lat, ale nie słuchasz. Okej, nie dokończyłaś medycyny i co z tego? Znasz języki, jesteś inteligentna, poradzisz sobie. Nie wszyscy muszą być lekarzami.

- Pracę? - parskam gniewnie. - Od lat siedzę w domu, nie mam żadnego zawodowego doświadczenia, kto niby mnie zatrudni i za ile? A dalej co? Wynajmę kawalerkę, a sąd przyzna dzieci jemu, bo ja nie będę mieć warunków?

- Daj spokój, zedrzesz z niego alimenty - parska Ola. - Zarabia krocie, będzie ci płacić. Zresztą, jaki sąd przyzna dzieci ojcu, jeśli mają matkę?

- To nie jest takie proste i w sumie nie wiem, czy jednak tego chcę - waham się.

- Nie miałabyś ochoty zacząć od nowa? Znaleźć sobie kogoś, kto będzie cię kochać i szanować, stworzyć coś fajnego? Zamierzasz przy nim tkwić do grobowej deski? Ile jeszcze zdrad mu wybaczysz?! Jak wiele razy musi cię upokorzyć, popchnąć czy sponiewierać psychicznie, żebyś otworzyła oczy?! Wahalam się, czy w ogóle ci to mówić, ale w tej sytuacji... Mój Konrad widział ostatnio Mateusza na mieście. Nie był sam, wisiało na nim jakieś dziewczę, na oko dwudziestoletnie. On znowu ma romans, Ilona. Ile jeszcze razy pozwolił mu deptać twoją godność?! - unosi się moja kuzynka i nagle ogarnia mnie złość.

- Nasze małżeństwo ma również swoje plusy, a ja nie zamierzam spędzić ostatnich lat młodości w biedzie i jakimś syfiastym mieszkaniu z brudną klatką schodową i głośnymi sąsiadami - cedzę. - A ty nie osądzaj nas tak ostro, bo nie masz pojęcia, co...

- Okej, widzę, że jesteś na etapie samooszukiwania się. Do tego zawsze miałaś talent - wchodzi mi w słowo Aleksandra. - Zadzwoń, kiedy wróci ci rozum. Wybacz, muszę kończyć, bo w piekarniku mam rybę - dodaje, po czym się rozłącza po krótkich, świątecznych życzeniach, które zabrzmiały wyjątkowo mało radośnie.

- Pieprz się - mówię, odkładając telefon na stół.

Jestem na nią wściekła. Uważa, że Mateusz mnie upokarza, ale jej ostre, zbyt mało wyważone słowa również mnie zabolaly. Traktuje mnie z wyższością, uważa się za lepszą, bo jej mąż nie miewa romansów, teraz widzę to wyraźnie, mówię sobie. Nie powinnam tak szczerze jej o nas opowiadać. Ludzie wyciągną z ciebie wszystko w chwili twojej słabości, a później rzucą ci to w twarz, z triumfalnym uśmieszkiem...

- Mamo, jestem głodna. - Lena zjawia się w kuchni w momencie, w którym zastanawiam się, kiedy i czy w ogóle zabierać się za smażenie ryby.

Mateusz, do którego przed momentem usiłowałam się dodzwonić, nie odbiera komórki, a syn podczas mojej rozmowy z kuzynką wysłał mi esemesa, w którym lakonicznie poinformował, że jednak nie będzie go na wigilii, bo coś mu wypadło. Widok wiadomości od niego ostatecznie wytrąca mnie z równowagi. Czy oni obaj powariowali?! Nie jestem jakoś szczególnie wierząca, zresztą moja rodzina też nie, ale nawet mimo tego Wigilia była w moim rodzinnym domu świętością! Czekano się na ten wieczór przez cały rok, a później z radością

wspólnie siadało się do stołu. Ominięcie wigilijnej wieczerzy czy jakieś potajemne wyjścia z domu były w tym dniu wręcz nie do pomyślenia. Tymczasem nasza rodzina się sypie...

- Mamo? - Lena ciągnie mnie za rękaw.

- Dobrze, zaraz ci coś dam - mówię, starając się nie potraktować jej zbyt oschle i nie okazywać córce zniecierpliwienia.

Nie zasłużyła na to, żebym się przed nią opędziała tylko dlatego, że jej starszy brat i ojciec są dwoma dupkami, mówię sobie.

- Chcesz chałkę z sałatką, śledzika czy...

- To! - wchodzi mi w słowo moja wiecznie nienajedzona kluska, pulchnym paluszkiem wskazując stojącą na kuchennym blacie blachę z czekoladowym ciastem, które jakieś pół godziny wcześniej wyjęłam z piekarnika.

- To jest na święta - protestuję.

W tym samym momencie przychodzi esemes od syna, w którym Adam informuje mnie, że skoro już muszę wiedzieć, to wyjechał do znajomych i będzie pojutrze.

- To jakiś żart?! - pytam ostro, kiedy do niego dzwonię, a on łaskawie odbiera. - Jakich znajomych?! Zwaliliś się komuś do domu na święta?!

- Oni nie obchodzą świąt, nie każdy ma ochotę brać udział w tej komercyjnej szopce - rzuca pogardliwym tonem. - I sorry, ale nie znasz ich. Muszę kończyć, jestem na stacji.

- Jakiej stacji? - pytam, bo z tego wszystkiego rozboleła mnie głowa, w której mam kompletny mętlik...

- Benzynowej. - Syn wyjaśnia mi to jak ostatniej idiotce, mamrocze coś o tym, żebym miło spędziła święta i się rozłącza.

- Wiesz co, córciu? - zwracam się do Lenki. - Masz rację, zjedźmy sobie kawałek ciasta. - Puszczam do niej oczko.

Pieprzyć święta, myślę. Pieprzyć Adama, Mateusza i całą resztę świata!

Wigilijnej wieczerzy nie urządzam, bo nie ma za bardzo dla kogo - córka jest jeszcze chyba zbyt mała, żeby potrzebować podniosłej ceremonii dzielenia się opłatkiem, wspólnej modlitwy za dusze przodków i całej reszty...

Smażę po kawałku ryby dla siebie i Magdalenki, później jemy jeszcze niewielką porcję barszczu z uszkami i nie czekając na resztę domowników, rozpakowujemy podpisane ręką męża i syna raczej skromne i mało oryginalne prezenty. Krem pod oczy, skarpetki w błękitne kwiatki i mandarynki - szczyt żenady i banału... Zegarek, który kupiłam mężowi, perfidnie zabieram spod choinki i chowam w mojej szafie z zamiarem wystawienia go na Allegro. Nie zasłużył na tak drogi prezent, zwłaszcza że sam nie kupił mi nic cennego, myślę mściwie, po czym wybieram jego numer.

- Jest dziewiętnasta trzydzieści! - warczę, kiedy Mateusz odbiera. - Można wiedzieć, gdzie ty jesteś?!

- Nie można - odpowiada mój ślubny, po czym się rozłącza.

Nasza rozmowa trwała zaledwie przez chwilę, ale zdążyłam się zorientować, że mąż jest w samochodzie. Dokąd jedzie? Z kim? Nie mam pojęcia...

Resztę wieczoru spędzam z córką. Oglądamy z Lenką film, jemy ciasto, robimy sobie zdjęcia przy choince, wygłupiamy się i pijemy czekoladowe mleko, którego żadna z nas raczej pić nie powinna, obie jednak za nim przepadamy. Staram się wyczarować chociaż odrobinę magii, żeby jej Boże Narodzenie, w przeciwieństwie do mojego, nie było koszmarem, ale do oczu ciągle cisną mi się łzy i jestem totalnie rozwalona emocjonalnie. Sytuacja z Mateuszem mnie dobiła. Nie ludziłam się, że w święta będzie między nami sielankowo, ale gdyby mi ktoś powiedział, że on po prostu gdzieś czmychnie, nie uwierzyłabym...

- Gdzie jesteś, sukinsynie? - mamroczę pod nosem, kiedy Lenka wychodzi do łazienki, a później jeszcze raz wybieram numer męża, ale tym razem Mateusz znowu nie odbiera.

- Mamusiu, pójdziemy na spacer? - pyta mnie nagle córka po powrocie do pokoju.

- Nie żartuj, jest za zimno - mówię, krzywiąc się na samą myśl o wyjściu z ciepłego, pachnącego jedliną domu.

- Ale jest śnieg! - Lenka składa dłonie jak do modlitwy, nie zamierzam jednak wychodzić na ten wygwizdów, nie ma mowy!

- Powiedziałam nie! - podnoszę głos i od razu mam wyrzuty, że jednak się na nią wydarłam, więc mocno ją przytulam i mówię, że bardzo ją kocham.

Do łóżka pędzę ją tak wcześnie, jak tylko się da, całe szczęście nie zjadła zbyt wiele słodyczy i jest bardziej zmęczona i ospała niż pobudzona po cukrze, jak jej się czasem zdarza.

Później nalewam sobie wina i zasiadam na sofie w salonie, zastanawiając się, czy ktoś z sąsiadów odnotował fakt, że zarówno mój mąż, jak i syn wyszli z domu w wigilijne popołudnie i nie wrócili na wieczerzę. Cóż, mam nadzieję, że nie, bo liczba upokorzeń, jakich doświadczyłam w ostatnich miesiącach, jest już i tak wystarczająca, myślę.

Piję i gapię się w plazmę - po trzech kieliszkach czerwonego wina niechętnie zakręcąm i odstawiam butelkę. Najchętniej piłabym dalej, ale przecież w pierwszy dzień świąt zawsze jadamy późny obiad u moich rodziców, nie chcę tam jechać na kacu, a i bez tego czuję się już wystarczająco żałośnie... W telewizji leci jedna z tych irytujących komedii romantycznych, w których bohaterki przeżywają niezliczone miłosne uniesienia, a wszystko jest słodkie do porzygania. Gapię się na film, czując się przyjemnie otępiła po wypitym alkoholu, i nagle robi mi się wszystko jedno, jest przecież pięknie, ciepło, błogo i przytulnie, a w pokoju pachnie jedliną.

Mój dobry nastrój pryska kilka minut po północy, kiedy do domu wtacza się Mateusz. Jest pijany, od razu to wiem - słyszę, jak klnie pod nosem, miota się po holu, potyka o coś...

- Przybieżeli do Betlejem pasterzee! - wydziera się, a ja gwałtownie zrywam się z sofy i pędzę w jego stronę.

- Przymknij się z łaski swojej, Lenka śpi - syczę, a on czka i obojętnie wzrusza ramionami, po czym przechodzi do kuchni.

Idę za nim, bo czuję potrzebę konfrontacji, chcę przyprzeć go do muru i wyciągnąć z niego to, gdzie i z kim się włóczył!

- Jest coś do jedzenia? - pyta tymczasem on, otwierając lodówkę tak zamasztyłym gestem, że rozdzwaniają się stojące na jej drzwiach słoiki z oliwkami i kaparami.

- To, co sobie przygotujesz - mówię.

- A od czego ja mam żonę? - Mateusz odwraca się w moją stronę, lekko się zatacza i wyjmuję z lodówki talerz z resztką pasztetu. - Wytłumacz mi, jaką ty w tym domu pełnisz funkcję, kochanie, bo chyba nie reprezentacyjną? - kpi, zdzierając z talerza srebrną folię. - Na to jesteś o jakieś dwadzieścia kilka kilo gruba - rechocze.

- Gdzie byłeś? - pytam, puszczając mimo uszu jego chamskie przytyki odnośnie do mojej wagi, chociaż w środku aż się gotuję...

- Tu i tam - odpowiada, rozglądając się, zapewne za nożem.

Dostrzegam go pierwsza - leży na blacie - duży, ząbkowany, z piekielnie ostrym ostrzem - przyciąga wzrok, kusi, rodzi niezdrowe diaboliczne podszepty w mojej głowie.

Mateusz rusza w jego stronę, ale jestem szybsza - łapię za niego, zaciskam palce na chłodnej rękojeści i wyciągam rękę w stronę stojącego obok męża.

- Pytałam, gdzie byłeś! - wrzeszczę, wymachując nożem, bo nagle mam gdzieś wszystko, nawet to, że pewnie lada moment z góry zejdzie zapłakana, przestraszona Magdalena, którą zapewne obudzą nasze wrzaski.

- W dupie! - rzuca mój mąż, wyzywająco patrząc mi w oczy, po czym z zaskakującą zwinnością, biorąc pod uwagę jego stan upojenia, łapie mnie za nadgarstek i wyjmuję mi z ręki nóż. - Nie wymachuj nim tak, bo jeszcze kiedyś przez przypadek zostaniesz wdową. A wierz mi, finansowo nie wyszłoby ci to na dobre. Kim jesteś beze mnie, no powiedz?! Kim beze mnie jesteś?! - wrzeszczy, po czym ciska nóż do zlewu i z talerzem pełnym pasztetowej w dłoni rusza w stronę wyjścia z kuchni. - A gdybyś miała cień wątpliwości, zapewniam, że mówiłem serio. Byłem w dupie, i to całkiem młodej - oświadcza jeszcze, zanim znika mi z oczu.

- Ty pierdolony chamie - mówię, połykając łzy.

Sekundę później wyjmuję ze zlewu nóż i dzierżąc go w dłoni, wychodzę z kuchni.

W udekorowanym jedliną holu przystaję i opieram się plecami o ścianę. Jej chłód przywraca mi zdrowy rozsądek, studzi szalejące we mnie emocje. Gdzie skończy Lenka, jeśli w wigilijną noc dźgnę nożem jej ojca, a sama wyląduję w kryminale? Naprawdę chcę zostać zapamiętana w tym snobistycznym, elitarnym sąsiedztwie jako ta, która dopuściła się tego typu patologii, i to w Boże Narodzenie? - myślę ze łzami w oczach i na palcach wracam do kuchni, gdzie ostatecznie porzucam narzędzie niedoszłej zbrodni.

Później zaszywam się w pokoju gościnnym na parterze z nadzieją, że pijany Mateusz szybko zaśnie, i siedzę tam, dopóki w całym domu nie panuje absolutna cisza.

Kiedy jestem niemal pewna, że mąż zapadł w głęboki pijacki sen, zakradam się na piętro, do naszej sypialni, na palcach podchodzę do łóżka i sięgam po jego telefon. Później najdelikatniej, jak potrafię, przyciskam wskazujący palec jego prawej ręki do czytnika linii papilarnych. W pokoju jest ciemnawo, smuga światła wpada wyłącznie przez szparę w uchylonych sypialnianych drzwiach, ale tyle mi wystarczy. Kiedy go dotykam, mąż mamrocze coś przez sen i lekko się porusza, ale znam go na tyle dobrze, aby wiedzieć, że kiedy zaśnie po alkoholu, nie wyrwie go ze snu praktycznie nic.

W korytarzu, po tym jak już bezszelestnie wymknęłam się z sypialni, opieram się o ścianę i zaczynam przeglądać jego zdjęcia. Dziwkę, z którą się obecnie zadaje, lokalizuję niemal od razu - szmata jest tak głupia, że zrobiła sobie z nim kilka selfie na tle olbrzymiej choinki przy

ratuszu w centrum naszego miasta. Jest ładna, bardzo ładna. Młoda, mocno pomalowana, z długimi i gęstymi jasnymi włosami, w których osiadły płatki wirującego wokół ich głów śniegu. Ma duże brązowe oczy, pełniejsze ode mnie usta i zgrabny, małeńki nosek. W uszach ładne kocyki, zapewne prezent od niego, na szyi taki sam przeplatany złotą nicią szal, jaki dostałam od Mateusza na mikołajki – skurwiel musiał za jednym zamachem kupić dwa – dla swojej flamy i dla mnie...

Kolejne fotki zrobili sobie w jakimś wyglądającym na pięciogwiazdkowy hotelu – ona pręży się na łóżku z pikowanym zagłówkiem, pozując w samej koronkowej bieliźnie, on leży obok, z nagim torsem, uśmiechnięty i odprężony.

– Kurwiarz! – syczę, przeglądając kolejne zdjęcia.

Spotykają się przynajmniej od listopada, tak wynika z fotek w jego telefonie. W październiku nie zrobili sobie ani jednego zdjęcia, listopad i grudzień są pełne ujęć tej dziwki. Później zerkam w esemesy i do oczu napływają mi łzy. „Kocham, tęsknię, myślę o Tobie” – czytam ich czułą wymianę zdań i robi mi się niedobrze. Oto z kim sypiam w jednym łóżku – z mężczyzną, który kładzie się w naszej jedwabnej pościeli tuż po powrocie od tej kurwy, kimkolwiek ona jest...

Nagle, przeglądając jego WhatsAppa, widzę coś, co sprawia, że na moment przestaję oddychać – w kontaktach Mateusza pomiędzy naszymi wspólnymi znajomymi, rodziną i kilkoma architektami z jego studia widzę również dziewczynę, którą zapisał jako „Kaja J.”. Kaja Jot? „J.”, czyli w tym wypadku skrót od pierwszej litery jej nazwiska? Wiem, że nazywała się Jaworska, sama już nie pamiętam, kto mi to kiedyś powiedział i po co, ale wtedy niania Rosnerów jeszcze żyła i nieszczególnie się nią interesowałam. Wchodzę na jej profil i widzę, że rozmawiali, i to nie raz, nie dwa, ale od dłuższego czasu.

Ostatnia wiadomość, którą wysłał do niej mój mąż, brzmi: „Seksownie dziś wyglądałaś, ruda lisico!”.

Data: piętnasty grudnia.

Kaja odpisała mu uśmiechkiem, niczego później od tej daty już nie znalazłam, ale ich wcześniejsze rozmowy były utrzymane w podobnie kokieteryjnym tonie – on pisał jej komplementy, ona wyraźnie z nim flirtowała, posyłała mu emotki z serduszkami, rozchylonymi czerwonymi wargami i uśmiechkami, raz nawet zdjęcie gołych cycków! Pieprzyli się? Chryste, czyli jednak ją posuwał? Przykładam dłoń do ust, zszokowana i roztrzęsiona. Dłonie drżą mi tak bardzo, że z trudem udaje mi się utrzymać w nich jego telefon... Nagle przypominam sobie reakcję Mateusza w dniu, kiedy powiedziałam mu, że niania Rosnerów zaginęła. „Jeśli pytasz, czy mam z tym coś wspólnego, muszę cię rozczarować” – rzucił wtedy, od razu przechodząc do linii obrony, chociaż przecież o nic go wtedy nie oskarżałam...

A jeśli to on? – przechodzi mi przez myśl.

Po osiedlu krąży od kilku dni plotka o tajemniczym świadku, który widział ponoć Kaję wsiadającą do czarnej terenówki, a mój mąż, podobnie zresztą jak Piotr Rosner i dwóch innych sąsiadów, jeździ czarnym dżipem. Pamiętam, że tego dnia wrócił jakąś godzinę po tym, jak widziałam przez okno upadającą na chodniku nianię Rosnerów, wściekły, z mokrymi nogawkami od spodni... Zaszły się wtedy w gabinecie, w złości wydarł się na Lenę i w pośpiechu zminimalizował to, co przeglądał w komputerze, kiedy zajrzałam do niego

z talerzem pełnym kanapek. Czy to możliwe, że mój mąż przyczynił się do śmierci tej dziewczyny? – zastanawiam się, samotnie stojąc w korytarzu przed naszą sypialnią. Ale w jaki sposób miałyby się to stać? Wyglądali się i weszli na łód? Wyobraziłam sobie ich objętych, roześmianych i rozbawionych, jak dzieciaki. Czy mój mąż byłby aż tak głupi, żeby zabrać kochankę na spacer po zamrażającym jeziorze? I czy naprawdę była jego kochanką, czy tylko ostro flirtowali? Wiedziałam, że ona mu się podoba, widywałam przez okno, jak rozmawiali w uliczce, fascynacja zdawała się obopólna, ale czy chodzili ze sobą do łóżka?

Tyle sekretów, myślę. Mieszkam pod jednym dachem z dwoma mężczyznami, o których prawie nic nie wiem – syn ma swój świat, swoje życie i coraz więcej tajemnic, a mąż... Mąż być może przyczynił się do czyjejś śmierci... Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi niedobrze. Wyobrażam sobie jego panikę i ucieczkę znad jeziora, do którego wpadła Kaja. Próbował ją ratować czy po prostu odjechał, modląc się, żeby nikt nie zauważył jego wozu? Przy wjeździe do Forest Hill są kamery – policja zapewne sprawdzi, bądź już to zrobiła, które z samochodów wyjeżdżały tamtego popołudnia z osiedla, a które na nie wjeżdżały.

Nie zgadzał mi się tylko kierunek – jeśli niania szła od strony pętli, a on, jak podejrzewałam, wracał z centrum, ze swojej pracowni, raczej nie zaproponowałby podrzucenia jej na przystanek, chyba że by zawrócił – specjalnie dla niej. Inna sprawa, że wcale nie mam pewności, gdzie tak naprawdę wtedy był, od dawna niczego mi przecież nie mówi, kłamie, znika na całe godziny i coraz później wraca z pracy.

Za uchylonymi drzwiami Mateusz mamrocze coś przez sen. Wzdrygam się, wyobrażając sobie gwałtowną reakcję męża na widok jego telefonu w mojej dłoni, odczekuję kilka minut, wślizguję się do sypialni i odkładam komórkę na nocną szafkę, starając się położyć ją mniej więcej w tym samym miejscu, z którego ją zabrałam.

Później wychodzę z pokoju i samotnie idę na dół. Nie chcę spać obok niego, brzydzę się nim. Bez względu na to, czy przyczynił się do śmierci Kai czy nie, jest zdradzieckim osłizgłym i kłamliwym gadem, którego tej wigilijnej nocy nienawidzę chyba bardziej niż kiedykolwiek.

Na dole nalewam sobie jeszcze jeden kieliszek wina, a później drugi, trudno, będę mieć kaca na obiedzie u rodziców, a później bezgłośnie szlocham, zagryzając zębami rękaw kwiecistego szlafroka.

Może powinnam iść na policję? – przychodzi mi nagle do głowy, ale szybko rezygnuję z tego niedorzecznego pomysłu. Miałabym donosić na własnego męża? Gryźć rękę, która nas wszystkich karmi? Żał mi Kai, naprawdę, sama przecież mam dzieci, zdaję sobie sprawę z rozmiaru jej tragedii. Bardzo przeżyłam wieści o znalezieniu jej ciała pod lodem, nawet jeśli nigdy tej dziewczyny nie lubiłam i byłam o nią zazdrosna (nie wspominając już o mało sympatycznym spotkaniu nad jeziorem, do którego między nami doszło na początku września), ale przecież każda kobieta w moim wieku zna takie jak ona – małe kurewki, którym się wydaje, że nie stanie się nic wielkiego, jeśli rekreacyjnie prześpią się z cudzym mężem czy chłopakiem. Kręciła tym wychudzonym tyłeczkiem, kokietowała, kogo popadnie, to się doigrała, myślę. Nagle przychodzi mi do głowy coś nowego, ta świeża myśl sprawia, że czuję się lepiej, podnosi mnie na duchu. A jeśli to nie Mateusz? Jeśli to Piotr Rosner dosłownie pod nosem tej swojej młodej żonki pisarki posuwał nianię własnej córki? Tak, to też była całkiem

prawdopodobna opcja, mówię sobie i w końcu, po jeszcze jednym, finalnym kieliszku wina, udaje mi się zapaść w płytki, niespokojny sen.

Pierwszy dzień świąt... Wstaję wcześniej, martwię się, że zapakowana w gips Michalina będzie czegoś chciała i sama sobie nie poradzi. Mam co prawda pod ręką komórkę, której, ze względu na kontuzję córki, nie wyciszam nawet na noc, ale i tak jestem czujniejsza niż zwykle. Mam też potężne wyrzuty sumienia, bo chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że to po prostu był nieszczęśliwy wypadek, to jednak tamtego dnia to ja wyciągnęłam ją na sanki...

Kiedy do niej zaglądam, wciąż śpi. Na wznak, z zagipsowaną nogą uniesioną wyżej, opartą na dwóch zrolowanych cienkich kołdrach, pod którymi sypiamy latem. Moja małeńka, uśmiecham się, przez dłuższą chwilę stojąc w uchylonych drzwiach jej dziewczęcej, pomalowanej na błady róż sypialni. W pokoju pachnie jedliną – jakieś dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem Michaśka poprosiła nas o dużą choinkę, którą Robert jeszcze tego samego dnia przywiózł i ustawił w kącie jej pokoju. Drzewko jest olbrzymie i wygląda naprawdę pięknie, córka udekorowała je srebrno-różowymi bombkami w klimatach retro i obfotografowała już tyle razy, że to chyba najbardziej dopieszczona choinka świata, uśmiecham się, kiedy cichutko zamykam za sobą drzwi.

Później, na palcach, żeby jej nie obudzić, schodzę na parter.

W kuchni zastaję Roberta – mąż siedzi nad kawą i czyta kryminał swojego ulubionego francuskiego autora.

– Cześć, kochanie – mówię, a on podnosi wzrok znad książki i szeroko się uśmiecha, w jego oczach znowu widzę czułość, co sprawia, że się wzruszam.

– Lubię cię w tym ciuszku – rzuca, odkładając książkę.

– Wiem. – Uśmiecham się kokieteryjnie, bo faktycznie obszyta czarną koronką kusa satynowa koszulka w malinowym kolorze ładnie podkreśla moją kobiecą figurę.

– Dobrze spałeś? – pytam go, a Robert wyciąga rękę, przyciąga mnie do siebie i sadza sobie na kolanach.

– Wyśmienicie – mówi, zanim całuje mnie w szyję.

Odkąd wyznałam mu prawdę na temat tego, co wydarzyło się nad jeziorem, między nami znowu jest dobrze. Cieszy mnie to, bo takiej eskalacji napięcia i niemego wyrzutu w jego wzroku dłużej bym nie zniosła...

– Obiecuj, że dziś będzie idealnie – mruczy Robert z ustami przy mojej szyi. – Że dziś będziemy świętować, zostawiając za drzwiami całe zło świata.

– Przyrzekam – mówię, bo też mam taką nadzieję, i chociaż ciągle myślę o tym, co się przytrafiło Kai, w duchu również sobie obiecuję, że tego dnia nie będę się tym zadrećcać.

Za kilka godzin wpadnie moja siostra z mężem, zjemy razem obiad, powinno być sympatycznie. Kinga jest niecałe trzy lata młodsza ode mnie, zawsze miałyśmy dobry kontakt,

już w dzieciństwie. Dariusza, jej męża, również bardzo lubię – szwagier ma poczucie humoru i zawsze fantastycznie rozkręca każde towarzystwo.

– Mamo?! Mamuuuś! – drze się z góry Michalina, chwilę później dzwoni moja leżąca na stole komórka.

Kiedy woła, ledwo ją słyszę i zdaję sobie sprawę, że niepotrzebnie zamknęłam drzwi od jej sypialni, ale mniejsza z tym, ma przecież komórkę.

– Idę, córeczko – mówię, kiedy odbieram telefon, a później wstaję z kolan męża, w przelocie cmokam go w usta i przeskakując po dwa stopnie, pędzę na górę.

To jednak prawda, że dzieci odmładzają, uśmiecham się do siebie na tę myśl, wchodząc do pokoju naszej jedynaczki.

– Co ty taka półgoła? – wita mnie moje najdroższe dziecko, jakbym, będąc po czterdziestce, nie miała już prawa włożyć krótkiej satynowej koszulki...

– Skupmy się na tobie. – Puszczam do niej oczko i pomagam jej wstać z łóżka.

Później łazienka, poranna toaleta, podczas której zostaję zredukowana do roli służącej uwijającej się wokół kapryśnej panienki, ale nie narzekam. Noga w gipsie Michaśki to też trochę moja wina, jak już wcześniej wspomniałam.

– Chcesz, żeby tato zniósł cię do salonu? Posiedzisz z nami, obejrzysz coś w telewizji, pogramy w karty – proponuję, susząc córce włosy.

– Zostanę u siebie. W południe ma dzwonić Adam – oznajmia Michaśka, a ja przygryzam wargę.

– Prosiłam cię o coś – mówię cicho.

– O co? Mamy zakaz kontaktów czy jak?! – podnosi głos Michalina.

– Prosiłam, żebyś się za nim nie uganiała, a ty pewnie wykorzystujesz swój gips jako pretekst, żeby się do niego odezwać i znowu zebrać o jego uwagę?

– Wow, poważnie? A nie słyszałaś może o tym, że kumple po prostu do siebie dzwonią?

– Nie jesteś jego kumplem, Miśka.

– Jestem. – Moja córka uśmiecha się złośliwie.

– Ale chyba tu nie przyjdzie? W pierwszy dzień świąt...

– Nie martw się, wczoraj wyjechał.

– Wczoraj wyjechał? Kto wyjeżdża w Wigilię?

– Adam. On ma totalnie wywalone na całe te katolickie cyrki – rzuca Michaśka z wyraźną pogardą w głosie.

– Katolickie cyrki, proszę, proszę... A jeszcze niedawno pakowałam ci plecak na oazowe wycieczki w góry – przypominam jej.

– Taaa, niedawno. Trzy lata temu – krzywi się Miśka, jakby przypomnienie jej, że chodziła na oazę i śpiewała w kościelnym chórkum młodzieżowym, było nagle czymś nie na miejscu.

– Nie odbieraj – radzę jej, kiedy uwieszona na mnie kuśtyka z powrotem do pokoju. – Nie odbieraj telefonu od Adama.

– Przecież się umówiliśmy, jak mogę...

– Napiszesz do niego koło siedemnastej. Coś w stylu: „Sorry, padła mi komórka, zapomniałam podładować”.

- No mogę i co? On odpisze „okej” i tyle będę z tego miała.

- Czyli jednak cię olewa? Miśka, facet, któremu zależy...

- Mamo, daj mi spokój! – wydziera się na mnie córka, a kiedy w końcu udaje mi się usadzić ją w łóżku tak, żeby pólśiedziała oparta o spiętrzone poduszki, drapie się po nodze, tuż nad górną krawędzią gipsu, i rzuca: – Ja pierdole, nie wytrzymam tego!

- Wytrzymasz. Przez najbliższe tygodnie będziemy cię traktować jak księżniczkę, może nawet ci się spodoba. – Mrugam do niej, a ona krzywo się uśmiecha.

- Jasne. Będę tak zachwycona, że rzucę się z okna, żeby złamać drugą nogę i obie ręce – mruzczy, a ja parskam śmiechem.

- Nie radzę. Moja cierpliwość do czulej opieki nad tobą mogłaby się wtedy mocno wykruszyć – mówię. – Przyniosę ci śniadanie. Chcesz coś konkretnego?

- Gwiazdkę z nieba. Oblaną lukrem. – Miśka się szczerzy, a ja rucam w nią ozdobną poduszką z wizerunkiem buldoga w koronie.

- Rozkapryszona smarkula – żartuję, całując ją w czubek głowy.

- No raczej. A czyja to wina? Twoja i taty! – Młoda pokazuje mi język, a ja przynoszę z jej regału książkę, o którą prosiła wieczorem.

Kiedy kładę ją na nocnej szafce, tam, gdzie leży również jej telefon, przychodzi mi do głowy, żeby znieść na dół jej komórkę i po prostu ją wyłączyć, ale wiem, że to byłoby przegięcie. Nie mam prawa aż tak natrętnie ładować się w jej prywatne sprawy.

- Na śniadanie poproszę płatki z zimnym mlekiem, szklanek soku pomarańczowego albo pół, żebym ciągle nie wołała cię na siku, mandarynki, tak ze trzy, i pół czekolady z orzechami. Zapamiętałaś zamówienie czy mam powtórzyć?

- Byłam kiedyś kelnerką, wiesz? Może nienajlepszą, ale jednak – przypominam jej, bo przecież faktycznie tuż po maturze przez jakiś czas pracowałam w gruzińskiej restauracji.

- Tylko nie mów, że liczysz na napiwek – rzuca w ślad za mną Michalina.

- Nie byłoby źle – żartuję, zanim wychodzę.

Na dole Robert rozmawia przez telefon, domyślam się, że z moją siostrą.

- Nie przyjadą, Kinga obudziła się dziś chora i strasznie zakatarzona – mówi, kiedy już się rozłącza. – Dzwonili do ciebie, ale nie odebrałaś. – Ruchem głowy wskazuje moją komórkę, którą, pędząc na górę do córki, porzuciłam na kuchennym stole.

- Szkoda, cieszyłam się na to popołudnie. – Nie kryję rozczarowania.

- Ja też. Darek ma dla mnie ponoć dobry koniaczek – odpowiada z uśmiechem Robert, kiedy zabieram się za przygotowanie śniadania dla córki.

- Przyniesi ze spiżarni czekoladę z orzechami – proszę męża, a on robi zbolalą minę i oznajmia, że w nocy zjadł ostatnią.

- Robert, poważnie? Przecież były cztery. – Parskam śmiechem, a on wzrusza ramionami.

- Jakoś trzeba zabijać czas, kiedy nie może się spać. – Mruga do mnie.

Chwilę po tym, jak zanoszę córce śniadanie, ubieramy się i wychodzimy z mężem do ogrodu. Chcemy się przejść nad jezioro, posiedzieć przez chwilę nad wodą, nacieszyć się magią Bożego Narodzenia i zaśnieżonego krajobrazu. Oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że

nadchodzący nowy rok może być dla nas wyjątkowo trudny. Teraz, w pierwszy dzień świąt, staramy się o tym nie myśleć, ale mamy tego świadomość...

- Poczekaj, wezmę słoninę dla sikorek! - przypominam sobie o ustawionym przed domem karmniku i wracam do środka.

Kiedy wychodzę z domu, bogatsza o kupiony specjalnie dla ptaków płat słoniny, mój mąż stoi przy naszej furtce i zerka w głąb uliczki. Na mój widok przykłada palec do ust i na migi pokazuje mi, żebym do niego podeszła.

Brnę więc przez świeżą warstwę śniegu, którego Robert nie zdążył jeszcze odgarnąć, staję obok niego i dostrzegam mocno wzburzoną Ilonę, która, mimo mrozu, wybiegła na uliczkę w samej koszuli nocnej, na którą narzuciła kwiecisty szlafrok, i rzuciła się z pięściami na otwierającego drzwi swojego samochodu męża. Ten lekko ją odepchnął, wsiadł i odjechał, zostawiając zapłakaną na chodniku przed domem Rosnerów.

Dagmara już kiedyś mi się skarżyła, że Mateusz, wyjeżdżając ze swojego garażu, parkuje na moment przed ich willą, jeśli gdzie indziej nie może znaleźć miejsca, i chyba wyjątkowo ją to denerwowało, ale jak widać, jeszcze o tym nie rozmawiali, bo dziś zrobił to samo... Ja z kolei wcale mu się nie dziwię, osiedle nie jest dobrze zaprojektowane, jeśli chodzi o miejsca parkingowe. W każdej willi zaplanowano dwustanowiskowy garaż, ale nie uwzględnia to przecież aut gości, dalszej rodziny rezydentów czy samochodów ich nastoletnich latorośli, których z każdym mijającym miesiącem zdaje się przybywać. W rezultacie czasem, chcąc po wyjeździe z garażu jeszcze do kogoś zadzwonić, przejrzeć Internet, czy przez chwilę posiedzieć w wozie, zanim ruszy się w stronę pętli, trzeba kombinować bądź stawać na chodniku przed willami sąsiadów, nawet jeśli trzeba się cofnąć o dwa czy trzy domy, zamiast jechać we właściwym kierunku.

- Tego na pewno ci, chamie, nie wybaczę! - wrzeszczy Ilona w ślad za odjeżdżającym samochodem Mateusza i w ulicze na nowo zapada błoga cisza.

- *Merry fucking Christmas* - szepcze mi na ucho Robert.

Wygląda na ubawionego podejrzaną przez nas przypadkiem scenką z życia małżeńskiego, ale mnie jakoś to nie rozśmieszyło...

Nie przepadam za Iloną, ale żal mi sąsiadki, a najwyraźniej musiało się u nich zdarzyć coś, co wytrąciło ją z równowagi do tego stopnia, że na chwilę przestała nawet dbać o pozory, porzuciła maskę perfekcyjnej żony z Forest Hill i obnażyła słabość przed widownią, która z całą pewnością zebrała się w oknach - te kuchenne wychodzą w końcu na uliczkę, a o tej porze ludzie piją kawę bądź przygotowują późne świąteczne śniadania.

- Chodźmy stąd, głupio się tak gapić - proszę Roberta, a później umieszczam w karmniku słoninę dla sikorek i przechodzę na tyły domu, nad wodę.

Nie mijają jednak nawet dwie minuty, kiedy dzwoni moja komórka.

- Słuchaj, możesz gadać? - pyta Dagmara. - Wybacz, że tak w święta, ale...

- Wiem, widzieliśmy - uprzedzam ją, bo przecież domyślałam się, z czym dzwoni.

- A wiesz, jak rano na siebie wrzeszczeli? Uchyliłam kuchenne okno po tym, jak przypaliłam mleko, i powiem ci... Uszy wędły...

- Cóż, to w końcu klasyka. W święta ludziom odbija i to konkretnie – mówię. – Nie bez przyczyny okres Bożego Narodzenia znajduje się, według psychologów, na liście najbardziej stresujących wydarzeń w życiu człowieka.

- Oni tak nie tylko w święta, ale faktycznie od kilku dni wrzaski Ilony eskalują – zdradza mi Dagmara.

- Cóż, jej Mateusz ideałem nie jest, obie to wiemy – mówię, wchodząc między szuwały tak blisko jeziora, że woda, chlupocząc, podpływa pod same czubki moich zamszowych kozaczków w kolorze czerwonego wina.

- Mnie to mówisz? – parska Dagmara. – Ten facet to wyjątkowy palant, któremu się wydaje, że jest polskim Don Juanem. Miesiącami zaczepiał naszą Kaję, prawdę mówiąc, byłam o krok od rozmówienia się z nim w temacie...

- Mnie też kiedyś podrywał – wyznaje teatralnym szeptem, żeby nie usłyszał siedzący na ławce mąż.

- Nie mogę przestać o niej myśleć – zdradza mi Dagmara, a ja nie muszę pytać, o kim, bo przecież wiem, że o Kai.

- Wszyscy mocno to przeżyliśmy – zapewniam ją, wzmagając jednocześnie czujność, bo nie chciałabym przez przypadek czegoś chlapnąć...

- Wszędzie znajdują jej rzeczy. Podręcznik do zaawansowanego angielskiego, które u nas zostawiła, frotki do włosów, zapomniany krem do rąk, ołówek z futerkiem na końcówce, każdy taki drobiazg sprawia, że kompletnie się rozsypuję. Lubiliśmy ją, była prawie jak rodzina – wyznaje Dagmara, a ja przez chwilę ją pocieszam.

Później pytam, jak minęła im Wigilia, a ona milczy o jedną wymowną chwilę zbyt długo, a później rzuca: „Nieźle”.

Kłamie.

Widziałam przecież na własne oczy, jak Piotr wyjeżdżał w towarzystwie dzieci, a dziś rano z ciekawości wszłam na instagramowe konto pasierba Dagmary, który wrzucił fotkę z centrum Olsztyna i podpisał ją: „Xmas u dziadków i rodzinny spacer, też spoko”.

Jej mąż wyjechał, ona została. Podejrzewam, że i u nich musiało dość do jakiejś grubej awantury, ale w sumie nawet ją rozumiem. Te rezydencje, określane przez wykonawcę jako sosnowy raj pod miastem, zamieniają się czasem w przedsionek piekła – szesnaście domów to akurat tyle, żeby plotek było pod dostatkiem. Każdy wie wszystko o każdym, sąsiedzkie oczy czujnie śledzą ruch w ulicze, przyglądają się parkującym przed domami samochodom, zerkają zza rolet. Lubię Dagmarę, dobrze mi się z nią rozmawia, może przez to tak bardzo usiłuję ją usprawiedliwić przed samą sobą – skłamała, bo wstydziła się powiedzieć prawdę. Rozumiem, być może nawet zrobiłabym tak samo. Zresztą, umówmy się – człowiekiem roku w temacie szczerości też raczej nie zostanę – uśmiecham się krzywo i życzę jej wesołych świąt.

- Odpoczywajcie – mówię, a wtedy ona mnie zaskakuje.

- Prawdę mówiąc, Piotr wczoraj wyjechał i zabrał dzieci pod Olsztyn, do rodziców – wyznaje mi nagle. – Nie umiem sobie znaleźć miejsca, to chyba najgorsze święta, jakie kiedykolwiek przeżyłam – dodaje i łamie się jej głos.

- Kochana, współczuję - rzucam. - Wpadnij do nas, zjemy coś dobrego, pogadamy. Michaśka, jak wiesz, tkwi w łóżku ze zlaną nogą, moja siostra się pochorowała i do nas nie dotrze, też smutno jakoś...

- Wiem. I jeszcze ta Kaja... Ale wybaczone, nie będę ci psuć świąt. Odpoczywajcie i dziękuję za zaproszenie. Chętnie bym do was zajrzała, ale ma do mnie wpaść przyjaciółka. Wiesz, jak to jest z singielkami. Zaprosiłam ją na wino, bo nie miała żadnych planów na dziś, i pewnie zabalujemy, bynajmniej nie w świątecznych klimatach.

- To super, po co masz siedzieć sama? Bawcie się dobrze w takim razie - mówię i cmokam w słuchawkę, żegnając się.

To, że Dagmara powiedziała mi prawdę o swojej kłótni z mężem, mile mnie polectało. Więc jednak jest ze mną szczerą, myślę, od razu czując się podłe. Bo przecież ja z nią nie jestem...

Reszta popołudnia mija mi dość szybko - zdecydowanie za dużo jem, za dużo siedzę na sofie, tylko z winem nie mogę przesadzać, opiekuję się w końcu Michaśką. Dochodzi osiemnasta trzydzieści, kiedy córka woła mnie z góry.

- Miałaś rację - mówi, kiedy zachodzę do jej sypialni z talerzem pełnym pierniczek i szklanką zimnego mleka. - Nie odebrałam, a koło szesnastej napisałam mu, że sorry, padł mi telefon. Odzwonił od razu, rozmawialiśmy prawie dwie godziny! - chwali się Michalina. - Mamo, czujesz?! Nigdy tak długo nie gadaliśmy przez telefon! I obiecał, że odezwie się jutro.

- Jutro możesz odebrać. W przypadku facetów tresurę stosuje się z przerwami. - Mrugam do niej, a ona puszcza mi w locie całusa.

- Dzięki - mówi, zanim zabiera się za pierniczki. - Roztyję się tu - dodaje, zanim wgrzyza się w tego o kształcie choinki.

Cholera, czy ja właśnie podpowiedziałam jej, jak uwieść Adama? Krzywię się na tę myśl, wychodząc z jej pokoju. Ale radość Miśki jest tak wielka, że cieszę się razem z nią. Może ten chłopak nie jest aż taki zły, pocieszam się. To jeszcze smarkacz, istnieje szansa, że wyrośnie, nabierze empatii i wyjdzie na ludzi.

17

LEON

Pierwszy dzień świąt. Nie pamiętam, jak minęły poprzednie dni, wszystko zlewa się w jeden wielki niekończący się ciąg otaczającej mnie nieprzeniknionej czerni. To ja musiałem zidentyfikować Kaję, jej matka nie była w stanie – mimo swoich niedawnych zapewnień, że tym razem na dobre skończyła z alkoholem, znowu wróciła do picia. Ale czy mogę się jej dziwić? Jej córkę znaleziono martwą. Przyszłość, którą z nią wiązała, nigdy nie nadejdzie. Nie weźmie na ręce wnuków, nie przyjdzie na nasz ślub, nie będzie się cieszyć kontynuacją. Kaja jest martwa. Kiedy przypominam sobie wizytę w prosektorium, chce mi się wyc. Personel był bardzo życzliwy, starano się przeprowadzić mnie przez procedury z największą troskliwością. Nie musi pan oglądać ciała, wystarczy nagranie z taśmy, proszę wziąć głęboki wdech, może wody, bla, bla, bla... Ale ja chciałem ją zobaczyć, musiałem! Potrzebowałem namacalnego dowodu, że to naprawdę ona, a nie jakaś nieszczęsna, znaleziona w okolicach Forest Hill ludzka istota.

Zamykam oczy. Czasem myślę, że mógłbym je sobie wydrapać, żeby nie widzieć okrucieństw tego świata, więcej nie patrzeć. Widelec ubrudzony zaschniętym sosem do spaghetti leży na kuchennym stole w zasięgu mojej dłoni. Wystarczyłoby zacisnąć palce na jego trzonku i...

Dzwonek do drzwi.

Krzywię się, bo chciałbym posłać w cholerę cały świat zewnętrzny, a on ciągle czegoś ode mnie chce.

Melodyjka odzywa się ponownie. Jest nieprawdopodobnie irytująca, ptasie trele w samym środku mojej żałoby!

- Kto tam?! - wrzeszczę, nie wstając od stołu.

- Leon, otwórz! - słyszę głos Moniki, mojej byłej, z którą jeszcze niedawno planowałem otworzyć wspólny biznes.

Nie odpowiadam.

Zbieram siły, żeby wstać, a ona zaczyna łomotać pięścią w drzwi.

- Leon! - wydziera się.

Włokę się do drzwi. Nie mam ochoty nikogo widzieć, ale wszyscy mnie nachodzą. Matka, jej nowy mąż, ojciec... Tego ostatniego nie wpuszczam, nie chcę go znać. Nie pozabierałem się jeszcze psychicznie po naszym ostatnim spotkaniu, nie zniósłbym jego obecności.

Otwieram drzwi i Monika ładuje się do środka. Wpada z takim impetem, że niemal zderzamy się w progu.

- Posłuchaj, nie umiem sobie nawet wyobrazić, co czujesz, ale nie możesz się odcinać od przyjaciół - zaczyna.

W rękach ma dwie siaty, podzwaniają w nich słoiki, domyślam się więc, że wpadła tu z żarciem dla mnie.

Kiedy ściąga buty, opieram się o ścianę i gapię na jej kark – ostatnio na krótko obcięła włosy, a kolorowy, ziejący ogniem smok u nasady jej szyi nigdy nie był aż tak dobrze wyeksponowany jak teraz. Zrobiła go sobie w Tajlandii, po naszym rozstaniu, a ja nigdy się nie domyśliłem, co miałby symbolizować...

– Nie stercz tak, tylko włóż to żarcie do lodówki – rozkazuje mi, zanim bosy przechodzi w głąb poddasza.

Nigdy nie nosiła skarpet, nawet kozaki wkłada na gołe nogi, co zawsze mnie dziwiło i nieco zniesmaczało.

– I przynieś mi piwo! – krzyczy z sofy.

Podnoszę więc z podłogi reklamówki z żarciem, przechodzę do kuchennej wnęki i wypakowuję stoje do lodówki. Sałatka warzywna, bigos, surówka z czerwonej kapusty i coś, co wygląda na zupę krem z brokułów – na bogato.

Z piwa zostały mi już tylko żywce, ale znając Monikę, nie będzie wybrzydzać.

Otwieram dwie flaszki, wciskam wygięte kapsle do przepelnionego kubła na śmieci i dołączam do byłej dziewczyny.

– Dzięki. – Bierze ode mnie piwo i kładzie dłoń na moim udzie. – Leon, sytuacja jest kiepska, wiem. Straciłeś ukochaną, w dodatku w takich okolicznościach, ale ja...

– Co ty? – wcinam się jej w słowo. – Zawsze ty, ty, ty?! To mnie spotkała tragedia, a ty...

– Niekwestionowana – przerywa mi teraz ona. – Weź jednak pod uwagę, że trzy tygodnie temu odeszłam z pracy. Dla ciebie. Postawiłam na jedną kartę, zaryzykowałam dla naszego biznesu. Za kilka tygodni mieliśmy ruszać, pamiętać? Mamy gotowy biznesplan, miejsce na lokal i zamówioną ekipę remontową, ale ty nie odbierasz moich telefonów i nadal nie wiem, czy wchodzisz w tę współpracę czy mam sobie szukać innego współnika. Finansowo nie wyrobie sama, wiesz o tym. Zresztą pod każdym innym względem też nie. Obiecałeś mi...

– Obiecałem ci, zanim zginęła Kaja! – wrzeszczę.

– Rozmawiałam z Rostockim. Nie pokazujesz się w pracy, nawet do nich nie zadzwoniłeś... On na dniach zastąpi cię kimś innym, jeśli nadal...

– Mam to w dupie!

– Tak, bardzo wygodnie. I co, będziesz tu siedzieć do grobowej deski?! Za to mieszkanie też chyba musisz płacić, prawda?

– Mam to w dupie – powtarzam ciszej, a ona przyciąga mnie do siebie i całuje w czubek głowy.

Po chwil szlocham z twarzą między jej dużymi piersiami, ale nawet tak intymna sytuacja nie sprawia, że czuję pożądanie, wręcz przeciwnie – przed oczyma mam wyłącznie twarz Kai, tej żywej i tej martwej...

Kiedy w końcu wstaję, idę do łazienki, żeby przemyć twarz zimną wodą, a ona zostaje na sofie. W lustrze wciąż widzę kogoś obłąkanego – w moich oczach jest pustka, ale też jakiś mrok.

- Musisz zacząć stawać na nogi, Leon. - Monika po chwili zjawia się przy mnie, jej oczy są smutne, pełne łez. - Kaja nie chciałaby...

- Nie masz pojęcia, czego chciałaby Kaja! - warczę.

Nagle była dziewczyna zaczyna mnie wkurwiać. Zbyt pewnie się tu czuje, zbyt wiele ma do powiedzenia i zachowuje się tak, jakbyśmy nadal byli razem, a przecież nie jesteśmy.

- Idź już - proszę ją chwilę po tym, jak wyobraziłem sobie, że łapię ją za te jej krótkie, sterzące na wszystkie strony włosy, ciągnę w stronę drzwi i wywalam na korytarz.

Kurwa... Co się ze mną dzieje? - wzdrygam się.

Monika przygryza wargę. Jej pełne usta jak zawsze zdobi czerwona szminka, która teraz osiada na jej zębach.

- Masz dwa tygodnie - mówi cicho. - Leon, słyszysz? Masz dwa tygodnie do namysłu, później muszę ruszać z biznesem i chcę w niego wejść z pewnym, wiarygodnym współnikiem. Jeśli nie z tobą, to z Antkiem albo Matyldą.

- Przemyszę to - obiecuję jej na odczepnego, chociaż, prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jak w takiej rozsypce zdołam się skupić na całym tym pierdolniku związanym z zakładaniem działalności gospodarczej.

- Okej, dzięki. Odgrzać ci bigos?

- Nie, mamusiu.

- Kurwa, bez takich! - Monika, która otwarcie oraz wszem wobec od lat deklaruje, że nie znosi bachorów, aż się wzdryga, kiedy nazywam ją mamusią.

- Albo odgrzej - zgadzam się, zdając sobie sprawę, że ostatnio jadłem wczoraj o osiemnastej, co, biorąc pod uwagę, że dochodzi piętnasta, nie było zbyt rozsądne i z całą pewnością irytujące dla mojego żołądka, w którym konkretnie mnie już ssało.

- No widzisz, teraz gadasz do rzeczy. - Monika mruga do mnie i wychodzi z łazienki.

W kuchennej wnęce wyrwam jej z ręki garnek, którego chciała użyć, i odstawiam go z powrotem na półkę - to prezent od Kai. Znalazłem go w szafie i nie chcę, żeby moja była grzała w nim pieprzony bigos.

- Ten? - pyta, sięgając po inny.

- Ten może być.

Jemy w milczeniu. Ona wygląda na zamyśloną, ja chciałbym już tylko, żeby się wyniosła. Nie czuję nic poza poirytowaniem. Wkurwia mnie to, jak mlaska, irytuje zapach jej perfum, który rozniósł się po poddaszu, chociaż jeszcze kwadrans wcześniej wyczuwałem tu głównie ulotny zapach frezji, aromat, który kochała Kaja.

Kiedy w końcu wychodzi, z ulgą zamykam za nią drzwi. Wiem, że powinienem być wdzięczny, zadbała o mnie, zachowała się jak przyjaciółka, jednak wdzięczność jest jednym z tych uczuć, które obecnie dezaktywowałem. Od kilku dni czuję wyłącznie ból i wściekłość na przemian z dziwnym otępieniem, które mnie od czasu do czasu ogarnia.

Matka dzwoni chwilę później, ale nie odbieram.

- Dajcie mi, kurwa, spokój! - warczę, po czym wyłączam komórkę i ciskam ją pod sofę.

Później opuszczam poddasze i kieruję się w stronę ścisłego centrum, na Majkowskiego, tam, gdzie mieszka ten wymoczek Albert - korepetytor Daniela, nastoletniego syna Rosnerów.

Jest jednym z podejrzanych na mojej własnej prywatnej liście. Kaja wspomniała mi raz, że kilka razy ją podwiózł, a ja świetnie wiem, że w dniu, w którym zaginęła, kończyli pracę o tej samej porze – ona opiekę nad Niną, on lekcje z tym rozpuszczonym szczyłem. Jeśli uciekł jej autobus, to właśnie on mógł ją podwieźć – do jego samochodu wsiadłaby przecież bez wahania. Później zjechali w las, doszło między nimi do jakiejś scysji bądź on zaczął się do niej dobierać, a ona uciekła między drzewa i nieświadoma czającego się pod śniegiem zagrożenia weszła na lód, myślę. Takie scenariusze wydają mi się cholernie wiarygodne, a Albert plasuje się bardzo wysoko na mojej liście, wyżej nawet od Piotra Rosnera czy tego architekta z domu obok, z którym Kaja również często rozmawiała. Raz, kiedy byliśmy pijani, wyznała mi, że koleś ostro na nią leci, ale kiedy wytrzeźwiała, szybko się z tego wycofała i zaczęła mi wmawiać, że tylko żartowała. Znałem ją dobrze, wiedziałem, że zainteresowanie mężczyzną zawsze jej pochlebiało. Nawet jeśli była ze mną, lubiła widzieć podziw w oczach facetów, karmiła się nim.

Na Majkowskiego podjeżdżam przed kamienicę, w której mieszka Albert, i czekam w samochodzie. Według informacji, które jak dotąd o nim zebrałem, wiem, że często wychodzi z mieszkania – czasem biega, bywa, że wyskakuje po fajki czy po prostu idzie nad pobliską rzekę, gdzie pali, gapiąc się na wodę. To ładne miejsce, jedno z najatrakcyjniejszych w naszym mieście. Zazdroszczę mu, że mieszka tak blisko stopnia wodnego, z którego kaskadami spływa spieniony nurt. I jeszcze da się to podziwiać, siedząc na jednej z ławek, tuż przy metalowych barierkach zabezpieczających przez upadkiem w dół – można powiedzieć, że to taka nasza polska miniaturowa Niagara.

Tym razem mam szczęście, Albert Rataj wychodzi z bramy jakieś czterdzieści minut później i kieruje się w stronę stopnia wodnego. Podejrzewam, że jego ciągłe wyprawy nad wodę są połączone z faktem, że nieszczęśnik, mimo dawno przekroczonej trzydziestki, nadal mieszka z mamusią – paniusią koło sześćdziesiątki, którą raz widziałem wyprowadzającą pudła w towarzystwie dość skwaszonego Alberta niosącego jej zakupy. Cóż, gdybym mieszkał z matką, też nieustannie wychodziłbym na papierosa, uśmiecham się złośliwie, wysiadając z samochodu.

Nad rzeką, oprócz nas, nie ma nikogo – dzień jest wyjątkowo zimny, wilgoć dosłownie człowieka oblepia, wdziera się w głąb kości. Rataj zaciera zgrabiałe dłonie, samotnie siada na ławce i tak jak przypuszczałem, wyjmuje z kieszeni fajki. Później zapala papierosa i gapiąc się na wodę, zaciąga się dymem. Pieprzony przystojniaczek, myślę, przyglądając mu się z odległości kilku metrów.

W końcu decyduję się na bardziej radykalny krok, podchodzę bliżej i pytam, czy poczęstowałby mnie fajką.

– Jasne, stary. – Korepetytor Rosnerów posyła mi raczej powściągliwy uśmiech i wyciąga w moją stronę opakowanie marlboro.

Później podaje mi zapalniczkę.

– Dzięki – mówię.

– Spoko – odpowiada, a ja zapalam papierosa.

Naprawdę cholernie dawno nie paliłem, co skutkuje przyjemnym zawrotem głowy.

Nałogiem delektujemy się w milczeniu, później on rzuca:

- To miłego dnia.

Wdeptuje niedopałek w ziemię i wstaje z ławki.

Podnoszę się w ślad za nim.

Posyła mi zdziwione spojrzenie, bo chyba właśnie w tym momencie zorientował się, że nie chciałem od niego wyłącznie fajki.

- Przepraszam, czy my się znamy? - pyta w końcu.

Nie, nie znamy się. Owszem, zdarzało mi się przyjeżdżać do Forest Hill po Kaję, ale wysadzałem ją na pętli. Rataja znam wyłącznie ze zdjęć w sieci, które kiedyś mi pokazała, dodając, że facet jest strasznie śmieszny.

„Taki nadęty elegancik, co to bułkę przez bibułkę, a, ę i z mamusią mieszka” - nabijała się z niego. Wtedy zapamiętałem, jak korepetytor się nazywa, reszta była banalnie prosta, wystarczyło pogrzebać w sieci...

- Nie - odpowiadam na jego pytanie. - A przynajmniej ty nie znasz mnie.

- A ty znasz mnie? - dziwi się Rataj, przystając.

- Ja znałem Kaję - mówię, a on wyraźnie blednie.

- Kaja... Taka tragedia - mówi po dłuższej chwili milczenia, kiedy, splotzony, układa sobie chyba w głowie to, co właśnie zaszło.

- Owszem, niewyobrażalna. Ale może coś o niej wiesz? - Robię krok w jego stronę, a on gwałtownie się cofa.

- No tyle, że utonęła - mówi Rataj, który teraz sprawia już wrażenie przestraszonego. - Jesteś gliną czy jak?

- A miałbyś coś ciekawego do powiedzenia gliniarzom? - odpowiadam pytaniem.

Dziwi mnie sam fakt, że on już o wszystkim wie. Kto mu powiedział? Nie mam pojęcia. Być może zadzwoniła do niego Dagmara Rosner, w końcu oboje z Kają pracowali w jednym domu, być może pisarka uznała, że powinien o tym wiedzieć? Myślę o tym i jeszcze o jednej opcji - że już rozmawiał z nim ktoś z policji. Jeśli sprawdzili monitoring przy wyjeździe z osiedla, zobaczyli, że tamtego dnia wracał stamtąd mniej więcej o tej samej porze, w której Kaja skończyła pracę. Świetnie pamiętam, że tego akurat dnia bywali tam w tych samych godzinach.

- Skądże, przecież ja nic nie wiem - mamrocze Albert w odpowiedzi na moje pytanie, jeszcze bardziej blednąc. - Człowieku, ja tam tylko uczę Daniela! - tłumaczy się.

- Podwoziłeś ją tamtego dnia?! - pytam, a on się cofa, jakbym chciał się ode mnie zdystansować, aż dochodzi do miejsca, w którym nie ma już wiele możliwości, i opiera się plecami o metalową barierkę nad wodospadem. - Pytam cię o coś! - wrzeszczę, łapiąc go za kołnierz eleganckiego płaszczka z ciemnej wełny.

Wyrwa się, ale nie robi tego zbyt przekonująco, ciągle go trzymam.

- Nie! - krzyczy. - Nie, przysięgam! Szła pieszo, poboczem! Mijałem ją, ale...

- Minąłeś ją i nie zaproponowałeś podwózki? W taki ziąb i śnieżyce?! - warczę, a on kuli się w ramionach, w oczach ma łzy.

- Nnoo nnnie - jąka, wygląda teraz jak mały przestraszony chłopiec zbierający wpierdol od kolegów z klasy.

- Minąłeś ją i co? – pytam ostro, ciągle przypierając go do barierki.

- I pojechałem. Spieszyłem się, a ona nawet mnie nie lubi...

- Ona nie żyje, dupku! – cedzę z twarzą tuż przy jego twarzy.

Nagle, gdzieś za plecami, słyszę przenikliwy kobiecy krzyk, rozlega się też gwałtownie ujadanie. Chwilę później dostaję w plecy parasolką.

- Niech pan puści mojego syna! – wrzeszczy Ratajowa.

Wygląda na to, że kilka minut po wyjściu syna wybrała się na spacer ze swoim pudlem, który teraz ujada, szarpiąc się na smyczy.

Nigdy nie lubiłem pudli, podobnie jak klaunów, małą, jeżdżących po ulicach śmieciarek, których przepastne, cuchnące czeluście przerażają mnie od dziecka, racuchów i wielu innych rzeczy, o których, sam nie wiem czemu, teraz myślę.

Pisk starej wwierca mi się pod czaszkę, świdruje, wręcz boli fizycznie.

Puszczam Rataja.

Stara histeryczka ciągle okłada mnie po plecach i ramieniu, więc wyrrywam jej z ręki parasolkę i ciskam ją za barierkę, prosto w spieniony nurt za wodospadem.

- Policja! – wrzeszczy matka Alberta. – Ludzie, co za bandytyzm! – lamentuje, całym ciałem osłaniając syna, który coraz rozpaczliwiej usiłuje się jej wyrwać. Gdyby nie to, w jak fatalnym jestem nastroju, parsknąłbym pewnie śmiechem, bo cała scena ma w sobie coś groteskowego.

Odchodzę szybkim krokiem, odprowadzany zaciekłym ujadaniem durnego pudla, i skręcam w jedną z bocznych uliczek tuż przy rzece, chcąc jak najszybciej zejść z oczu Albertowi i jego zaskakująco wojowniczej matce.

Chwilę później wchodzę przez uchylone drzwi jednej z bram, mijam wąski, ciemny korytarz i jestem już na podwórzu, gdzie znajduję pociętą scyzorykami drewnianą ławkę, na której przysiadam. Jest mi zimno i trzęsą mi się ręce, w ustach mam nieprzyjemny suchy posmak, jakby niespodziewanie skończyła mi się ślina, w głowie mi wiruje.

- Kurwa – knę pod nosem, czubkiem buta przesuwając leżącą u moich stóp lekko wgniecioną puszkę po piwie.

Siedząc na cudzym podwórzu, analizuję przebieg mojej konfrontacji z Albertem i wyrzucam sobie, że zbyt wcześnie się ujawniłem. Mogłem jeszcze za nim pojeździć, dłużej pozostać w ukryciu, zamiast od razu mu się objawiać, pozbawiając przewagi bycia anonimowym. Teraz zna moją twarz, więc jeśli jeszcze kiedyś będę go śledzić, utrudniłem sobie zadanie. Dociera to do mnie, ale chęć konfrontacji z nim była tak silna, że nie umiałem jej się oprzeć. Chciałem rzucić mu w gębę jej imieniem, spojrzeć prosto w twarz i zapytać, czy tamtego dnia wsiadła do jego samochodu. Bawiąc się puszką, którą przesuвам wte i wewte, usiłuję wywnioskować, czy koleś jest winny i czy ma coś wspólnego ze śmiercią Kai, ale po dłuższej chwili namysłu wydaje mi się, że raczej nie. Wyglądał na zmieszanego i przestraszonego, ale bardziej moim nachalnym atakiem na niego niż tym, co mógłbym z niego wyciągnąć, myślę. Tyle że ludzie bywają przecież zaskakująco dobrymi aktorami...

- A ten co tu robi?! – słyszę nagle zachrypnięty kobiecy głos i w podwórzu zjawia się wysoka, barczysta baba w watowanej kurtce i brudnych dresowych spodniach.

W prawej dłoni ma zapalonego papierosa, w lewej miotłę, w oczach ogień.

– Poszedł mi stąd, ale już! Lumpy cholerne po cudzych podwórzach siedzą! – wrzeszczy, robiąc zamach miotłą.

– Pięknie pani szanowna wygląda, wiosna po prostu. – Puszczam do niej oczko, wstaję i zostawiam dozorczynię z osłupiałym wyrazem twarzy i żarzącym się pomiędzy palcami papierosem.

– Chleją i chleją, zamiast do roboty pójść! Młody chłop, a siedzi i w ścianę się gapi! – gdera jeszcze, kiedy idę przez ciemny korytarz, którego ściany zdobi graffiti.

Po chwili kobieta ciska we mnie puszką, którą się bawiłem – notabene – nie moja, choć zapewne założyła, że to ja ją tam porzuciłem, i trafia mnie w sam środek pleców. Zagryzam zęby i zaciskam dłonie w pięści. Babsztyl wyraźnie przegina, a mnie ostatnio naprawdę łatwo wytrącić z równowagi...

– No poszedł mi stąd, zanim braci Witkowskich zawołałem! – drze się dozorczyński za moimi plecami. Jej chrapliwy głos aż wibruje od złości.

– Spieprzaj, larwo – rzucam pod nosem, otwieram skrzypiącą bramę i wychodzę na ulicę.

W drodze powrotnej do mieszkania włączam komórkę, w której znajduję kilka esemesów od naszych wspólnych znajomych i wiadomość od ojca.

„Synu, oddzwoni. Wiem, że masz do mnie żal, ale chciałem być z Tobą szczerzy. Zachowuj się jak mężczyzna, nie jak dzieciak. Stary koń przecież z Ciebie” – czytam i mimowolnie się uśmiecham, bo ojciec nazywał mnie starym koniem już wtedy, kiedy miałem osiem, dziesięć lat, a mnie zawsze to bawiło.

Nie decyduję się jednak na to, żeby do niego oddzwonić. Jest zbyt wcześnie, nie umiem jeszcze z nim gadać i chyba nie chcę.

Wysyłam mu jedynie lakoniczną wiadomość, w której zapewniam go, że wszystko u mnie w porządku, i z powrotem wyłączam telefon.

Na Zielnej zamysłony prawie wpadam pod auto. Kierowca, któremu niemal wlażłem pod koła, ostro na mnie bluzga – wysiadł ze swojej srebrnej terenówki i robi scenę na całą ulicę. Jest duży, łysy i wkurwiony, a ja przez jedną chwilę mam ochotę podejść, dać mu w mordę i zebrać od niego wpierdol – w mojej głowie pojawia się nadzieja, że ból fizyczny złagodzi ten, który od kilku dni bezlitośnie harata moją duszę. Facet jednak odjeżdża, a ja stoję na skraju ulicy, polykając łzy.

Kaja, moja piękna Kaja... Latem planowałem zabrać ją do Portugalii, mówiła, że marzą jej się Porto i Lizbona, ale już tam nie polecimy. Ona nie pokaże mi Londynu, który kochała, ja nie zabiorę jej na małże gotowane w białym winie, którymi zajadałem się ostatnio w Lizbonie, nie spojrzymy razem na ocean, patrząc, jak z jego fal wylania się słońce. Moja Kaja jest martwa, a ja nie mam pojęcia, co tak naprawdę zaszło tamtego mroźnego popołudnia w lesie nad jeziorem.

Kiedy ruszam wzdłuż ulicy, myślę, że chciałbym mieć już to wszystko za sobą, przeżyć jej pogrzeb, pożegnać się i móc czasem odwiedzać jej grób, ale przecież prokuratura nie wydała jeszcze nam nawet ciała, tkwimy w jakimś bolesnym zawieszaniu, wyglądając smutnego finału, zastygliśmy w bezruchu.

Czekam na zmianę świateł, wyobrażając sobie, że rzucam się pod nadjeżdżający właśnie autobus, ale nie mam na tyle odwagi. Jestem słaby, zawsze byłem. Może właśnie dlatego tak nienawidzę ojca? On zawsze był silny. Na myśl o nim wilgotnieją mi oczy. Czy naprawdę go nienawidzę, czy może to tylko taka szczeniacka poza, z której jeszcze nie wyrosłem, choć stary ze mnie koń? – zastanawiam się, ale chyba nie potrafię znaleźć odpowiedzi na to pytanie. A może po prostu nie mam siły jej szukać w tak fatalnym stanie, w jakim się obecnie znajduję?

Po dotarciu na poddasze kładę się na sofie i leżę, gapiąc się w ścianę, a konkretnie w regał z książkami i płytami, na którym stoją nasze wspólne zdobycze. Kaja czytywała kryminały, biografie i romanse, ja głównie książki kucharskie, ale też reportaże. Nie mieliśmy zbyt wielu wspólnych zainteresowań, a jednak była całym moim światem. Przymykam oczy i widzę jej twarz. Pamiętam każdy pieg na jej nosku, zielonozłote tęczaówki oczu, pełne wargi i ognistą aureolę, w którą zmieniały się jej rude włosy w zimowym słońcu. Wcześniej była miodową blondynką, też ładnie. Kochałem ją, myślę. Szkoda tylko, że kompletnie jej nie znałem...

Nie wiem, jak długo leżę na sofie, myśląc o ukochanej. To mogą być minuty, a może godzina czy półtorej – w przeciwieństwie do Kajki nigdy nie miałem wycucia czasu. Przypominam sobie nasze wspólne chwile, krzyczę na nią w głowie, wściekam się za to, że mnie okłamała, a później szlocham z twarzą wciśniętą w ozdobną poduszkę. Jeszcze rano czułem na naszym poddaszu zapach frezji, ale teraz, po wizycie mojej byłej, strych przesiąknął mocnym, piżmowym zapachem perfum Moniki, od którego robi mi się niedobrze. W kamienicy panuje niczym niezmacona cisza, świat gdzieś za oknami również mnie nie interesuje. Moje życie stanęło w miejscu jak przerdzewiały mechanizm zabytkowego zegara, myślę. Po chwili wyobrażam sobie mojego ojca pieprzącego Kaje, zrywam się z sofy i pędzę do łazienki, gdzie rzygam bigosem. Jeszcze nigdy nie czułem się tak poharatany przez życie. Nigdy wcześniej nie było mi tak źle...

W drugi dzień świąt Piotr wraca spod Olsztyna i przywozi dzieci. Na widok Ninki mam w oczach łzy, bardzo tęskniłam za moją małą dziewczynką, zresztą za Danielem też, chociaż on nie wita się ze mną aż tak ciepło jak jego młodsza siostrzyczka, która z piskiem biegnie w moją stronę i przywiera policzkiem do mojego biodra. Biorę ją na ręce, wdycham zapach jej włosów, tułę. Gdyby mi ktoś kiedyś powiedział, że aż tak pokocham cudze dziecko, nie uwierzyłabym. Ale przecież ona nie jest już cudza – jest moja. Moja i Piotra, bez względu na wszystko.

Piotr kiwa mi głową na powitanie i bierze ode mnie córkę.

– Nie męcz mamusi – mówi do niej, a później rzuca mi krótkie „cześć”.

Wygląda poważnie, chyba nadal jest lekko urażony, ale kiedy jednak nasze spojrzenia się spotykają, a w jego oczach widzę czułość, oboje od razu kruszejemy – chłodny ton znika, wargi wyginają się w uśmiechu. Przepraszam – mówimy oboje, niemal w tym samym momencie, a mąż przyciąga mnie do siebie i tuli, wciąż trzymając na ręku córeczkę.

Z policzkiem na jego piersi wdycham znajomy zapach jego wody kolońskiej. Ulga, jaką czuję, jest przeogromna. Już wszystko dobrze, mówię sobie. Piotr mi wybaczył moje idiotyczne podejrzenia i wciąż jesteśmy razem, w domu.

Na piętrze trzaskają drzwi, Daniel miota się po górze, chyba czegoś szuka.

– Tęskniłam – przyznaję, a mąż całuje mnie w czubek głowy i mówi, że on też.

– Nigdy więcej nie zostawię cię samej w Wigilię – zapewnia mnie, kiedy zostajemy sami w holu. Nina zdążyła już poprosić, żeby ją postawił na bucikach, jak się wyraziła, i pognęła do salonu „przywitać się” z choinką.

– Obiecujesz? – Uśmiecham się, a on całuje mnie w usta.

– Obiecuję – mówi.

O siedemnastej przyjeżdża do nas Andżelika, „zapasowa” niania, której numer trzymaliśmy od ponad roku – wpadała do nas zazwyczaj, kiedy coś wypadło Kai i cóż... Teraz również coś jej wypadło. Nie żyje...

Zadzwoniliśmy do niej ze względu na wieczorne przyjęcie – prawniczka z sąsiedztwa, Ewa, zaprosiła nas na świątecznego drinka i słodki poczęstunek. Ustaliliśmy to już jakieś dwa tygodnie wcześniej, jeszcze przed tragedią Kai, i prawdę mówiąc, w ostatnich dniach zastanawialiśmy się, czy nie powinniśmy odwołać spotkania, jednak w końcu zdecydowaliśmy się tego nie robić. Ludzie chcą się spotykać, przebywać w swoim towarzystwie, rozmawiać i podnosić się na duchu. Zamykanie się w czterech ścianach i tak niczego nie zmienia – Kaja odeszła...

Andżelika wpada nieco przed czasem – radosna, ze śniegiem w czarnych włosach, promienna i zdyszana.

– Znowu sypie! – rzuca w progę, zanim się pochyła, żeby zdjąć buty.

Jest pulchna i niska, ciemnowłosa i ciemnooka, można powiedzieć, że stanowi idealne przeciwieństwo smukłej i wysokiej zielonookiej Kai o alabastrowej cerze.

– Kaja chora? – pyta, ściągając kurtkę. – Straszna ponoć grypa, wszyscy kaszlą – dodaje, a my zdajemy sobie sprawę, że ona nie ma o niczym pojęcia, i wymieniamy spłoszone spojrzenia.

– Kaja miała wypadek – mówi cicho Piotr.

Andżelika wygląda na przerażoną, jest niecały rok starsza od Kai, a w tym wieku wciąż jeszcze ma się złudzenie własnej nieśmiertelności – liczą się tylko dobra zabawa, chwila obecna i marzenia o świetlanej przyszłości.

– Wyjdzie z tego? – pyta.

Drży jej podbródek, w oczach lśnią łzy.

– Raczej nie – mówi mój mąż. – Zważywszy na to, że nie żyje...

Andżelika zakrywa usta dłonią, jest w szoku.

– Może usiądź – proponuję jej. – Piotr, zaparz herbatę – proszę męża, trochę zła, że wyjechał z wieściami o odejściu Kai tak z grubej rury, po czym głaszczę roztrzęsioną dziewczynę po włosach.

– Jak to się stało? – pyta, ale kiedy widzi łzy w moich oczach, szybko się wycofuje. – Przepraszam, nie chciałam sprawić pani przykrości.

– Utonęła. Załamał się pod nią lód – mówię cicho.

– W sensie, że chciała się zabić i wyszła na taflę? – pyta Andżelika, a ja zdaję sobie sprawę, że nigdy nie myślałam o tej opcji.

Ale przecież policja podejrzewa, że był z nią jakiś mężczyzna, tu musiało chodzić o coś zupełnie innego...

– Pójdę do Nineczki. – Andżelika w końcu przypomina sobie, w jakim celu do nas przyjechała, i to w drugi dzień świąt, pociąga nosem, wstaje z fotela, w którym ją usadziłam, bierze głęboki wdech i rusza w stronę salonu.

– Herbata! – krzyczy Piotr z głębi domu, więc proponuję, żeby wypić, a ja jeszcze przez chwilę zajmę się małą.

Kiedy wchodzę do salonu, Ninka obgryza zdjęty z choinki piernik, a ja ukradkiem robię jej zdjęcie, bo wygląda naprawdę cudnie – w różowej tiulowej spódniczce, białym sweterku w króliczki, białych rajstopkach i czerwonych lakierkach z kokardkami ma w sobie coś z małej księżniczki.

– Smaczny? – pytam, mała potakuje i posyła mi uśmiech. – Tęskniłaś za mną, królowo?

– Tak! – mówi, zanim sięga po wiszącego na choince lizaka.

– Nie, nie, to zdecydowanie sobie podarujemy. Szkoda twoich ząbków. – Wyjmuję jej go z ręki i głaszczę ją po główce.

Jest jeszcze taka małeńka, taka ufna i niewinna... Jak kiedyś potraktuje ją ten okrutny, wrogi świat zza okna? – myślę i znowu zaczynam płakać.

- Czemu płaczesz? - pyta Ninka, jej pulchna rączka głaszcze mnie po twarzy, co jeszcze bardziej mnie wzrusza.

- Wychodzę! - krzyczy z holu Daniel, który właśnie biegnie ze schodów.

- Hola, hola, dokąd?! Chodź tutaj, książę! - stopuję go i chłopiec niechętnie pojawia się w salonie.

- Spieszę się - mruczy.

- Jest drugi dzień świąt, dokąd się wybierasz? Chyba nie do centrum? - pytam z niepokojem, bo nie mam ochoty martwić się jeszcze i o niego.

- No do Rafała, ustawiliśmy się, żeby pograć - mówi, a ja oddycham z ulgą.

Michalscy - Ada, chirurg dziecięcy, i jej mąż Jacek, psychiatra, mieszkają dokładnie naprzeciwko nas, również w trzecim domu w szeregu, ale nie od strony pętli jak my, tylko od strony wąwozu, w rządzie rezydencji po drugiej stronie jeziora. Rafał, starszy o rok od Daniela, jest grzecznym i ułożonym chłopakiem, więc kamień spada mi z serca.

- Okej, idź i bawcie się dobrze. Pozdrów od nas rodziców Rafała - proszę, nie mając pewności, czy Michalscy pojawią się na wieczornym drinku u Ewy.

- Jasne - mruczy Daniel, zanim w pośpiechu wychodzi z salonu.

Wiem, że z całą pewnością nie przekaże pozdrowień, ale jakie to w końcu ma znaczenie?

Kiedy Andżelika, której nakazaliśmy nie rozmawiać z małą o Kai, zajmuje się Nineczką, idziemy z Piotrem na piętro i mąż proponuje wspólną kąpiel przy świecach.

- Daniela nie ma, dziewczyny są na dole - mruczy mi na ucho, tuląc mnie.

Uśmiecham się, nie mam nic przeciwko. Na samym początku naszego małżeństwa kąpiele przy świecach były naszym rytuałem, ale ostatnio, w nawale obowiązków, coraz częściej z nich rezygnujemy na rzecz szybkiego prysznicza.

Kąpiel mnie relaksuje, odpręża w sposób, jakiego nie doznałam od śmierci Kai. Mąż siedzi oparty plecami o ściankę wanny, ja półleżę w jego ramionach. W łazience płoną zapachowe świece, poza tym panuje mrok - przez sięgające podłogi okno widzimy grube, mokre płatki śniegu wirujące w świetle zapalonych ogrodowych lamp. Rolety nie są opuszczone, ale szuwary osłaniają nas chyba dostatecznie przed wzrokiem ciekawskich z drugiej strony jeziora, nawet tych, którzy miewają ponoć lunety do podglądania sąsiadów.

- Mógłbym cię trzymać w ramionach do końca świata - szepcze mi na ucho Piotr.

- Bez przesady, tylek by mi zdrętwiał - rzucam, a on się śmieje.

- Jesteś utkana z tyłu kontrastów. Czasem zabawna, bywa, że nawet wulgarna, a za chwilę dyplomatyczna, słodka, delikatna i kobieca.

- Właśnie, kochanie. Jestem kobietą. Kobieta zmienną jest. - Uśmiecham się w półmroku, wdychając waniliowo-mandarynkowy zapach płonących świec.

- Zdążymy jeszcze pofiglować? - pyta mąż, przesuwając dłonie po moim biuście, ale studzę jego zapędy.

- Zapomnij, skarbie. Za półtorej godziny musimy być u Ewy, a ja jestem kompletnie niezrobiona - wdycham i rozchlapując wodę, wychodzę z wanny.

- Ja tu jeszcze chwilkę posiedzę - mruczy Piotr. - U rodziców była awaria bojlera, więc rano nie mogłem się nawet porządnie umyć.

Kiedy się wycieram, Piotr pyta, czy ktoś cokolwiek wie w temacie wypadku Kai.

- Policja już coś ustaliła?

- Nie wiem, są święta – mówię, a w mojej głowie znowu budzi się paranoiczna myśl, że może jednak on ma z tym wszystkim coś wspólnego...

- A jeśli to rzeczywiście było samobójstwo? – mówi cicho Piotr. – Jeśli świadek, kimkolwiek jest, się myli? Jeśli nie było żadnej czarnej terenówki, a ona weszła na taflę celowo? Może po sekcji dowiemy się, że była w ciąży? Może...

- Nie chcę o tym teraz mówić – wchodzę mu w słowo. – Odpocznijmy chociaż na chwilę od tego tematu, błagam cię. Przecież na przyjęciu u Ewy i tak wszyscy będą się na nas gapić, to w końcu nasza niania zginęła w tragicznych okolicznościach, więc pojawienie się tam stanie się sensacją Forest Hill na ten sezon – mówiąc to, krzywię się, a Piotr wychodzi z wanny i sięga po ręcznik.

- Jeśli nie chcesz, nie musimy tam iść. Obejrzymy sobie film, napijemy się wina.

- Pójdziemy. Obiecałam Ewie, że będziemy.

- Jak chcesz. – Piotr wyciera plecy, później sięga po drugi z ręczników i osusza nim włosy.

- Co to jest? – pytam, dostrzegając zadrapanie na jego nadgarstku.

- Co? – pyta.

- Ktoś cię zadrapał?

- Tak, Fiona. – Uśmiecha się krzywo, na wzmiankę o kotce rodziców.

- Brzydko to wygląda – mówię.

- Bo to głupi i brzydki kot – śmieje się, po czym uchyla, kiedy rzucam w niego mokrym ręcznikiem.

- Koty są piękne – mówię. – Powtórz: koty są piękne.

- W życiu. Wolałbym zjeść tę świeczkę o kuszącym zapachu mandarynki. – Mruga do mnie.

Kiedy po chwili wychodzi z łazienki, zostawiając mnie samą, suszę i układam włosy – pasmo po pasmie męcze się z lokówką, starając się nadać im znośny wygląd. Normalnie przed każdym innym przyjęciem poszłabym do salonu fryzjerskiego w centrum, który zawsze robi mnie na bóstwo, ale przecież są święta, dziś jestem skazana wyłącznie na siebie...

W garderobie się waham. Czerni? Wykluczona i zbyt ponura. Granat zbyt stonowany jak na bożonarodzeniowe przyjęcie, a z kolei wszelkie odcienie różu, czerwieni czy bordo odpadają ze względu na naszą sytuację. O szarości czy beżu nawet nie myślę, jestem zbyt błada i wymizerowana zimą, żeby stawiać na takie odcienie. W końcu sięgam po butelkową zieleń – lubię tę sukienkę, jest przewiązana szeroką kokardą, wcięta w pasie i pięknie podkreśla moją figurę.

Tak, butelkowa zieleń pasuje do świąt, do mnie, a nawet do sytuacji, myślę.

Mąż stawia na elegancką marynarkę, wełniane spodnie i błękitną koszulę. Lubię go w błękitcie, podobną koszulę miał na sobie w dniu, kiedy się poznaliśmy.

- Gotowa? – pyta, zaglądając do garderoby, po czym gwizdże z uznaniem. – Gwiazda wieczoru – mruczy.

- Nie mogę znaleźć butów – mówię po tym, jak podziękowałam mu za komplement.

- Których, moja stonogo?

- Tych zamszowych czarnych botków na cienkim obcasie.
- Tych, w których najprawdopodobniej zabijesz się na oblodzonym chodniku?
- Tych, w których pójdę, krok po kroku, pod ramię z moim szarmanckim mężem, a on dopilnuje, żebym bezpiecznie i w jednym kawałku dotarła do Ewy.
- Aaa, tych. Te są tutaj. - Piotr wyjmuje pudełko z botkami, a ja uchylam usta, zaskoczona.
- Jakim cudem poruszasz się po mojej garderobie sprawniej niż ja? - pytam, a on się śmieje.
- Miały cenę na pudełku, pamiętam, jak je kupowaliśmy.
- Zapamiętałaś cenę? - dziwię się.
- Jasne. Przecież prawie przyprawiła mnie wtedy o zawał. - Mruga do mnie mąż, zanim wyjmuje z pudełka moje botki.

Do Ewy docieramy o czasie, jesteśmy pierwsi ze wszystkich zaproszonych sąsiadów.

- Cześć, piękna - wita mnie gospodyni, a jej mama, ubrana w elegancką srebrnoszarą suknię pani Alina, podaje nam po kieliszku szampana.

- Mamuś, nie w holu. I czemu robisz za kelnerkę? Poradziłabym sobie. - Uśmiecha się do niej Ewa, a my wchodzimy w głąb rozświetlonego, zachwycająco ozdobionego domu, w którym rozbrzmiewają dźwięki świątecznego jazzu w amerykańskim stylu.

Kilka minut później zjawiają się Wilczyńscy, za nimi Renata Niemczyk z mężem i Olga Wolska za rękę ze swoim ślubnym.

Ilona wchodzi dosłownie tuż po nich, ale nie ma przy niej Mateusza.

- Wybaczcie, mąż ma migrenę - rzuca już w progu, po czym zdejmuje swoje długie białe futro i ciska je na fotel przy drzwiach, prezentując migającą drobinkami złota elegancką sukienkę z odsłoniętymi plecami.

Na nogach ma szpilki tak wysokie, że naprawdę nie mam pojęcia, jak zdołała pokonać kilkaset metrów dzielących jej willę od domu Ewy - szła, trzymając się sztachtet płotów? - myślę i prawie parskam śmiechem.

- Cześć, kochana, wyglądasz bosko. - Ewa wita się z nią wylewnie. Wiem, że bardzo się lubią, czego nie mogę zrozumieć.

Jak dla mnie Ilona jest toksyczna, uwielbia obgadywać ludzi i obnosi się ze swoją pozą męczennicy, chociaż w sumie jej życie wygląda na całkiem wygodne, przynajmniej patrząc na to z boku. Ale okej, nie każdy musi kochać każdego, jak to ujmuje moja przyjaciółka.

- Cześć. - Uśmiecham się do niej, a ona posyła mi dość krzywy uśmieszek i sięga po pierwszy kieliszek szampana.

Wypija go szybko, bierze drugi, z którym rozprawia się równie ekspresowo, później z trzecim w dłoni sunie na sam środek salonu. Włosy upięła w fantazyjny kok, z boku jej głowy lśni podłużna spinka mieniąca się blaskiem dziesiątek sztucznych brylancików, w uszach ma długie kolczyki, na powiekach brokat.

- Ktoś chyba pomylił sąsiedzkie przyjęcie bożonarodzeniowe z galą rozdania Oskarów - mówię szeptem do Olgi Wolskiej, która akurat przy mnie stanęła, a ona parska śmiechem.

Wiem, że nie znosi Ilony, pokłóciły się o jakąś bzdurę, ale żadna nie potrafiła pierwsza wyciągnąć ręki do zgody i z małego dramaciku zrobiła się wielka sąsiedzka drama.

Jak dobrze, że ja nie mam otwartej wojny z żadnym z mieszkańców, myślę. Mimo że nasze ogrody są na tyle duże, żebyśmy nie czuli się stłoczeni jak śledzie w beczce, to jednak uliczka jest wąska, a całe Forest Hill bardzo hermetyczne. Tutaj nie da się kogoś unikać, bo prędkiej czy później się na niego wpadnie albo przynajmniej zobaczy w jadącym z naprzeciwka samochodzie.

- Zjesz coś? - pyta mąż.

- Może później. - Uśmiecham się, bo przecież w te święta aż nadto już sobie dogodziłam, zwłaszcza pierniczkami...

Początkowo atmosfera jest nieco sztywne - ściskamy się w małych grupkach, rozmawiamy o pogodzie, świętach i śniegu, który sypie tak, jakby nigdy nie miał przestać, ale nagle jeden z obecnych na przyjęciu mężczyzn porusza temat Kai i towarzystwo, chociaż przez dłuższą chwilę zmieszane, szybko przechodzi do plotek, spekulacji i szeptem wymienianych uwag. Widzę kilka mniej lub bardziej ukradkowych spojrzeń rzuconych w naszą stronę, parę osób wychodzi na taras, niektórzy oglądają coś w telefonach.

- Mówiłam, nie unikniemy tematu - zauważam, krzywiąc się, a Piotr obejmuje mnie ramieniem.

- Jeśli chcesz wyjść...

- Nie chcę wychodzić, Piotr. Po prostu stwierdzam fakt. Ludzkiej natury nie zmienisz, to było do przewidzenia.

Sięgam po kolejny kieliszek szampana. Na trzeźwo na pewno tego wszystkiego nie zniósę...

19

ILONA

Kiedy Mateusz oznajmia, że nie ma najmniejszej ochoty iść ze mną na przyjęcie u Ewy, robi mi się tak przykro, że z trudem powstrzymuję łzy. Ale błagać go nie będę, pójdę sama, decyduję.

Początkowo w planach miałam wąską srebrną sukienkę i bordowe kozaczki, ale nagle mam ochotę ubrać się tak, jakbym szła na bal. A niech się gapią! – mówię sobie, świetnie wiedząc, jak fałszywe bywają te zarozumiałe, snobistyczne suki z naszego podmiejskiego piekiełka. Wkładam więc kieckę, którą dwa lata wcześniej kupiłam na ślub przyjaciół, upinam włosy w sposób, jaki podpatrzyłam na Instagramie, oglądając z córką fryzjerskie metamorfozy, i wpinam w nie kupioną w Wenecji ozdobną klamrę.

– Na bogato – uśmiecham się ironicznie, przyglądając się sobie w lustrze.

Jeśli mam tam iść sama, przynajmniej zrobię wejście.

Buty wybieram z najwyższej półki garderoby, jedno z tych, które wkładam najrzadziej. Są przerażająco wysokie, w dodatku na cienkich szpilkach wysadzanych maleńkimi diamentkami.

Jestem przy drzwiach, kiedy zdaję sobie sprawę, że w nich jednak daleko nie zajdę, i wołam syna.

– Adam! – wrzeszczę.

– Gram! – odkrzykuje z salonu.

– Chodź tu!

– Nie mogę! – słyszę.

Wtedy po niego idę.

– W tej chwili albo rozwałę ci również tę konsolę – syczę, a on chyba właśnie przypomina sobie smutny los swojego telefonu, którym niedawno rzuciłam o ścianę, i w końcu okazuje mi odrobinę uwagi. – Zostajesz z ojcem i Lenką. Pilnuj siostry, słyszysz? – polecam mu, chociaż przecież świetnie wiem, że lada moment założy pewnie słuchawki i odetnie się od całego świata...

– A zapłacisz mi za opiekę? – pyta, szczerząc zęby.

– Niech ci tatuś zapłaci, przecież i tak regularnie go doisz.

– Tak, ale tym razem nie on jest zleceniodawcą. – Mruga do mnie, ale jakoś nie jestem w nastroju na przekomarzenie się.

– Wkładaj kurtkę, odprowadzisz mnie.

– Gdzie? – dziwi się.

– Do Ewy.

– Też prawniczki? A co, sama nie trafisz? – rechoce.

- Spójrz w dół - syczę, a on zerka na moje buty i parska śmiechem.

- No tak, fatycznie wyglądałaś na zaskakująco wysoką, kiedy tu weszłaś. Poważnie chcesz w tym iść? Zdajesz sobie sprawę z tego, jak kosztowni są dentyści? Wybijesz sobie zęby, upadając na tym lodzie i...

- Pójdiesz ze mną, więc sobie nie wybiję. No już, rusz się! Dziewięć miesięcy nosiłam cię...

- Tak, wiem, pod sercem - mruczy Adam, ale posłusznie przechodzi do holu, gdzie wkłada buty i puchówkę.

- Pilnuj Leny! - wrzeszczę z nadzieją, że mąż, który zaszył się w swoim gabinecie, nie ogląda właśnie porno ze słuchawkami na uszach.

Odpowiada mi cisza.

- Skurwiel - mamroczę, zanim ruszam do drzwi.

Chodnik, zasypany białym puchem, miejscami oblodzony, okazuje się nie do przejścia - z każdym krokiem albo szpilki zapadają się w śnieg, albo nogi rozjeżdżają mi się na lodzie, w końcu przystaję z dłońmi zaciśniętymi na metalowych sztachetach ogrodzenia.

- Dobra, plan B - mówię do syna, który niby stara się mnie asekurować, ale głównie dobrze się bawi. - Przynieś mi te śniegowce, w których wychodzę do ogrodu. No idź, zanim tu zamrznę! - ponaglę go, kurczowo uczepiona lodowato zimnej metalowej sztachety.

Kiedy Adam wraca, przebieram buty, prawie się przy tym wywalając, przechodzę pod willę Ewy, gdzie ukryta za jednym z parkujących na chodniku samochodów ściągam śniegowce, wręczam je synowi, każąc mu wracać prosto do domu, i już w szpilkach wchodzę na starannie odśnieżoną ścieżkę przed jej willą. Jak wrócę? Nie mam pojęcia i nie zamierzam się teraz tym zamartwiać. Choćby i boso, to w końcu tylko kilkaset metrów, nóg sobie raczej odmrozić nie zdążę. Mogę też zadzwonić po taryfę, przy odpowiednio wysokim napiwku taksówkarz z całą pewnością daruje sobie kąśliwe uwagi w temacie wożenia pijanych panius kilka domów dalej po tej samej uliczce.

W środku od razu dostrzegam Dagmarę - wielka pani pisarka, jak zawsze promienna i uwieszona na ramieniu męża, szczebiocze coś do Ewy.

Na mój widok się krzywi. Nieznacznie, ledwo zauważalnie, ale to dostrzegam...

Później są mniej lub bardziej nieszczerze uśmieški, seria wymienianych w powietrzu całusów i z ulgą sięgam po pierwszy kieliszek. Jedno, co mnie cieszy, to fakt, że właśnie kończą się święta. I znowu rok spokoju, myślę, zanim upijam kilka łyków przyjemnie schłodzonego szampana.

Przyjęcie wolno się rozkręca, ludzie raczej się obserwują i gadają o niczym, niż dobrze bawią.

Dopiero kiedy Filip Tesznar rozpoczyna temat tragicznej śmierci Kai, wszyscy się ożywiają, rumieńce występują im na policzki, oczy płoną niezdrowym blaskiem.

- Ktoś podobno widział, że wsiadła do czarnej terenówki. Chciałam tylko zauważyć, że kilku panów z naszej uliczki ma właśnie takie wozy, ale nie mój mąż! - rzuca Renata Niemczyk zaskakująco lekkim tonem jak na kaliber poruszonego właśnie tematu.

- Tak, wszyscy wiemy, że twój Igor kupił sobie właśnie nowiutkie sportowe bmw – śmieje się Marta Wagner i reszta gości jej wtóruje.

- Plotki krążą różne – mówię, chcąc wbić szpilę wielkiej pani pisarce. – Niektórzy na przykład uważają, że młode nianie często zakochują się w przystojnych ojczach swoich podopiecznych, a stąd już tylko krok do różnych dramatów – rzucam i w salonie zapada martwa cisza.

- Ilona, poważnie? – odzywa się w końcu Ewa, która wygląda na mocno zszokowaną moimi słowami, reszcie sąsiadów również nie podobają się moje insynuacje.

Piotr Rosner jest lubiany, ludzie stają po jego stronie.

- Przecież tylko żartowałam – bronię się, nieco zmieszana ich dezaprobatą, ale Dagmara nie wygląda na rozbawioną.

- A może to twój rozpuszczony synalek ma coś wspólnego ze śmiercią Kai?! – rzuca mi prosto w twarz.

- Słucham?! – Jej bezczelność sprawia, że z niedowierzania uchylam usta.

- Słyszałaś. Chodzą plotki, że twój Adam się niej w kochał, ale ona go nie chciała – syczy autorka tych bzdur dla bachorów, na których zarobiła ponoć fortunę.

- Mój syn kocha tylko siebie, więc bez obaw – mówię, sięgając po kolejny kieliszek.

- Kilka osób widziało, jak na początku grudnia Adam zaczął Kaję w uliczce. Chciał ją chyba wtedy gdzieś zaprosić, ale go spławiła. „Daj sobie spokój i włóż czapkę, dzieciaku”. Tak mu poradziła, odchodząc. Wszystko słyszała Sylwia Wilczyńska, która akurat wsiadała do samochodu – rzuca jedna z kobiet.

- No tak, ona na całe dni zostawia auto na chodniku, ciężko przejść – mruczy ktoś inny i kilka osób chichocze.

- Bzdury! – rzucam, czując się zobowiązana do bronienia Adama, nie pozwolę się przecież obrażać! – To, że go spławiła, nie czyni z niego podejrzanego! I właściwie czego szuka policja? Durna dziewczucha wzięła na łód, jak dla mnie sprawa jest zamknięta. – Uśmiecham się złośliwie, a Dagmara podchodzi do mnie i syczy, żebym mówiła o Kai z szacunkiem.

- Ona nie żyje, rozumiesz w ogóle, jaka to tragedia? – mówi łamiącym się głosem, w jej oczach pojawiają się łzy.

Ktoś za moimi plecami cmoka z dezaprobatą, atmosfera wyraźnie się zagęszcza – jak mawiają w Krakowie – powietrze można by ciąć maczetami.

- Ona nie żyje – powtarza Dagmara, ocierając sphywającą po policzku pojedynczą łzę, a stojący obok niej Piotr Rosner opiekuńczo obejmuje ją ramieniem i szepcze jej coś na ucho.

- Wiem. – Uśmiecham się krzywo. – I w sumie płakać za nią nie będę. Przynajmniej żadna z nas nie musi już pilnować męża – cedzę.

Wtedy Dagmara Rosner, ta zawsze uśmiechnięta, elegancka i dyplomatyczna suka, robi kilka kroków w moją stronę i uderza mnie w twarz, a przez olbrzymi salon Ewy przechodzi szmer niedowierzania, ludzie nieruchomieją z kieliszkami szampana w dłoniach, zastygli w szoku.

Oddaję jej.

Walę mocno, znacznie mocniej i chcę uderzyć raz jeszcze, ale ktoś łapie mnie za rękę, ktoś inny obejmuje żonę Rosnera, tłumek gości wokół nas się zagęszcza.

Ewa wygląda tak, jakby miała zaraz się rozplakać. W jej oczach nie widzę już zwyczajowej życzliwości, teraz patrzy na mnie z wyrzutem, jakby pierwszy raz w życiu widziała mnie na oczy i nie miała pojęcia, kim jestem.

– No co?! Ona uderzyła mnie pierwsza! – rzucam przez zęby, po czym odstawiam kieliszek na obramowanie kominka, odwracam się i bez słowa pożegnania opuszczam przyjęcie.

Pierdolcie się wszyscy, myślę, wkładając futro.

Kiedy tylko wychodzę za próg, ściągam te przeklęte szpilki i boso wracam do domu.

Wkładam je dopiero przed wejściem do środka, nie chcę, żeby mąż widział mnie bosą, w podartych rajstopach, nie dam mu tej satysfakcji.

– Już z powrotem? Szybka akcja. – Mateusz wita mnie kąśliwym tonem, mój widok z całą pewnością go nie ucieszył, wręcz przeciwnie.

– Przeszkadzam ci w czymś? – syczę, kładąc na komódce przy drzwiach mieniącą się złotymi drobinkami kopertówkę.

– Ależ skąd, kochanie. Zawsze cudownie cię widzieć. – Puszczą mi oczko i rusza w kierunku schodów na piętro. – W sumie dobrze, że jesteś, bo lada moment wychodzę, tylko się przebiorę. Odlepisz te sztuczne rzęsy, zmyjesz tapetę i będziesz mieć oko na Lenę, bo na Adama lepiej w temacie nie liczyć – dodaje, zanim wchodzi na pierwszy stopień.

– Gdzie idziesz? Jest drugi dzień świąt – warczę.

– Powiedziałem przecież, że wychodzę – odpowiada, nie odwracając się.

– Wiem, że znowu masz romans – rzucam, a on zatrzymuje się na półpiętrze.

– Skoro już wiesz, to może nie musimy o tym rozmawiać? – Znowu mruga do mnie i szeroko się uśmiecha. – Ale, kotku, nie smuć się. Przecież to z tobą ciągle jestem – dodaje sarkastycznym tonem. – Zostawiłem cię? Nie. Skazałem na marny żywot w biedzie? Nie. Czegoś ci brakuje, kochanie? – Nadal stojący na półpiętrze Mateusz ruchem dłoni wskazuje na to, co nas otacza. – Kryształowe żyrandole, pieprzone włoskie marmury, tapety prosto z Paryża, czego tylko zapragnęłaś, dostałaś! Masz wszystko, więc wybac, jeśli czasem ja też czegoś chcę! Na przykład młodej dupy!

– Sypiałaś z nianią Rosnerów? – pytam.

– A co? Jesteś zazdrosna nawet o nieboszczkę? Słabe – rechocze Mateusz.

Wspinam się po schodach. W rezydencjach Forest Hill schody jakby nie miały końca, kamienne, zdobione kutymi metalowymi barierkami z kwiecistym motywem – wchodzenie na nie w szpilkach jest istną katogą, zwłaszcza że jestem dość mocno pijana – nagle uderzył mi do głowy cały wypity u Ewy szampan...

– Posuwałaś ją?! – pytam, kiedy w końcu docieram na półpiętro.

– Niech zgodę, udało ci się dobrać do mojego telefonu? Bóg mi świadkiem, że chyba wzorem mafiosów zetrę sobie odciski palców. – Mateusz się uśmiecha, ale jego wzrok jest lodowaty.

– Posuwałaś ją? Tę małą zdzirę, która robiła maślane oczy, do kogo popadnie?! – podnoszę głos, ponawiając pytanie.

- Chciałem zauważyć, że na piętrze jest nasza dziewięcioletnia córka, więc może subtelniej dobieraj słowa – sugeruje Mateusz.

- Widziałam wasze wiadomości, wszystkie te świństwa, które do siebie wypisywaliście! Jesteś obrzydliwy, słyszysz?! – rzucam się na niego z pięściami.

Wtedy mnie odpycha. Nawet niezbyt mocno, jednak tyle wystarczy, żebym straciła równowagę w zabójczo wysokich szpilkach, zatoczyła się i runęła w dół, spadając ze schodów.

- Ilona! – słyszę jeszcze jego krzyk.

Później jest głucho uderzenie o marmurowy podest na samym dole i zapada absolutna, nieprzenikniona ciemność.

Nigdy oczywiście nie dane mi będzie zobaczyć raportu z własnej autopsji, ale gdybyście byli ciekawi, upadając, skręciłam sobie kark, o innych obrażeniach może już litościwie tutaj nie wspomnę...

Co jeszcze ciekawsze, temu sukinsynowi Mateuszowi wszystko ujdzie na sucho...

Policji powie, że kompletnie pijana żona wróciła z przyjęcia (scena, którą urządziłam u sąsiadki, zadziała niestety na moją niekorzyść) i runęła ze schodów – wszystko przez te buty, panie władzo, taka straszna tragedia, pani prokurator... Nasz syn nie jest żadnym świadkiem – kiedy spadałam, miał w uszach słuchawki i strzelał do wirtualnych zombie. Córka była na górze, gdzie przeraźliwie fałszując, bawiła się znalezionym pod choinką zestawem do karaoke, więc sami rozumiecie...

Bycie żoną z Forest Hill ma też swoje minusy. Jednym z nich jest fakt, że nasi mężowie bywają prawdziwymi sukinsynami, a co gorsza, mają dostatecznie wiele kasy, żeby skutecznie ukrywać ten fakt przed światem. Ktoś inny, mniej prominentny, być może poszedłby siedzieć, ale prokuratura nie miała zastrzeżeń do tego, co wydarzyło się w naszej rezydencji. Wersja oficjalna jest prosta – upadłam, bo zbyt wiele wypiałam i miałam na sobie mocno problematyczne obuwie. Mąż był wtedy w gabinecie, absolutnie nie staliśmy razem na schodach, jak zeznał po tym, kiedy zdruzgotany, płacząc, zadzwonił po policję. Upiekło mu się. Mężczyznom przecież wszystko uchodzi na sucho, zwłaszcza tym bogatym...

Miło było was poznać.

Naprawdę.

Wiem, że bywałam wredna, jednak miałam też swoje zalety. Kochałam na przykład moje dzieci, ale więcej ich nie zobaczę. Gdyby Mateusz potrafił być mi wierny, do niczego by nie doszło. Ale nie umiał...

Zanim na dobre odchodzę, unoszę się nad własnym ciałem, z góry spoglądam na kamienne stopnie, krew na mojej skroni, nienaturalnie wygiętą szyję i lewy but, który zsunął mi się ze stopy. Sukienka na moim martwym ciele połyskuje milionem złociń. Lubiłam ją i świetnie w niej wyglądałam. Nie sądziłam tylko, że będzie ostatnim ciuchem, który na siebie włożę.

Za oknem sypie śnieg.

Zima w Forest Hill bywa naprawdę bajkowa...

Dagmara zachodzi do nas przed ósmą rano, wcześniej jak na spontaniczną, zapowiedzianą ledwie kilka minut wcześniej wizytę, zwłaszcza tuż po Bożym Narodzeniu, ale przecież i tak wszyscy w sąsiedztwie spędziliśmy bezsenną noc, chodząc od okna do okna, sprawdzając telefony czy po prostu leżąc w łóżkach...

Więści o nagłej i tajemniczej śmierci Ilony rozniosły się po Forest Hill błyskawicznie – poprzedniego wieczoru niebieskie światła radiowozu w naszej uliczce szybko przyciągnęły gapiów, tłumek rósł z minuty na minutę, podczas gdy wewnątrz ich rezydencji pracowali już fotograf i ekipa techników kryminalistyki.

Kiedy wynosili ciało, ludzie w milczeniu stali w uliczce i płakali. Tego nie spodziewał się nikt, zwłaszcza w święta... Równie wstrząsający był widok wyprowadzanego przez policję Mateusza.

– Przepraszam, że tak bladym świtem, ale nie wiem, co ze sobą zrobić – tłumaczy się Dagmara, zanim zdejmuje oblepione śniegiem zamaszowe kozaczki i ściąga czapkę.

Jej włosy wciąż noszą ślady po wczorajszym spotkaniu z lokówką, ale idę o zakład, że tego ranka ich nie szczotkowała, co najwyżej przeczesała palcami. Jest bez makijażu, a przed wyjściem od siebie chyba płakała – pierwszy raz widzę ją taką, wydaje się krucha, widok bólu w jej zaczerwienionych oczach naprawdę mnie porusza... Wiem, że jest wrażliwa, delikatna i empatyczna, więc nie powinno mnie dziwić to, że wydaje się załamana, ale jednak mam ochotę ją przytulić i to właśnie robię.

– Dzięki. – Uśmiecha się, kiedy już się od siebie odsuwamy. – Jestem w totalnej rozsypce i nie mam pojęcia, jak się pozbierać. A przede mną jeszcze rozmowa z Ninką, której będę musiała wytłumaczyć, że Kaja już do niej nie przyjdzie... Biedna maleńka najpierw straciła mamę, a teraz swoją ukochaną nianię. Przecież ona Kaję uwielbiała, co ja jej powiem?

– Nie wiem, ale chyba nie prawdę? – pytam, biorąc od niej płaszcz.

– To co, kłamać? Że z dnia na dzień wyjechała, w dodatku bez pożegnania? Porwało ją UFO?

– Możesz wymyślić jakąś bajeczkę o wyjeździe do Londynu. Pokażesz jej przy okazji miasto, jakieś zdjęcia, filmiki, pogadacie po angielsku.

– I już?

– I już. Oczywiście temat Kai kiedyś powróci. Ninka będzie mieć dwanaście lat, może piętnaście, kiedy usłyszysz i skojarzysz jakieś plotki, ktoś sobie przypomni o tym, co się stało, i powie jej prawdę. Może nawet wtedy się na was obrazi, zarzuci wam, że ją okłamaliście, ale chyba wszystko jest lepsze od złamania serca pięciolatce?

- Może i masz rację. Czytałam nawet niedawno, jak rozumieją śmierć dzieci, i okazuje się, że te pomiędzy drugim a piątym rokiem życia nie potrafią pojąć jej nieodwracalności, poza tym zastanawiają się, czy to nie ich wina, w sensie, że byli niegrzeczni, więc babcia odeszła, tego typu rozumowanie. To byłoby upiorne, gdyby Nineczka pomyślała, że Kaja umarła, bo ona coś przeskrobała...

- Dlatego nie powinnaś obciążać jej prawdą – radzę jej. – Nie znacie przecież nawet rodziny Kai, nie będziecie wpadać na tych ludzi, mieć z nimi kontaktu. Powiesz jej, że jest w Londynie, pozachwycasz się miastem i po wszystkim – rzucam, zdając sobie jednocześnie sprawę, jak nieczule to zabrzmiało.

Ale mówimy w końcu o pięciolatce, to jej chcemy oszczędzić łez, pocieszam się.

- Myślisz, że to on ją zabił? No wiesz, mąż? – pyta mnie cicho Daga, kiedy już obie siedzimy nad kawą w mojej żenująco tego ranka zabałaganionej kuchni. – Mam takie okropne wyrzuty, że ją wczoraj uderzyłam, ale sama słyszałaś, co wygadywała!

- To nie twoja wina – pocieszam ją, ale sąsiadka wciąż wygląda na zdruzgotaną.

- A jeśli moja? Jeśli ten policzek, który wymierzyłam jej w złości, tak wytrącił ją z równowagi, że później wdała się w awanturę z mężem i...

- Nie zakładajmy od razu, że zrobił jej to mąż – wchodzę jej w słowo. – A jeśli to syn? Wiesz, jaki jest Adam, wiele razy o tym rozmawiałyśmy. Nie szanuje jej, chamsko się do niej odnosi i bywa agresywny – mówię, bo coraz bardziej mnie ten chłopak irytuje, a sama myśl, że durzy się w nim moja córka, doprowadza mnie do szału.

- To jakaś czarna seria, Karola? Sama powiedz, prześladowuje nas pech czy ktoś nas przeklął? – pyta Dagmara łamiącym się głosem, widzę, że jest bliska łez i już nawet nie próbuje tego ukrywać. – Najpierw ta koszmarna sprawa z Kają, a teraz Ilona... Nie lubiłam jej, nie będę kłamać, ale przecież nawet najgorszemu wrogowi nie życzyłam takiego końca... Zostawiła dwójkę dzieci, w tym dziewięcioletnią córeczkę... Straszne to wszystko. W dodatku wczoraj zdałam sobie sprawę, że to, co przytrafiło się Kai, to również po części moja wina. Gdybym jej wtedy nie zatrzymała, chcąc wręczyć kawałek orzechowca, najprawdopodobniej nie uciekłyby jej autobus i nie wsiadłaby do auta tego faceta z czarnej terenówki, kimkolwiek on jest. Dobija mnie ta świadomość, nie umiem się z tym pogodzić. I jeszcze ta ciągła, narastająca paranoja, od której dosłownie wariuję! Wiesz, że kilka dni temu podejrzewałam o coś nawet mojego Piotra, tylko dlatego że znalazłam w jego aucie jej kolczyki? A przecież on odwoził ją wiele razy, mogła go zgubić o wiele wcześniej.

To nie był Piotr, myślę.

Ale przecież tego nie mogę jej powiedzieć...

- Karola, słyszysz mnie? Zakradłam się nocą do garażu i przeszukałam jego auto, myśląc, że nieumyślnie ją potrafił i znajdę na to jakiś dowód! Chryste, co ze mnie za żona?! Jak w ogóle mogłam go o coś takiego podejrzewać? Przeszukałam nawet bagażnik, wyobrazasz to sobie? – Nagle Dagmara wybucha głośnym, histerycznym śmiechem, a ja gładzę ją po plecach, starając się pocieszyć i odrobinę uspokoić.

Jesteśmy ze sobą blisko i uważam ją za przyjaciółkę, więc tym podłej się czuję, nie będąc z nią szczerą. Ale przecież nie mogę jej teraz powiedzieć, co i kogo widziałam wtedy w lesie. Nie, na to już za późno...

- A jeśli to prawda? - pyta cicho Dagmara. - Co, jeśli nasza Kaja rzeczywiście polowała tu na bogatych żonatych facetów? Kilka żon z sąsiedztwa nie miało o niej najlepszego zdania, nie tylko Ilona. Może to ja byłam ślepa, nie chciałam pewnych rzeczy widzieć tylko dlatego, że wszyscy ją lubiliśmy, a ona świetnie zajmowała się Ninką? A co, jeśli oni oboje coś przede mną ukrywali? Jeśli sekcja wykaże, że ona była w ciąży, a ojcem okaże się mój Piotr? Ty słyszysz, co ja w ogóle wygaduję? Leżę nocami w łóżku, godzinami bezsenne przewracając się w pościeli, i rozważam wszystkie prawdopodobne opcje. Może Kaja się zabiła, bo miała jakieś poważne problemy, o których nie wiemy? Może jej facet Leon skrywał jakieś mroczne oblicze? Może jednak sypiała z moim mężem, a może nawet zabawiała się z Danielem? Z szesnastolatkiem, czujesz? Takie chore rzeczy przychodzą mi do głowy.

- Cóż, w takiej sytuacji wasz Daniel z całą pewnością nie byłby pierwszym na świecie nastolatkiem uwiedzionym przez młodą nianię, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby to akurat on ją interesował. Bardziej Mateusz, mąż Ilony, tu mogło coś być na rzeczy - mówię, a Daga pociąga nosem i zakłada za ucho kosmyk włosów.

- Widziałaś, jak płakał, kiedy nocą wyprowadzała go policja? Wyglądał na takiego zdruzgotanego, ale kto wie, może to jednak on coś jej zrobił.

- Zobacz, na jak wrednym żyjemy świecie. Od razu założyłyśmy, że zabił ją mąż. A jeśli pękł jej tętniak albo podcięła sobie żyły? Nie mamy pojęcia, co tak naprawdę się stało, pomijając fakt, że ona nie żyje. Olga Wolska widziała kobietę z opieki społecznej wyprowadzającą ich dzieciaki, więc skoro jego miała policja, a dzieci jechały w siną dal, denatką musi być ona - mówię.

- Daj spokój, tętniak? Pokłócili się, zrobił jej coś! - upiera się Dagmara.

- Nie masz takiej pewności - stwierdzam, chociaż sama również zaczynam się wahać.

- Ja to wiem. Nie znam go bliżej, ale nawet z daleka wygląda mi na buca - upiera się Dagmara.

- Mamo?! Mamooo! - drze się z góry Michalina, a ja zrywam się z krzesła i posyłam przyjaciółce przepraszający uśmiech.

- Muszę do niej iść. Wiesz, że się połamala i to przeze mnie - wzdycham.

- Pójdź już, nie chcę wam przeszkadzać. - Dagmara się podnosi, ale usadam ją z powrotem.

- Nie wygłupiaj się, zaraz wracam. Młoda pewnie chce pić albo siku i zaraz wróci do łóżka. O ósmej rano to ona jeszcze lubi pospać, kiedy ma wolne. Siedź i jedz. - Przysuwam w jej stronę talerz z pierniczkami, chociaż pewnie i tak ich nie tknie, wiadomo: dieta.

Kiedy wchodzę do pokoju Michaliny, córka leży na łóżku i płacze.

- Lenkę zabrali w nocy ci z opieki społecznej, Adam pojechał z nią, żeby być z siostrą, a ich tato chyba wciąż jest przesłuchiwany - mówi, a ja, chociaż czuję się jak hiena, pytam, czy wie, co w ogóle się tam stało. - Pani Ilona spadła ze schodów - Ika Michaśka. - Mamo, to wszystko jest takie okropne. Adam jest w rozsypce, a ja... - Córka przerywa i szlocha. - Nie mogę mu nawet pomóc, bo tkwię tu w tym pierdolonym gipsie! - wrzeszczy.

- Sama spadła? - pytam.

- Skąd mam wiedzieć?! Adam wtedy grał, niczego nie widział. Zobaczył ją dopiero, kiedy przyjechała policja, a ojciec przyszedł po niego do pokoju. Mówi, że była pijana i na szpilkach.

- Niczego nie widział? Nie słyszał, jak się kłócili?

- Nie wiem! - drze się Michalina.

- Potrzebujesz czegoś, córciu? Wołałaś mnie.

- Tak, siku i pierniczków z zimnym mlekiem. Zaczęę się odchudzać, jak odzyskam moje życie - pociąga nosem. - Mamo, co teraz będzie? Jeśli tato Adama pójdzie do więzienia, a jego mama nie żyje, to będą się musieli wyprowadzić? - pyta Michaśka, a mnie rozczuła infantylna niepewność w jej głosie. Mówi to tak, jakby nie była tego pewna, a przecież to jasne, że rodzeństwo, w tym dziewięciolatka, nie zostanie w rezydencji, której nawet nie zdoła utrzymać.

- Wszystko się jakoś poukłada - mówię, bo co innego mogę powiedzieć.

- Chciałabym, żeby Adam mógł się u nas zatrzymać - mówi nagle Miśka. - No wiesz, jeśli będą musieli wynieść się z domu.

- Kochanie, nie mówisz chyba poważnie? - pytam, a córka oznajmia, że owszem.

- Mamy tyle pokoi, na pewno mógłby...

- Michalina, czy ty oszalałaś?! - podnoszę głos.

- No jasne, o czym ja w ogóle myślałam? Jesteście takimi pieprzonymi egoistami! Ty i tata! Tylko wy, wy, wy, nikt inny!

- Uspokój się - proszę, zdając sobie sprawę, że siedząca w kuchni Dagmara może wyłapać strzępki mojej żenującej rozmowy z córką.

- Nie zamierzam się uspokajać! Chcę pomóc kumplowi, a wy...

- Podobno chciałaś iść do łazienki - wchodzi jej w słowo, a ona, wściekła na cały świat i naburmuszona, odrzuca na bok kołdrę, którą była przykryta, i pomagam jej wstać.

Kiedy wracamy do jej sypialni, córka sprawia wrażenie obrażonej.

- Posłuchaj, Adam na pewno ma rodzinę, zajmą się nim. Poza tym nie wiadomo jeszcze, czy jego tato zostanie aresztowany - pocieszam ją, ale Michaśka milczy.

Schodzę więc na dół i wracam do Dagmary, która siedzi przy kuchennym stole, przeglądając swój telefon.

- W lokalnych mediach nadal cisza - mówi, zanim odkłada komórkę.

Rozmawiamy o Ilonie, kiedy dzwoni do mnie Olga Wolska, jedna z sąsiadek.

- Słyszałaś już?! - zaczyna, a ton jej głosu świadczy o tym, że ma dla mnie prawdziwą bombę.

- O czym? - pytam, uśmiechając się do siedzącej obok Dagmary.

- Justyna Milczarek widziała Adriana Wilczyńskiego w Empiku i to zgadnij z kim! Z nianią Rosnerów, wyobraź sobie! - krzyczy do słuchawki Olga, nie mając pojęcia, że Dagmara Rosner siedzi właśnie naprzeciwko mnie. - Na jakieś cztery, pięć dni przed śmiercią Kai! Dodam, że koleś jeździ ciemnogrnatowym dżipem! W zapadającym zmroku ktoś mógł takie auto wziąć za czarne.

- Zanim wpadniesz w jeszcze większą euforię, zdradzę ci, że Kaja uczyła Adriana angielskiego. Wiesz, że to dorobkiewicz, nowobogacki. Nie ma zakończonych szkół, a po

angielsku ledwo duka, co przeszkadza mu w podróżach. Uczyla go od jakiegoś pół roku, żadna sensacja, że wpadli razem do Empiku, może po jakiś podręcznik – mówię.

– Tak, ale...

– Olga, nie mogę teraz rozmawiać. Zdzwonimy się później, okej? – przerywam sąsiadce i wywracam oczami. – Sorry – mówię do Dagmary, a ta lekko wzrusza ramionami.

Chcę coś dodać, ale w tym samym momencie dzwoni jej komórka.

– Tak, kochanie? – odbiera, domyślam się więc, że dzwoni Piotr.

Rozmawiają tylko przez chwilę, ale widzę, że coś się stało. Kiedy się rozłącza, Dagmara zdradza mi, że przed ich domem awanturuje się kompletnie pijany Leon, chłopak Kai, a Piotr czeka właśnie na przyjazd wezwanego patrolu policji.

– Podobno zaczął ciskać puszkami, wrzucając je do naszego ogrodu, i bez przerwy wciska dzwonek do drzwi, a kiedy Piotr wyszedł przed dom, zwymyślał go. Idę tam, wybacz. – Dagmara zbiera się w pośpiechu, jest roztrzęsiona.

– Idę z tobą – decyduję.

Dwie minuty później, kiedy wychodzimy na uliczkę, widzimy stojącego naprzeciwko willi Rosnerów Leona, który wygraża pięścią, krzyczy i bluźga.

– Wy jebane bogate snoby, myślicie, że wszystko ujdzie wam na sucho? – drze się. – Znam takich jak wy, ciągle ich widuję! Myślisz, kurwa, że śmierć Kai ujdzie ci na sucho?!

– Leon! – woła go Dagmara, kiedy podchodzimy bliżej. – Uspokój się – prosi, ale on tylko się zatacza i nazywa stojącego w ogrodzie Piotra skurwysynem.

Na widok żony Piotr Rosner wychodzi zza furki i upewnia się, żebyśmy bezpieczne i niezaczeplane przez awanturującego się Leona weszły do ogrodu przed ich domem.

Przed wartownią, migając na niebiesko światłami, pojawia się radiowóz. Widząc czekających na podniesienie szlabanu gliniarzy, Leon rzuca się do biegu, gna w stronę ścieżki prowadzącej przez porośniętą drzewami skarpe, tej samej, na którą nie tak dawno wdrapywaaliśmy się z Michaśką, ciągnąc za sobą sanki, i dosłownie chwilę później znika nam z oczu.

Zanim policja podjeżdża, zdąża uciec. W pewien sposób jest mi go żal, przeżył w końcu niewyobrażalną tragedię, a chyba bardzo kochał swoją dziewczynę, ale współczuję też Piotrowi, bo nie zasłużył na to, żeby ktoś traktował go w ten sposób.

– Wybaczcie, muszę wracać do Michaśki – mówię, chcąc zostawić ich samych, ale prawda jest też taka, że chcę po prostu zejść z oczu Dagmarze.

To przez moje tchórzostwo obrywa się jej mężowi. Przecież Piotr nie ma nic wspólnego z tym, co się przytrafiło Kai.

Ale Daga o tym nie wie.

Nikt z sąsiadów nie wie.

Tylko mój mąż i ja - kłamczucha.

21

LEON

Biegnę przez las. Skarpa górująca nad uliczką jest miejscami dość stroma, w końcu to pieprzone Forest Hill, zalesione wzgórze, ale nie mogę zwolnić. Od wysiłku i panującego na zewnątrz mrozu moje płuca płoną, żałuję wszystkich wypalonych w życiu fajek, oddałbym teraz wszystko za lepszą kondycję. Ale przecież wiem, że muszę przeć do przodu, nie mogę zwolnić, jestem prawie jak nieszczęsny Harrison Ford w Ściganym, z tą tylko różnicą, że najprawdopodobniej nie wyskoczy na mnie pędzący pociąg i nie będę musiał skakać z zapory. Cała reszta się zgadza. Za mną wciąż cisza, wokół żywej duszy. Zaśnieżony las wygląda sielsko, jak z pocztówki, ale nie czas na podziwianie widoków. Policja musiała już podjechać przed dom Rosnerów, gramolą się pewnie teraz z radiowozu, rozglądają, ponaglani przez tego aroganckiego buca Rosnera...

Po tym jak docieram na sam szczyt skarpy, teren się wyrównuje. Przystaję, chcąc złapać oddech i odwracam się za siebie, nasłuchując, ale wokół mnie nadal panuje cisza, którą zakłóca jedynie ciche skrzywienie strzelistych pni sosen. Biegnę więc dalej, aż do opadającej nisko górkę po drugiej stronie, później przez pola. Bruzdy zamarznętej ziemi pod moimi stopami sprawiają, że kilka razy źle staję, ale ciągle pędzę przed siebie. Co zrobią gliniarze? – zastanawiam się. Będą za mną bieć? A może zgłoszą pościg i lada moment na pobliskich drogach zaroi się od patroli? Czy jestem dla nich aż takim priorytetem, żeby w ten sposób marnowali czas i pieniądze podatników?

Do mieszkania wracam trzy godziny później – spocony, ubłocony i przemarznięty, klucząc bocznymi drogami, jeżdżąc nieznanymi liniami autobusów i nieustannie oglądając się przez ramię. Kiedy ściągam buty, zdaję sobie sprawę, że mam na sobie te należące do Piotra Rosnera, które w dniu poszukiwań Kai pożyczyla mi Dagmara. Nie wiem, czemu je włożyłem tym bardziej że przecież pracodawczyni mojej dziewczyny odniosła mi moje własne. Być może sprawia mi jakąś dziwną przyjemność fakt, że coś mu zabrałem? Nawet jeśli jest to coś tak banalnego jak para zimowego obuwia...

Wiem, że nie powinienem był urządzać awantury przed domem Rosnerów, ale moja wściekłość nasila się z dnia na dzień, a mąż Dagmary jest coraz wyżej na liście podejrzanych – ostatnio przyszło mi do głowy coś, o czym wcześniej nie pomyślałem. A jeśli Kaja zabiła się przez niego? Jeśli była w nim zakochana albo już mieli romans, ale on ją odrzucił? Jeśli była z nim w ciąży? Jakiś tydzień przed śmiercią zamknęła się w łazience i rzygała, dwa razy tego samego ranka. Mówiła, że to grypa żołądkowa, ale kto ją tam wie, myślę, usiłując przypomnieć sobie, czy zaokrąglił jej się brzuszek lub czy miewała mdłości, ale ostatnio głównie się rozmijaliśmy – ona zajęta przygotowaniami do zbliżającej się zimowej sesji spędzała długie godziny w uczelnianej bibliotece bądź u Rosnerów, ja w pracy. Nie umiem nawet powiedzieć, czy moja dziewczyna była w ciąży, wyrzucam sobie, czując się jak ostatni przegryw. Ale to nic,

i tak wszystko wyjaśni się podczas sekcji. Ojciec, do którego w końcu zadzwoniłem, chcąc zapytać o postępy w śledztwie, zdradził mi, że to właśnie dziś, za kilka godzin. Może właśnie dlatego tak mi odwala? Przez chwilę wyobrażam sobie jej martwe ciało w prosektorium i uderzam pięścią w ścianę.

- Kaja! - krzyczę, wołając jej imię, ale odpowiada mi cisza.

Wczesnym południem znowu się upijam i zalegam na sofie. Nocami prawie nie sypiam, nie jestem w stanie zasnąć, ale teraz ogarnia mnie taka senność, że odpływam zaraz po tym, jak tylko zamykam oczy.

Przychodzi mi jeszcze tylko do głowy, że przecież Dagmara Rosner zna mój adres i pewnie poda go policji, ale mam to w dupie. Gliny będą sobie dzwonić do drzwi, a kiedy nie otworzę, wyniosą się. Nie ma opcji, żeby weszli tu siłą, nie wezwą chyba antyterrorystów tylko dlatego, że zbluzgałem Rosnera i wrzuciłem mu do ogrodu kilka wyciągniętych z przepełnionego kosza na śmieci puszek, które znalazłem za pętlą, pocieszam się, chociaż, prawdę mówiąc, pewności nie mam. Mam to za to głęboko w dupie. Jeśli sobie nagrabię, zadzwonię do starego, pocieszam się, czując mściwą satysfakcję, że pewnie znowu narobię panu prokuratorowi wstydu.

Kiedy się budzę, jestem głodny, ale chociaż w mojej lodówce nadal jest pełno żarcia przyniesionego zarówno przez Dagmarę, jak i Monikę, wiem, że niczego nie przełknę - jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, trwa właśnie sekcja Kai. Wypalam papierosa, stojąc w otwartym na oścież oknie, później myję zęby, ubieram się i wychodzę na mróz.

Idąc wzdłuż ulicy, rozglądam się nerwowo, ale nigdzie nie widzę żadnego radiowozu i powoli napięcie mnie opuszcza.

W okolicę pętli docieram godzinę później - tym razem nie wchodzę jednak na zamknięty teren Forest Hill okrężną ścieżką przez lasek za pętlą, dalej wzgórzem i w dół, na sam środek uliczki, jak dziś rano. Trasę musieli wydeptać okoliczni biegacze, ścieżka jest wąska i ledwie widoczna z pętli, odkryłem ją przypadkiem, szczając w krzakach za przystankiem. I tyle przychodzi bogaczom ze wszystkich tych ochron, szlabanów i kamer, uśmiecham się krzywo.

Dziadygę z wartowni, z którym miałem scysję przed świętami, zastąpił jakiś młody koleś, który pali, oparty o słupek wspierający szlaban.

Kiedy na mnie zerka, odwracam się do niego plecami i robię kilka kroków w stronę przystanku, udając, że czekam na autobus.

- Odjechał pięć minut temu. Następny za jakąś godzinę! - krzyczy chłopak po tym, jak czubkiem buta dogasza niedopałek i schyla się, żeby go podnieść. Najwidoczniej bogate snoby nie życzą sobie petów porozrzucanych przy wjeździe na ich teren.

- Dzięki! - odpowiadam, niechętnie unosząc dłoń w geście podziękowania, po czym, odprowadzany jego spojrzeniem, ruszam pieszo w stronę szosy, dokładnie tą samą trasą, którą musiała pokonać Kaja tamtego feralnego popołudnia.

Czujność młodego ochroniarza nieco podniosła mi ciśnienie, ale nie zamierzałem się z nim kłócić.

Jestem na rondzie w pobliżu supermarketu, kiedy dostrzegam wyjeżdżającą z osiedla terenówkę Piotra Rosnera. Na jej widok rozpaczliwie macham na przejeżdżającą akurat ulicą taryfę i okazuje się, że mam szczęście - taksówka jest wolna.

- Jedźmy za tamtym dżipem – mówię, a starszy, ogolony na tyso kierowca bez szemrania wykonuje polecenie.

- Uprzedzam tylko, że możemy go zgubić i nic na to nie poradzę. Jest spory ruch – mówi tylko.

- Byłoby fatalnie – rzucam przez zęby i w taksówce zapada cisza.

Przymykam oczy, ale zaraz później je otwieram.

Auto Rosnera zatrzymało się na czerwonym świetle, my jesteśmy trochę dalej, kilka samochodów za nim.

- I jak tam po świętach? – zagaja rozmowę taryfiarz, a ja powstrzymuję się, żeby nie powiedzieć czegoś chamskiego.

- Zająbiście – rzucam tylko mało sympatycznym tonem, a on zerka we wsteczne lusterko i szeroko się uśmiecha.

- Moi synowie też nie znoszą świąt, za to żona... Ta to mogłaby wstawić do domu choinkę już chyba końcem sierpnia. A wszystkie te idiotyczne dekoracje... Panie, przecież co roku majątek na to idzie! Jakieś wąsate żołnierzyki w uniformach, łańcuchy, renifery, mikołaje, miliony bibelotów. Ostatnio nawet świąteczne talerze kupiła, wcale nie tanie, a kiedy zapytałem, po co to wszystko, usłyszałem, że to przecież specjalnie na wigilię, z motywem ostrokrzewu. A człowiek tyra, żeby na życie było... Żonę pan szanowny posiada czy jeszcze nie było okazji żadnej kobitki na stałe złapać? – pyta mnie kierowca.

Miałem dziewczynę, z którą chciałem się ożenić w Toskanii. Ale ona nie żyje i najprawdopodobniej właśnie robią jej sekcję – myślę, wyobrażając sobie minę starszego gościa, którą by pewnie zrobił, gdyby to usłyszał.

Nie zamierzam jednak opowiadać o tragedii Kai jakimś obcemu koleśowi, którego frustruje motyw ostrokrzewu na talerzach, mruczę więc tylko, że nie, i w taryfie ponownie zapada cisza.

Tymczasem terenówka Rosnera mija ruchliwe skrzyżowanie Opolskiej z Kamienną i zjeżdża w Malborską, gdzie zatrzymuje się przed jednym z najwyższych budynków w naszym mieście. Więc wpadł do firmy... Pracoholik, myślę. Ledwo skończyły się święta, a ten już tęskni za biurem.

- Wsiadam – mówię, w pośpiechu wręczając taksówkarzowi kasę za kurs.

- Wszystkiego dobrego – rzuca z uśmiechem kierowca, więc bąkam: „Jasne, dzięki, wzajemnie”, i w pośpiechu opuszczam taksówkę.

Piotr Rosner parkuje na zarezerwowanym dla niego miejscu, domyślam się, że ważniejsze szczyty na dyrektorskich stanowiskach mają miejsca przed budynkiem, a szaraki muszą się zadowolić podziemnym parkingiem.

Kiedy wysiada, chowam się za jednym z drzew, żeby mnie nie zauważył. Ale on nawet się nie rozgląda, zupełnie obojętny na otoczenie, jest zbyt zajęty swoją komórką, którą po chwili przykłada do ucha i gdzieś dzwoni. Rozmawia przez moment, uśmiecha się, zaraz potem podbiega do niego wysoka blondynka w czerwonym płaszczyku i rzuca mu się na szyję. Obejmuje ją, głaszcząc po włosach, szepcze jej coś na ucho, a dziewczyna parska śmiechem.

Bingo! – myślę.

Więc jednak jesteś pieprzonym sukinsynem polującym na młode laski, bucu.

Kiedy idą chodnikiem, kilkanaście metrów przede mną, przyspieszam kroku i z nasuniętą na oczy bejsbolówką, którą włożyłem przed wyjściem, podążam za nimi wzdłuż Malborskiej.

To długa ulica, jedna z głównych w naszym mieście. Są tu biurowce, kliniki, urzędy i miejskie parkingi, ale i restauracje. I właśnie do jednego z lokali Rosner zabiera blondynkę. Nie znam tej knajpy, widzę tylko, że jest gruzińska. Niezbyt wyszukany lokal jak na jego możliwości finansowe, myślę, ale cóż... Nie wszystkie kobiety znają swoją wartość, zwłaszcza te młodziutki.

Kiedy wchodzi do środka, mam ochotę wtargnąć tam za nimi i obić mu mordę, ale wiem, że to byłby naprawdę fatalny pomysł – zbyt wielu świadków, monitoring nad wejściem do znajdującego się obok banku, nie... Poczekam, mówię sobie, zagryzając wargę.

Później przebiegam przez ulicę i wchodzę do niewielkiego irlandzkiego pubu naprzeciwko, gdzie zamawiam małe piwo i duże frytki – od wczoraj nie miałem niczego w ustach i nagle nabieram ochoty właśnie na nie.

Siadam przy oknie, skąd mam świetny widok na wyjście z restauracji. Później zerkam na zegarek i nerwowo bębnię palcami o blat stolika. Mija kwadrans, pół godziny, czterdzieści dwie minuty... Zjadłem duże frytki i zamówiłem kolejne. Barmanka dziwnie na mnie spojrzała, ale mam to gdzieś. Wyjadam z tekturowej tacki ostatnie sztuki, kiedy widzę Rosnera wychodzącego z restauracji. Dziewczyna jest z nim, ale – niespodzianka – kontynuacji randki nie będzie. Ona zarzuca mu tylko ręce na szyję i mówi coś do ucha, parszkając śmiechem i każde idzie w swoją stronę.

Wybiegam z pubu. Zapłaciłem z góry, więc odprowadza mnie wyłącznie zdziwione spojrzenie jednego z gości, którego chyba zaskoczyło moje gwałtowne poderwanie się od stolika.

Rosner idzie wzdłuż Malborskiej, z rękoma w kieszeniach płaszcz, dość energicznym krokiem. Byłem pewny, że raczej wsiądzie do auta, ale nie – idzie pieszo, wzdłuż ulicy. Zatrzymuje się przy bankomacie, z którego wypłaca plik banknotów, i niespiesznie rusza dalej.

Doganiam go, kiedy skręca w Toruńską, i łapię typa za ramię.

Odwraca się gwałtownie, przestraszony, a na mój widok bezgłośnie klnie.

– Dzwonię po policję – zaczyna ostrym tonem, ale kiedy wyjmuję z kieszeni telefon, wytrącam mu go z ręki.

Komórka upada na chodnik.

Rosner schyla się, żeby ją podnieść, wtedy łapię go za kołnierz płaszcz a pytam, jak długo posuwał Kaję.

– Dymałeś nianię, ale ci się znudziła, tak?! Więc z nią zerwałeś, a ona źle to przyjęła? Była w tobie zakochana, oszukiwała mnie, chciała odejść?! Pieprzyłeś ją?! No gadaj! – wrzeszcze, a mijająca nas otyła starsza kobieta z dezaprobatą kręci głową.

– Człowieku, ty masz jakieś urojenia – mówi Rosner, usiłując mi się wyrwać.

Jego komórka nadal leży pod naszymi nogami i żeby było śmieszniej, właśnie zaczyna dzwonić.

- Zabiła się, bo potraktowałeś ją jak śmiecia! To dlatego zrobiła to na twoich oczach, żeby zawsze być twoim wyrzutem sumienia! - wrzeszcze. - Perfidnie wykorzystałeś to, że u was pracowała, uwiodłeś ją, a kiedy ci się znudziła...

- Ja nigdy nie... - zaczyna Rosner, ale już nie słucham.

Jestem w jakimś amoku, nie dociera już do mnie nic. Kiedy zadzwoniłem i zapytałem go o postępy w śledztwie, ojciec zdradził mi, że Piotr Rosner był jednym z mężczyzn, którzy wyjechali z Forest Hill tuż po tym, jak Kaja zakończyła pracę. Zdradził mi to w tajemnicy, jak ojciec synowi, wiedząc, że jako prokurator zachował się nieprofesjonalnie, ale widocznie w jakiś sposób mu jednak na mnie zależy, mówię sobie. Stoję więc obok tego aroganckiego bogatego skurwiela, a jakiś wewnętrzny podszept mówi mi, że to on, jestem stuprocentowo pewny, że odkryłem prawdę - Kaja mnie zdradzała, dymając się z Rosnerem, i być może to, co miało być tylko przelotnym, zakazanym romansem niani z ojcem dzieciaka, zamieniło się z jej strony w miłość. Zakochała się, straciła dla niego głowę, a on, po tym jak już wielokrotnie ją wyobrażał, postanowił z nią zerwać. Parę dni przed Bożym Narodzeniem to dobra data, żeby pozbyć się uciążliwej kochanki. Kupił jej pewnie coś ładnego, obiecał, że pozostaną przyjaciółmi, i zakończył romans. To dlatego bez wahania wsiadła do jego samochodu, znała go, ufała mu. Być może nie planował tego spotkania akurat wtedy, nie mógł w końcu przewidzieć, że ucieknie jej autobus, ale kiedy zauważył ją idącą wzdłuż szosy, pomyślał, że to w sumie dobra okazja do rozstania. Szła poboczem, zupełnie sama, wokół zapadał mrok. Zgarnął ją do auta, później zjechał w las, zapewne chcąc pogadać, a ona, zrozpaczona i zszokowana, wybiegła na łód, zabijając się na jego oczach... Unicestwił moją kobietę, bo nie umiał pozostać wierny żonie, chociaż przecież całkiem ładna z niej babeczka.

Wściekłość przesłania mi wzrok, w skroniach mi huczy, w głowie wiruje. Rosner zaczyna coś mówić, ale nie słucham. Wyciągam ręce i mocno, ze wszystkich sił popycham go prosto pod koła nadjeżdżającego akurat autobusu.

Staliśmy na krawędzi chodnika, o „wpadek” nie było trudno. Są jednak świadkowie, jest też kamera nad wejściem do prywatnej przychodni weterynaryjnej, ktoś przeraźliwie wrzasnął, jakaś kobieta zaczęła szlochać.

Przez dłuższą chwilę stoję tuż przy unieruchomionym autobusie, z którego właśnie wybiega młody kierowca. W szoku, przez dłuższy moment jestem całkowicie niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, później jednak schylam się po komórkę Rosnera, chowam ją do kieszeni i rzucam się do biegu. Jakiś starszy mężczyzna łapie mnie za ramię, ale udaje mi się wyrwać. Ktoś inny wrzeszczy: „Wepchnął go prosto pod autobus, widziałem!”.

Biegnę wzdłuż Toruńskiej, w oczach mam furie. Ludzie uskakują mi z drogi, ci tutaj, kilkanaście metrów dalej od miejsca ponurego incydentu, nie mają już pojęcia, że właśnie wepchnąłem kogoś pod autobus. Widzą tylko młodego szczupłego kolesia w ciemnej kurtce pędzącego, jakby goniło go stado demonów. Bejsbolówkę ciskam do jednego z kubłów na śmieci. Jest zbyt charakterystyczna, a ja muszę wtopić się w tłum.

Skęcąc w Poznańską, później Cukierniczą, Krakowską i Urzędniczą. Nikt mnie nie goni, dziadek, który usiłował mnie złapać, był za cienki na takie akcje, ale nawet mimo tego nie umiem zwolnić. Biegnę, dopóki całkiem nie opadam z sił, i dopiero schowawszy w jednej z bram, spazmatycznie łapię oddech. Udało się! Ten skurwiel Rosner zapłacił za to, co zrobił

Kai. Nie planowałem co prawda wypchać go pod autobus, zresztą byłem tak zaślepiiony wściekłością, że nawet go nie widziałem, ale cóż... Widocznie los sam postanowił wymierzyć gnojowi sprawiedliwość. Karma zawsze wraca, uśmiecham się mściwie.

Później siadam na prowadzących do piwnicy schodach, wydjmuję z paczki ostatniego papierosa i szukam zapalniczki. W mojej kieszeni dzwoni komórka, jednak melodyjka nie brzmi znajomo i zdaję sobie sprawę, że mam przy sobie telefon Rosnera.

Wydjmuję go i widzę, że dzwoni jego żona, którą ma zapisaną jako Dagunię. Kiedy telefon milknie, przechodzę na zaniedbane podwórze kamienicy, w której chwilowo się schroniłem, podnoszę z ziemi leżącą tam ukruszoną cegłówkę i rozbijam telefon, którego resztki wkopuję pod stojący tam pojemnik z gruzem.

Później wracam na ulicę.

Niedaleko dostrzegam czarno-czerwony szyld lumpeksu, więc wchodzę, w pośpiechu kupuję szarą zimową czapkę, wkładam ją na głowę, płacę i ze wzrokiem wbitym w chodnik ruszam w stronę Sienkiewicza.

Na widok przejeżdżającego ulicą radiowozu odwracam głowę, udając, że oglądam coś w witrynie mijanego sklepu, ale gliniarze nawet nie zwalniają – widzę odbicie ich samochodu w szybie.

Przez następną godzinę krążę po ulicach, coraz bardziej marznąc i nie mając pojęcia, co ze sobą zrobić i dokąd pójść. Jedno jest pewne – po tym wszystkim nie mogę już wrócić na poddasze. Wyłączam telefon, wyrzucając sobie w duchu, że zrobiłem to dopiero teraz, i zastanawiam się, któremu z kumpli mógłbym się zwalić na chatę. Niestety kandydatów jest niewielu, a ci, którzy może nawet by mi pomogli, są żonaci i dzieciaci, więc raczej odpadają.

Nagle myślę o Paulinie.

Nie byliśmy razem długo, może ze cztery miesiące, jeszcze chwilę przed tym, jak związałem się z Moniką, ale wiem, że zawsze miała do mnie słabość. Kiedy ją rzuciłem, natykała się ponoć jakichś tabletek, ale ją odratowano, a ja wcisnąłem jej kit, że zawsze będziemy przyjaciółmi, i czasem, dla zabicia wyrzutów sumienia, zapraszam ją na piwo. Tak, Paulina mogła być całkiem niezłą opcją. Mieszkała w wieżowcu, na osiedlu składającym się z kilkunastu takich mrówkowców, więc nikt nie zwróci na mnie uwagi.

Docieram do niej pół godziny później. Otwiera mi w dresie, z maseczką na twarzy, we włosach ma wałki.

– Cześć, piękna! – rzucam w progu, a ona piszczy z radości na mój widok, jakby miała pięć, a nie dwadzieścia dziewięć lat.

– Leon! Jaka niespodzianka!

– Wychodzisz? – pytam.

– Tak, z dziewczynami, ale mogę odwołać. Beze mnie też mogą się zabawić. – Paulina od razu ochoczo zmienia plany, mój widok sprawił, że myśli już tylko o mnie.

Ja nie mam jednak najmniejszej ochoty na jej rozszczebiotane towarzystwo, sugeruję więc, żeby poszła.

– Ale ty...

– Ja na chwilkę tu zostanę, jeśli użyczysz mi swojej sofy.

- Zerwałeś z Kają? – pyta z nadzieją w głosie, a ja zdaję sobie sprawę, że ona nie ma jeszcze o niczym pojęcia...

- Tak – kłamię więc, a ona znowu piszczy.

- Wiedziałam! Wiedziałam, że do siebie nie pasujecie! – wrzeszczy i rzuca mi się na szyję. – Nie masz żadnych rzeczy? – dziwi się po chwili. – Wywalila cię z poddasza? A przecież umowa najmu jest na ciebie, a ona...

- Paula, nie teraz. Dobrze cię widzieć – mówię, a ona zapewnia mnie, że mogę u niej zostać, jak długo chcę, i pyta, czy jestem głodny.

- Jak wilk. – Uśmiecham się, bo teraz, kiedy sprawiedliwości stało się zadość, czuję się w końcu nieco lepiej.

Wypadek Rosnera nie przywróci życia Kai, ale przynajmniej ten, kto ją skrzywdził, dostał za swoje, myślę. Przez chwilę zastanawiam się, czy długo umierał, bo – na moje oko – facet raczej nie miał szans w starciu z miejskim autobusem. Później otrząsam się z ponurych rozważań i rozglądam po mieszkaniu Pauliny. Niewiele się tu zmieniło, ściany w korytarzu nadal zdobi stara pociemniała boazeria, nad drzwiami od łazienki wisi brzydki obraz przedstawiający pasące się na łące łaciate krowy, a z dużego pokoju zajeżdża zatęchłym papierosowym dymem i tanimi kwiatowymi perfumami mojej byłej. Jako kucharz mam wyjątkowo wrażliwy nos, świetnie pamiętam zapachy, które od razu przywołują wspomnienia, i to nie zawsze sympatyczne.

Paula łapie mnie za rękę i ciągnie do niewielkiej, tradycyjnie żenująco zabałaganionej kuchni, paplając coś o swojej pracy w solarium; jej piskliwy szczebiot jest naprawdę irytujący. Przez chwilę wyobrażam sobie, jak zaciskam palce na jej szczupłej szyi i trzymam je tam dotąd, aż jej oczy zajądą mgłą, ale przecież nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego... W całym tym kurewskim świecie akurat ona zawsze była dla mnie dobra...

Po tym jak serwuje mi jajecznicę na boczku, dwie pajdy grubo posmarowanego masłem chleba z kminkiem i malinową herbatę, jeszcze raz namawiam ją, żeby jednak wybrała się z przyjaciółkami na te balety.

- Będę tu na ciebie czekać – obiecuję.

Waha się dość długo, widać, że jest rozdarta, w końcu jednak mówi „okej” i pędzi do łazienki robić się na bóstwo.

Kiedy zostaję w kuchni sam, ukrywam twarz w dłoniach i bezgłośnie szlocham.

Kaja, moja piękna Kaja...

Jak będę bez niej żyć?

Ponad piętnaście lat pracy w policji i mimo to czasem wciąż ciężko mi uwierzyć w to, jak ludzie potrafią kłamać, mataczyć i gmatwać sprawy, myślę, wracając do pokoju przesłuchań po krótkiej przerwie.

Szczepan Janiak, siedzący przede mną czterdziestodwuletni biznesmen, ma najprawdopodobniej coś wspólnego ze śmiercią pracującej jako niania studentki anglistyki, która kilka dni wcześniej w tajemniczych okolicznościach wpadła pod lód, a ja zamierzam wydusić z niego calutką prawdę, choćbym miała tu spędzić ruski miesiąc, myślę.

- To jak to w końcu było? - pytam, kontynuując przesłuchanie, bo instynkt podpowiada mi, że facet zaczyna mięknąć i w końcu pęknie.

A intuicję zawsze miałam niezłą, bez niej nie dochrapałabym się w końcu stopnia nadkomisarza i niedawnego awansu, myślę.

- Zapis z monitoringu wyraźnie wskazuje na to, że pomiędzy szlabanem przy wyjeździe z Forest Hill a rondem, do którego, jadąc samochodem, powinien pan dotrzeć w jakieś dwie, trzy minuty, jest znacznie większa luka czasowa. To pana auto ze wszystkich pojazdów poruszających się po tamtej drodze w interesujących nas ramach czasowych dotarło na pobliskie rondo z dwunastominutowym poślizgiem - mówię. - Zapis z monitoringu kamer przy jednym z banków koło ronda wyraźnie też wskazuje na to, że to pan, a nie kto inny, siedział tamtego dnia za kierownicą, więc proszę nam z łaski swojej nie wciskać kitu, że pożyczył pan komuś samochód - dodaje, a siedzący przede mną Janiak pośpiesznie, wygląda tak, jakby lada moment miał się rozplakać.

Oczywiście na początku kłamał. Był jednym z naszych głównych podejrzanych po tym, jak świadek, który się do nas zgłosił, zeznał, że widział młodą kobietę odpowiadającą rysopisowi niani Rosnerów wsiadającą do czarnej terenówki. Od razu postanowiliśmy gościa przesłuchać, ale najpierw udawał, że nie ma go w domu, i posłał do czekających przy furtce policjantów żonę, później twierdził, że tamtego popołudnia w ogóle nie odwiedzał nikogo w Forest Hill i był po drugiej stronie miasta, w mieszkaniu brata, a w końcu skłamał, że pożyczył auto jednemu z pracowników firmy, której jest właścicielem, co również okazało się nieprawdą.

Jego łgarstwa zaczynają się jednak wykruszać, jedno grubymi nićmi szyte kłamstwo za drugim zostaje obnażone dzięki pracy mojego zespołu śledczego i nowoczesnej technologii. W świecie, w którym kamery są dosłownie wszechobecne, nikt nie będzie mi wmawiał, że nie siedział za kierownicą, podczas gdy siedział!

- Panie Janiak, niech pan zacznie szanować mój czas, bo oprócz zarzutu nieudzielenia pomocy i utrudniania śledztwa znajduję na pana coś jeszcze. Był pan z Kają Jaworską nad jeziorem, to już wiemy. Co się stało dalej? - warczę, a on kuli się w ramionach.

Wygląda mi na dupka, który boi się silnych dojrzałych kobiet, takich jak ja. Idę o zakład, że żonę zdradza z głupiutkimi siksami wyrywany w sieci i w klubach, bo żadna kobieta z klasą nie chce mieć z nim nic wspólnego. Jest bezdyskusyjnie atrakcyjny, ale to tchórz, krętacz i palant – te trzy słowa idealnie oddają charakter przystojniaczka, który przede mną siedzi.

– To przecież był wypadek – skamle Janiak.

Przestał łąć, zorientował się, że każde kolejne kłamstwo wyłącznie go pograża, i w końcu laskawie zaczyna mówić.

– Szła poboczem, zaproponowałem, że ją podrzucę. Zналиśmy się, często odwiedzałem Roberta Borsuka, tamtego popołudnia też podjechałem, żeby się z nim spotkać, ale dosłownie przed wjazdem do Forest Hill zdałem sobie sprawę, że pomyliłem dni. Mielіśmy się zobaczyć dopiero nazajutrz. Zadzwoiłem do niego, ale nie odebrał, więc zaparkowałem przed jego domem i poszedłem do lasu, nad jezioro. To piękne osiedle, pomyślałem, że się przejdę, bolała mnie głowa. Tym razem nikogo tam nie spotkałem, ale kiedy bywało ciepłej, często widywałem tam Kaję przychodziła z tą małą, którą się opiekowała, i zdarzało się nam rozmawiać. Ona chyba myślała, że jestem jednym z mieszkańców osiedla, a ja nie wyprowadzałem jej z błędu. No i po spacerze wsiadłem do auta i ruszyłem w stronę centrum. Szlaban mijam bez przeszkód, jestem na stałej liście gości państwa Borsuków, ochrona zresztą już mnie zna. Wracalem do centrum, kiedy zauważyłem idącą poboczem młodą dziewczynę. Początkowo nawet nie wiedziałem, że to Kaja, ściemniało się, a ona zmieniła kolor włosów, ale kiedy się zatrzymałem, poznałem ją. Wsiadła bez wahania, było miło i pomyślałem, że może spróbuję szczęścia...

– I pomyślał pan, że uśiłowanie gwałtu kilka dni przed świętami będzie takie zabawne? – rzucam przez zęby, bo kogo jak kogo, ale gwałcicieli po prostu nie znoszę.

Janiak lekko się wzdryga, chyba go uraziłam, co w sumie nieco mnie śmieszy. Bandyci, których przesłuchuję, w konfrontacji z nieubłaganymi faktami bywają czasem delikatni niczym panienki z dobrych domów...

– Nie uśiłowałem jej zgwałcić! – rzuca urażonym tonem. – Nie jestem jakimś pierdolonym gwałcicielem! – broni się, czerwieniejąc z emocji. – Zjechałem do lasu, bo myślałem, że jest chętna. To była dość rozrywkowa dziewczyna, sypiała kiedyś z moim znajomym prawnikiem i pomyślałem sobie, że może...

– A skąd pan to wiedział, że sypiała z pana znajomym prawnikiem? – wchodzę mu w słowo.

– No wiedziałem, bo Mariusz często pokazywał mi jej fotki, w połowie zeszłego roku mieli dość krótki, ale intensywny romans. Była wtedy ciemną blondynką, ale poznałem ją od razu. Zresztą kolega ciągle o niej opowiadał. Kaja to, Kaja tamto, gorąca sztuka ponoć z niej była i bardzo zabawowa. A później, jakoś na początku maja tego roku, zupełnie przypadkiem, spacerując nad jeziorem niedaleko domu Roberta Borsuka, zobaczyłem ją nad wodą i od razu rozpoznałem. Zajmowała się dzieckiem, wywnioskowałem, że cudzym. Zagadałem ją, zaczęliśmy rozmawiać, miło się gawędziło, a ona powiedziała, że ma na imię Kaja, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że to właśnie jest była kochanka Mariusza. Później jeszcze kilka razy na siebie wpadaliśmy, ale przyszła zima i przestała tak często przychodzić nad wodę. Zobaczyłem ją dopiero tamtego popołudnia, kiedy szła poboczem, i zaproponowałem,

że podrzucę ją na przystanek. Tak prawdę mówiąc, miałem przy okazji nadzieję zdobyć w końcu jej numer.

- Dobrze, co dalej? - rzucam, nie spuszczać wzroku ze spowiadającego się w męczarniach Szczepana Janiaka, który ze łzami w oczach, wyłamując palce, brnie dalej w najprawdopodobniej najkoszarniejszą historię swojego życia.

- No wsiadła, wiadomo. Ruszyłem, coś tam do niej zagadałem i nagle mnie podkusiło, i zjechałem w las. Ale ja nie chciałem jej zgwałcić, przecież nigdy bym nie... Chciałem się zabawić, Mariusz mówił, że laska była wyjątkowo temperamentna, zawsze chętna. Zaproponowałem trochę figli, położyłem jej dłoń na kolanie, a ona wybiegła z mojego auta i wpadła w histerię. Przeprosiłem. Poważnie, przeprosiłem, powiedziałem jej, że źle oceniłem sytuację i poprosiłem, żeby wsiadła z powrotem. Było zimno, ściemniało się, chciałem podrzucić ją na przystanek, normalnie, po ludzku, bez żadnych numerów z mojej strony, ale ona nie słuchała, zachowywała się tak, jakby coś jej odważyło. Wbiegła głębiej w las, totalnie spanikowana, chociaż nawet jej nie goniłem. Krzyknąłem, że jest za zimno na takie wygłupy, a później przypomniałem sobie, że któregoś dnia, latem, spacerowaliśmy tu z Robertem i gdzieś tam było jezioro. Wrzasnąłem, żeby uważała, i dosłownie kilka sekund później wpadła pod lód...

- A pan stał i się temu przyglądał? - rzucam oschle.

- No nie, ja... No stałem, ale co mogłem zrobić? Poszedłem w głąb lasu po kij i wróciłem na lód, ale zaczął pode mną pękać, więc się wycofałem. Nie umiem pływać, bałem się... Ona i tak była już pod taflą, w lodowato zimnej wodzie. Mój telefon został w domu, ładował się. Wyskoczyłem wtedy do Roberta tylko na godzinkę, góra półtorej, miałem zaraz wracać. Żona chciała, żebym jej pomógł w porządkach i zakupach, wiadomo, jak to przed świętami. - Janiak chrząka, wyraźnie zażenowany faktem, że zabrzmiał jak rasowy pantoflarz, i posyła mi błagalne spojrzenie. - Pani nadkomisarz, ja przecież niczego złego nie zrobiłem - rzuca płaczącym głosem, od którego mnie mdli. - Ona sama tam wpadła, wypadki się przecież zdarzają. Ja tylko...

- Dobrze, dziękuję. Na tym na razie zakończymy - mówię, wstając zza stołu, po czym oficjalnie kończę przesłuchanie.

Dostałam, czego chciałam. Resztą niech się martwi prokuratura, myślę, opuszczając pokój przesłuchań.

- Do następnego - rzucam, kiwając głową na pożegnanie, a siedząca przy stole prokurator oraz prawnik Szczepana Janiaka, rudawy koleś w moim wieku z paskudną wadą zgryzu i ładnymi piwnymi oczami, równocześnie rzucają: „Do widzenia”.

Wieczorem, po tym jak robię zakupy zaziębionej mamie i odbieram z pralni wąską krwistoczerwoną kieckę, w której zamierzam spędzić sylwestra, zabieram z mieszkania psa i jadę z nim nad jezioro, w miejsce, gdzie zginęła niania Rosnerów.

Kiedy docieramy w okolice Forest Hill (zawsze złośliwie się uśmiecham, kiedy słyszę tę sztucznie brzmiącą jak na polskie warunki nazwę), zapada zmrok, zupełnie jak tamtego popołudnia, kiedy Kaja zginęła. Parkuję przy jednym z drzew i wysiadam, później otwieram drzwi opla mojemu wilczurowi, którego, ze względu na bliskość jeziora, od razu biorę na

smycz. Naderwana policyjna taśma powiewa na wietrze, nad samą wodą okoliczni mieszkańcy zostawili kwiaty, kilka maskotek i kilkanaście zniczy, z których żaden już nie płonie...

Cóż, pamięć ludzka jest ulotna...

Przez dłuższą chwilę patrzę na jezioro, oddycham czystym leśnym powietrzem. Kruchość życia mnie przeraża, ale też fascynuje. Myśląc o niej, doceniam każdy dzień, każdy smak, zapach, promień słońca na skórze. Praca w policji niszczy emocjonalnie, ale jednocześnie w pewien sposób wzbogaca. Oglądając tragedie innych, docenia się to wszystko, co samemu się ma.

Joker urywanie szczeka. Głaszczę go po głowie, drapię za uchem.

- Dobry pies - mówię, wyjmując z kieszeni psie ciasteczko. - Dobrze, kochane psisko.

Nasz spacer jest krótki - idziemy w wzdłuż jeziora i wchodzimy nieco głębiej w las. Pod jednym z drzew widzę drobne kobiece ślady stóp - ktokolwiek to był, zapadł się głęboko w śnieg, stojąc w miejscu, z którego mógł widzieć wszystko, co zaszło. W sumie jednak ślady w głębokim śniegu mógł zostawić ktoś zupełnie inny, o innej porze, zresztą jakie to miało znaczenie. Szczepan Janiak się przyznał, sprawa rozwiązana.

Wracając do samochodu, myślę, że bardzo żał mi Kai. Jej sprawa szczególnie mnie poruszyła, może dlatego, że zginęła w tak potwornie bezsensowny sposób. Gdyby nie uciekł jej autobus, gdyby nie wsiadła do tego samochodu, gdyby...

W domu robię sobie gorącą kąpiel, ponad pół godziny moczę się w pachnącej wanilią wodzie, w końcu w ulubionym frotowym szlafroku i grubych skarpetkach we wzór w koty siadam w fotelu z najnowszą książką Eleny Ferrante w rękę. Kusi mnie, żeby nalać sobie wina, ale ostatnio ograniczam alkohol - za dobrze wiem, jak potrafi zniszczyć człowieka. Joker kładzie mi łeb na kolanach, głaszczę go i na chwilę odkładam lekturę.

Wilczur należał do mojego byłego męża, to Olek cztery lata temu przygarnął go ze schroniska, ale kiedy się rozstawiliśmy, Aleksander powiedział, że zostawia go mnie. „Żeby cię pilnował, kiedy mnie nie będzie”, jak to ujął. Czasem myślę, że zbyt słabo o nasz związek walczyłam, zbyt szybko pozwoliłam mężowi odejść. Ale czy można zatrzymać kogoś na siłę?

Sięgam po pilota i włączam telewizor, chcąc obejrzeć lokalne wiadomości, i tak jak się spodziewałam, media nadal wałkują sprawę Kai, którą okrzyknięto „nianią z Forest Hill”. Przez chwilę oglądam, a na ekranie plazmy, ostatniego prezentu od Olka, pojawia się ujęty z drona rząd zadbanych rezydencji, a w końcu znajomo wyglądający las i zaśnieżona tafla jeziora, pod którą wpadła Kaja. Dziennikarka - młoda, ruda i wygadana dziewczucha w ciemnoróżowym płaszczu i owiniętym wokół szyi kwiecistym szalu - nawija o toczącym się śledztwie i kolejnej tragedii Rosnerów, która może być powiązana ze sprawą śmierci Kai - jak wiem już od jakichś kilkunastu godzin, Leon, chłopak zmarłej niani, wepchnął Piotra Rosnera pod nadjeżdżający autobus i zbiegł z miejsca zdarzenia, do tej pory pozostając nieuchwytny. Przez dłuższą chwilę słucham relacji rudej dziennikarki, później wyłączam telewizor i idę do kuchni, żeby zrobić sobie kanapkę. Jedząc, myślę już wyłącznie o spektaklu w teatrze muzycznym, na który zamierzam się wybrać z przyjaciółką. Sprawy, które prowadzę, odbierają mi wiele mojego prywatnego czasu, spędzają mi sen z powiek i na długo goszczą w mojej głowie, ale czasem trzeba się od tego wszystkiego odciąć, dać sobie przestrzeń dla siebie i własnego życia, uznaję.

Po namyśle wyjmuję z kredensu kieliszek i nalewam sobie wina. Smakuje wybornie, podobnie jak kilka ostatnich, oblanych lukrem pierniczków, które zostały ze świąt.

Szpitala przerażają mnie od dziecka, samo światło w klaustrofobicznie wąskich korytarzach wydaje się upiorne, jak w prosektorium. Siedzę na krześle w pobliżu wejścia na OIOM, zaciskając palce na styropianowym kubku, w którym nie ma już ani kropli kawy. Młody jasnowłosy lekarz w chirurgicznym uniformie, z którym przed chwilą rozmawiałam, usiłował mi w miarę przystępnie wyjaśnić stan Piotra, ale tuż po tym, jak zaczął mówić o urazie twarzoczaszki, prawie zasłabłam.

Nie chcę tu być.

To się nie dzieje naprawdę, myślę, nerwowo skubiąc zamszowy frędzel torebki.

Mój mąż przeżył bliskie spotkanie z miejskim autobusem i podobno jest stabilny. Wszyscy wokół powtarzają mi, że miał nieprawdopodobnie wiele szczęścia – według świadków kierowca autobusu zwolnił już w momencie, kiedy zobaczył dwóch kłócących się mężczyzn stojących na samym skraju chodnika, dzięki czemu Piotr „tylko” odbił się od maski pojazdu, ale nie wpadł pod jego koła. Szczęście w nieszczęściu, jak to określił rozmawiający ze mną przed kilkoma godzinami starszy wąsaty policjant.

Obok mnie siedzą dzieci. Daniel jest bardzo blady, milczący i chyba wściekły na cały świat, Ninka wygląda na senną i zmęczoną, wierci się na niewygodnym plastikowym krześle, wydaje się gdzieś na granicy łez. Biorę ją na kolana, całuję w czubek główki, szepczę jej na ucho, że wszystko będzie dobrze. Znajomy zapach jej włosów przynosi mi nadzieję, to właśnie dla tej dwójki muszę odnaleźć w sobie siłę.

Dla dzieciaków i dla Piotra.

Tuląc Ninke, dziękuję w duchu prowadzącemu miejski autobus młodemu ponoć chłopakowi, który okazał się na tyle uważnym kierowcą i obserwatorem ulicy, żeby w porę dostrzec potencjalne zagrożenie. A może zadziałała jakaś siła wyższa, coś mu podszeptało, żeby zwolnić? – przechodzi mi przez myśl. Lubię myśleć, że opiekują się nami anioły. Być może to właśnie jeden z nich był dziś przy moim mężu.

Dochodzi dwudziesta pierwsza, kiedy w poczekalni zjawia się moja przyjaciółka Patrycja.

– Kochana, przepraszam cię, ale nie mogłam przyjechać wcześniej – tłumaczy się, kiedy do nas podchodzi.

Na jej widok wybucham płaczem, nie umiem już powstrzymywać łez, a ona długo mnie do siebie tuli.

– Przyniosłam wam kanapki, tkwicie tu już ładnych kilka godzin, pewnie na samych batonach z automatu albo o głodzie – mówi, kiedy już siadamy na krzesłach, i wręcza mi trzy opakowane w srebrną folię bułki, ale z naszej trójki zainteresowany poczęstunkiem okazuje się tylko Daniel, który ostatnio ciągle jest głodny, jak to nastoletni chłopiec.

- Dzięki. - Uśmiecham się blade, wręczając jej klucze od domu. - Uprzedziłam już ochronę, że dziś ty przywieziesz dzieci i zostaniesz u mnie na noc - mówię, a Patrycja zakłada mi za ucho kosmyk włosów i łapie mnie za rękę.

- Wiesz o tym, że wszystko będzie dobrze, prawda? - pociesza mnie.

- Jasne - mówię i w końcu pozwalam sobie na cień nadziei.

Młody chirurg powiedział, że operacja Piotra się udała. Zmniejsza się również obrzęk mózgu, a blizną po rozcięciu na policzku mojego męża zajmie się medycyna estetyczna, kiedy tylko Piotr wydobrzeje na tyle, żeby pomyśleć o wyglądzie. Na myśl o tym, że mąż samotnie leży na OIOM-ie, otoczony wszystkimi tymi pikającymi urządzeniami, rurkami i monitorami, wbijam paznokcie w skórę. Tak bardzo chciałam go przytulić, ale pozwolono mi tylko na krótką, kilkuminutową wizytę.

- Mamusiu, czemu nie wracasz z nami do domu? - Usteczka Ninki wyginają się w podkówkę i dziewczynka zaczyna płakać.

- Bo tatuś jest chory i chcę przy nim być. Wróćcie z ciocią Patrycją, dobrze? - Przytulam ją, gładzę drobne ramionka, ocieram łzy.

Daniel milczy. Zjadł pół bułki, drugie pół porzucił na jednym z wolnych krzeseł. Wygląda tak posępnie, że mam ochotę wyć z bezsilności. Jest znacznie starszy od Ninki, więcej w życiu przeżył. On, w przeciwieństwie do młodszej siostrzyczki, musi pamiętać odejście ich matki. A teraz nie wie, co będzie z ojcem... Lekarze są raczej dobrej myśli, ale jego to chyba nie pociesza. On widzi tylko jasne światło świetlówek, szpitalne korytarze i zamknięte drzwi na OIOM, gdzie w pewnym sensie „uwięziono” jego tatę.

- Daga? - zwraca się do mnie. - Będzie dobrze, prawda? - pyta cicho.

- Będzie dobrze - obiecuję, a on robi coś, czego nie robił od bardzo dawna. Przytula mnie.

Kiedy go obejmuję, myślę o tym, że - mimo upiornych okoliczności - jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa. Zrobiłabym dla nich wszystko - dla Piotra i jego dzieci. Naszych dzieci.

Kiedy wychodzą - Nina, trzymając Patrycję za rękę, z ulubionym pluszowym jednorożcem w dłoni, i Daniel, idący kilka kroków za nimi ze zwieszoną głową i zgarbionymi plecami - idę do łazienki, gdzie przez dłuższą chwilę płaczę. Później zmywam makijaż znalezionymi w kosmetyczce chusteczkami do demakijażu, bo od tuszu i łez szczypią mnie oczy, i spinam włosy w kucyk. Zamierzam spać w szpitalu, dziś, jutro, ile będzie trzeba. Nie potrafiłabym wrócić do domu, wiedząc, że Piotr został sam w tym okropnym, pełnym cierpienia budynku.

Noc spędzam, w nieskończoność krążąc po korytarzach, leżąc na sofie przy recepcji piętro niżej i spacerując wokół kliniki - przed budynkiem jest ładny, zadbany ogród, a ja, mimo mrozu i prószonego śniegu, doceniam możliwość oddychania świeżym powietrzem; wszechobecny w szpitalu zapasek środków antyseptycznych drażni mi nozdrza, zdaje się wwiercać w czaszkę. Lekarze mają mój numer, gdyby cokolwiek się działo, będą dzwonić.

Nad ranem w szpitalnym korytarzu pojawia się moja mama - przyjechała prosto z lotniska, a jej widok sprawia, że znowu kompletnie się rozsypuję.

- Już jesteś? - dziwię się, bo przecież wiem, że musiała sobie zorganizować lot ze Sztokholmu, w którym od kilku lat mieszka, a później jeszcze dojechać do kliniki.

- Jestem - mówi, odgarniając mi włosy z twarzy, ten uparty kosmyk, który zawsze wysuwa się z kucyka.

Później siadamy przy jednym ze stolików nieczynnej o tej porze szpitalnej kafeterii, której panoramiczne okna wychodzą na zaśniężony ogród, a mama pyta, co z Piotrem.

Streszczam jej więc to, co jak dotąd usłyszałam od lekarzy, a ona zaciska palce na mojej dłoni i mówi to, co wszyscy inni - miał dużo szczęścia.

- Dobrze wyglądasz. - Uśmiecham się.

Kilka miesięcy temu zafarbowała się na jasny blond, porzucając siwiznę, której, prawdę mówiąc, nie znosiłam, i znacznie schudła. Zmieniła też styl - zamiast garsonek, które wyglądały, jakby dzieliła szafę z Angelą Merkel, i bardzo ją postarzały, nosi teraz legginsy, długie swetry albo kolorowe sukienki w stylu boho.

- Dzięki - mówi, po czym pyta, co u dzieci. - Ninka tak szybko rośnie, a ja widuję ją tylko na zdjęciach. A z Daniela to już prawdziwy kawaler. - Uśmiecha się.

- Dobrze. Są w domu z moją przyjaciółką.

- Ty też powinnaś tam jechać. Przespać się, wziąć prysznic - sugeruje mama.

- Nie wiem, czy...

- Jedź, ja tu zostanę. Gdyby coś się działo, będę dzwonić.

- Dobrze - zgadzam się, bo nie ma jeszcze piątej rano, a ja marzę choćby o dwóch godzinach snu i odświeżeniu się. Boję się, że lada moment po prostu padnę na twarz i już się nie podniosę.

- Policja złapała tego, kto to zrobił? - pyta mama. - Co tak właściwie się stało?

- To Leon, chłopak naszej niani. Nie wiem, co się stało, najprawdopodobniej uroił sobie, że Piotr miał coś wspólnego z jej śmiercią. Mówiłam ci o tym, więc wiesz, jaka to tragedia. Piotr był wczoraj w restauracji ze swoją chrześnicą. Zjedli coś na szybko, bo oboje mieli jeszcze parę spraw na mieście, a kiedy wyszedł z lokalu, Leon za nim poszedł i wepchnął go pod autobus, więc musiał go śledzić już wcześniej. Tyle na razie wiem.

- Przerażające, jak bardzo są zaburzeni niektórzy ludzie. - Wyraźnie zszokowana mama lekko się wzdryga i gładzi mnie po ręce. - Jedź do domu, córciu. Sprawdź, co u dzieci, odśwież się. Ja tu posiedzę - mówi.

- Dobrze, podjadę tam. Być może Ninka będzie chciała zobaczyć znajomą twarz, kiedy się obudzi, a przy okazji zadzwonię po Andżelikę i pozwolę odsapnąć Patrycji. Nocą pewnie nie zmrużyła oka. Obcy dom, obce dzieci... Dzwoni, gdyby coś się działo. Bezwzględnie, okej? - proszę mamę, zanim cmokam ją w policzek, w pośpiechu wkładam płaszcz i wychodzę przed budynek szpitala, z ulgą wdychając mroźne zimowe powietrze.

W drodze do samochodu myślę o Leonie. Okazałam mu tyle serca, a on w ten sposób mi odplacił. Co takiego zrobił mu Piotr, że postanowił wepchnąć go pod nadjeżdżający autobus? Jaki człowiek robi takie rzeczy? Co w ogóle strzeliło mu do łba, żeby śledzić Piotra?

W domu jest cicho. Wchodzę do środka na palcach, żeby nikogo nie obudzić, i ściagam kurtkę. Patrycja śpi na sofie w salonie, chociaż przecież mówiłam jej, żeby położyła się w jednej z gościnnych sypialni. Dzieci są u siebie, na górze - o tej porze oboje jeszcze śpią, co sprawdzam niemal od razu po wejściu na piętro. Później cicho zamykam drzwi od ich pokojów

i schodzę na dół, do gościnnej łazienki, w której biorę szybki, chłodny prysznic. Po nim kładę się w naszej sypialni, po tej stronie łóżka, po której zazwyczaj sypia Piotr, i wdycham zapach pachnącej mężem poduszki tak długo, aż odpływam w sen.

Budzę się kilka minut po ósmej, z lekkim bólem głowy, półprzytomna ze zmęczenia, ale przez jedną krótką chwilę nie pamiętam tego, co się wydarzyło. Prawda szybko jednak do mnie dociera, a pod powiekami wzbierają mi łzy.

Na dole Patrycja przygotowuje śniadanie dla dzieciaków, w tle cichutko gra radio.

- Cześć. - Uśmiecham się do niej, a później całuję dzieci, nawet Daniela, który zazwyczaj nie cierpi tego typu czułości, ale tym razem dzielnie je znosi.

- Co u Piotra? - pyta moja przyjaciółka, dosłownie sekundę po tym, jak o stan ojca dopytuje się Daniel.

- Mama właśnie mi napisała, że bez zmian - mówię, a ona pyta, czy chcę kawy.

- No ba! - Uśmiecham się, siadając na hokerze.

- Wzięłam wolny dzień, zajmę się wami. - Patrycja wyciąga z lodówki mleczko i podaje Danielowi jogurt, o który prosił.

- Dziękuję. Nie będę musiała ściągać tu niani.

- Czekaj, myślałam, że wasza niania... - zaczyna Patrycja, ale szybko milknie i spogląda na siedzącą przy stole Ninę.

- Jest w Londynie! - kończy za nią nasza rezolutna pięcioletka, a ja lekko wzruszam ramionami.

- Czasem trzeba skłamać - mówię po niemiecku, bo tak się akurat składa, że obie z Patrycją dość dobrze znamy ten język, za to dzieciaki wcale.

Przyjaciółka chce coś powiedzieć, ale w tym samym momencie dzwoni moja komórka, a ja dosłownie rzucam się na telefon, pewna, że to ze szpitala.

Ale to tylko sąsiadka.

- Karolina, nie mogę teraz za bardzo rozmawiać - zaczynam, ale ona mówi, że to ważne.

- Nie zajmę ci wiele czasu, chciałam ci tylko coś powiedzieć. Mogę wpaść?

- Teraz? - dziwię się, bo jej nachalność wydaje mi się nietypowa.

- Tak, teraz. Na chwilkę, obiecuję.

- Dobrze, skoro to pilne...

Sąsiadka zjawia się po kilku minutach. Jest blada i roztrzęsiona, wygląda tak, jakby przez całą noc nie zmrzyła oka.

- Coś się stało? - pytam, wpuszczając ją do środka, a ona zdejmuje zaśnieżone buty, ciska na fotel przy drzwiach swój płaszcz i zaczyna płakać. - Karola, co się dzieje?

- To wszystko moja wina - szepcze, kiedy siadamy na sofie w salonie.

Przed kilkoma minutami Ninka zapaliła choinkowe światełka, ale nawet mimo tego atmosfera w dużym pokoju jest dość ponura.

- O czym ty mówisz? - pytam.

Wtedy ona zdradza mi to, co przez ostatnie dni przed nami tała. Mówi o tym, że widziała śmierć Kai i od początku wiedziała, kto był z nią w lesie, a ja z niedowierzaniem kręcę głową.

- Gdybyś powiedziała policji prawdę, Leon nie ubzduralby sobie, że Kaję skrzywdził mój Piotr – uświadamiam jej, a ona pociąga nosem i szepcze: „Wiem, przepraszam...”.
- Czemu tak właściwie chroniłaś tego mężczyznę? Policja i tak już go znalazła, media podały, że został tymczasowo aresztowany. To jakaś wasza dalsza rodzina?
- Najlepszy przyjaciel Roberta.
- I dlatego postanowiłaś ukryć przed policją coś tak ważnego? Groził ci? Zobaczył cię wtedy w lesie i zaczął...
- Miał zainwestować w naszą firmę – wyrzuca z siebie Karolina. – Okrągły milion złotych. W przeciwnym wypadku nie przetrwalibyśmy. To znaczy i tak nie przetrwamy, bo on jest w areszcie, zresztą nawet gdyby go wypuścili, po tym, co się stało, nie chcielibyśmy już mieć z nim nic wspólnego... Przyszłam cię prosić o wybaczenie, chociaż zrozumieć, jeśli nie będziesz umiała tego zrobić... Byłam egoistką, myślałam tylko o sobie, może dlatego, że od jakiegoś czasu finansowo dosłownie toniemy. Kupno tej rezydencji było ostatnim gwoździem do trumny... To mój Robert uparł się na to osiedle, chcąc ulokować w tej nieruchomości nasze ostatnie oszczędności. Upierał się, że jakoś sobie poradzimy, kombinował, wierzył, że zastrzyk gotówki, którą właduje w nasz biznes Szczepan, postawi nas na nogi, że firma znowu będzie przynosić takie kolosalne zyski jak kiedyś. W styczniu mieli ze Szczepanem podpisywać papiery, wszystko było dopięte na ostatni guzik. Dlatego właśnie, kiedy zobaczyłam go w tamtym lesie, nie powiedziałam nikomu ani słowa...
- Brałaś udział w poszukiwaniach – przypominam sobie, a ona znowu zaczyna płakać.
- I nawet nie wiesz, jak fatalnie się z tym czułam... W każdym razie dosłownie na dniach wystawiamy na sprzedaż nasz dom. Robert usiłuje jeszcze cokolwiek ratować, ale nie wiem, jak to się skończy, a ja...
- A ty oszukałaś wszystkich, którzy ci ufali! Miałam cię za przyjaciółkę! Wiesz, w jakim stanie jest Piotr? Leży na OIMO-ie z urazem twarzoczaszki, złamaną ręką i połamanymi żebrami! Twoje kłamstwa prawie zabiły mojego męża! – podnoszę głos.
- Nie mogłam przewidzieć, jak to wszystko się skończy – szepcze Karolina. – Kto by pomyślał, że chłopakowi Kai tak odbije?
- Gdybyś nie kłamała, nie obiłoby mu! – zarzucam jej.
- Nie chciałam tego, Dagmara, nie rozumiesz?! Spanikowałam i podjęłam złą decyzję, której teraz żałuję. Wiesz, jaka byłam przerażona tamtego popołudnia w lesie?! Widziałam jej śmierć i znałam tajemnicę Szczepana. Bałam się o męża, o przyszłość, o siebie, o naszą córkę... Kaja już i tak nie żyła, a my...
- A Ilona? – wchodzę jej w słowo. – Może, gdyby od razu zostało wyjaśnione, co się przytrafiło Kai, ona by nie zginęła?
- A co wspólnego ma z tym Ilona? – Karolina wygląda na szczerze zdziwioną.
- Było nerwowo, wszystkim puszczały hamulce. Może gdyby sprawa wyjaśniła się wcześniej, nie wypłaboby tyle tamtego wieczora...
- Wiesz co? Nie powinnam tu przychodzić. – Sąsiadka wstaje z sofy i wyciąga w moją stronę upierścieniony palec. – Chciałam, żebyś wiedziała, że mi przykro, a ty traktujesz mnie tak, jakbym zabiła Kaję, Ilonę i ...

- Czasem „przykro mi” nie wystarczy. Podejrzewałam własnego męża, o czym ci zresztą mówiłam! Przeszukałam bagażnik jego wozu, do kurwy nędzy, a ty siedziałaś naprzeciwko mnie, znając prawdę, i nawet okiem nie mrugnęłaś?!

- Nie miałam wyjścia. W takich sytuacjach każdy w pierwszej kolejności chroni siebie i swoją rodzinę. Bałam się rozmów z policją, wściekłości Roberta, który tak bardzo potrzebował wsparcia Szczepana, wreszcie bałam się jego samego. Nie miałam pojęcia, jak by zareagował, gdybym...

- Tragicznie zginęła młoda dziewczyna, a ty po prostu milczałaś! I wybaczone, ale nie masz nic na swoje usprawiedliwienie!

- Ona była stracona w momencie, w którym zapadł się pod nią lód. Ja chciałam myśleć o sobie. Musiałam. Może w to nie wierzysz, ale naprawdę mi przykro. Gdybyś chciała kiedyś...

- Wyjdź stąd - proszę, przerywając jej w pół zdania. - Wyjdź i więcej nie wracaj.

- Dobrze - mówi Karolina łamiącym się głosem, z oczami pełnymi łez. - Ale pamiętaj, że ty na moim miejscu zrobiłabyś dokładnie to samo - dodaje, po czym bez słowa pożegnania rusza w stronę holu, gdzie w pośpiechu wkłada buty i kurtkę, i wychodzi na mróz.

Kiedy zamykam za nią drzwi, opieram się o nie plecami i przyzymkam oczy.

Ludzie...

Wierzmy, że są nam bliscy, uważamy ich za przyjaciół, a później się okazuje, jak bardzo byliśmy naiwni. Wszyscy mają swoje sekrety, nikomu tak do końca nie można ufać.

Kiedy się tu wprowadziliśmy, to Karolina była jedną z pierwszych sąsiadek, z którymi się zaprzyjaźniłam. Odwiedzałyśmy się w weekendy, wymieniałyśmy przepisami, czasem razem biegałyśmy. Ufałam jej. Jak się okazało, bardzo niesłusznie...

Mama dzwoni, kiedy płacze, zamknięta w łazience.

- Cześć, córciu. U Piotra wszystko w porządku, pyta o ciebie - mówi, a z moich ust wyrывa się westchnienie ulgi.

Tak bardzo go kocham, myślę. I mam nadzieję, że kiedyś wybaczy mi tamtą koszmarną rozmowę w Wigilię, wszystkie moje podejrzenia i te nasze pierwsze święta w nowym domu, które zepsułam.

W drodze do szpitala przypominam sobie słowa Karoliny o tym, że w skrajnych sytuacjach każdy przede wszystkim broni swoich bliskich, a później tę noc, kiedy przeszukując samochód Piotra, myślałam, że jeśli zrobił coś Kai, będę go chronić przed policją, bo za wszelką cenę trzeba ratować rodzinę. Dociera do mnie, że Karolina miała rację. Mimo że ciężko mi się do tego przyznać, nawet przed samą sobą, czuję, że na jej miejscu zrobiłabym to samo...

24

LEON

Paulina wraca do mieszkania w środku nocy, mocno pijana.

- Czekaleś na mnie, Leoś? – szepcze, kładąc się obok mnie na sofie, i wtula się w moje plecy.

Cóż... Czułem, że będzie chciała się do mnie dobrać, od razu to przewidziałem.

- Przestań – proszę, kiedy zaczyna mnie całować po szyi.

- Wciąż kochasz Kaję? – pyta cicho, jej palce wślizgują się pod moją koszulkę, gładzą mój tors. – Przecież już nawet nie jesteście...

- Zamknij się! – warczę, po czym naprawdę chamsko się od niej opędzam, odwracając głowę, kiedy jeszcze raz usiłuje mnie pocałować, tym razem w usta.

- Myślałam, że do mnie wróciłeś – mówi cicho tym swoim płaczącym tonem skrzywdzonej dziewczynki, którego tak nie znosiłem, kiedy byliśmy razem.

- To źle myślałaś – burczę.

Paulina zaczyna płakać, szlocha tak, jakby właśnie ktoś wybił jej pół rodziny i w dodatku zaszlachtował psa.

- Przestań, wiesz, że nie znoszę hysterii – rzucam przez zęby, ale to nie pomaga, wręcz przeciwnie, dziewczyna lka jeszcze głośniejsze, kompletnie jej odbiło.

Siadam na sofie, przeczesuję włosy palcami i gorączkowo zastanawiam się nad tym, co powinienem teraz zrobić i dokąd pójść. W pokoju jest ciemno, zapach jej perfum miesza się z potem i wyraźną wonią alkoholu w jej oddechu.

- Leon, ja poważnie chcę porozmawiać – odzywa się Paula, ale szybko ją gaszę.

- Błagam, po prostu przejdź do swojej sypialni i idź spać – proszę ją raczej mało sympatycznym tonem.

Jestem wściekły, zmęczony i znowu głodny – przez ostatnie dni niemal nic nie jadłem i w końcu mój organizm uzmysłowił sobie, jak niewielką ilość kalorii mu zapewniałem.

- Nie chcę iść spać. Myślałam, że...

Nie pozwalam jej dokończyć.

Wstaję, strącając jej dłoń z mojego ramienia, a później ruszam w stronę frontowych drzwi.

- To był błąd, wybacz – mówię, zanim się pochylam, żeby włożyć buty.

- Wychodzisz? – Teraz w jej głosie wyłapuję nieprzyjemnie piskliwe tony.

- A na co ci to wygląda? – pytam.

- Zrobiłam coś nie tak?

Tak, kurwa, oddychasz – myślę, sięgając po kurtkę.

Wychodzę bez słowa pożegnania, trudno, u niej jestem już spalony. Spałem w tych ciuchach, które mam na sobie, nie musiałem nawet się przebierać.

Moja była panna wybiega za mną na klatkę, tak jak stoi, bosa, w koszuli nocnej.

- Leoś, wracaj - prosi i łapie mnie za rękaw, a mnie przypomina się starszy facet, który tym samym gestem usiłował mnie zatrzymać po tym, jak wepchnąłem Rosnera pod autobus, i mocno ją odpycham.

Uderza się ramieniem o ścianę, pociąga nosem.

- Nie znałam cię takiego - chlipie.

- No to jest nas dwoje - rzucam złośliwym tonem i nie czekając, aż cokolwiek mi odpowie, zbiegam na dół.

Przed jej blokiem wyjmuję z kieszeni telefon. Poziom baterii trzydzieści dwa procent, ładowarka została na poddaszu, tam, gdzie z całą pewnością nie mogę wrócić...

Wyłączam komórkę i pieszo ruszam w stronę najbliższej ulicy. Idąc wąskim chodnikiem pomiędzy jej blokiem a parkingiem, mijam ciemne okna, za którymi śpią ludzie, i zastanawiam się, co dalej. Moje życie się skończyło, to dla mnie pewne. Nagle przestaje być ważne wszystko to, o czym do niedawna marzyłem - własna knajpa, podróże, kupno mieszkania, nic się nie liczy. Wraz z odejściem Kai straciłem wszystko.

Do rana szwendam się po mieście, zastanawiając się, co ze sobą zrobić... Nie mam wątpliwości co do tego, że jestem już poszukiwany przez tak zwane organy ścigania, a psiarnia robi wszystko, żeby mnie zatrzymać, ale wmieszany w tłum, na jednej z głównych ulic, mimo wszystko czuję się w miarę bezpiecznie. Na głowie mam czapkę, którą nasunąłem niemal na oczy, ręce w kieszeni, wzrok wbity w chodnik. Jest mi zimno. Rozgrzewam się w otwartym niedawno urzędzie, do którego na chwilę zachodzę, później w prywatnej księgarni i publicznej toalecie w parku, niestety temperatura w tej ostatniej raczej nie rozpieszcza, wręcz przeciwnie - w kiblu jest lodowato.

Jestem na Wybickiego, kiedy myślę o ojcu i coś ściska mnie za gardło. Może gdyby nie zostawił mamy, nigdy nie związałby się z Kają, a ja nie miałbym do niego żalu? Byłby normalnym ojcem, a nie kolesiem, z którym muszę rywalizować o ukochaną kobietę, nawet jeśli obecnie wyłącznie w myślach i wspomnieniach... Nie odbiłoby mi, nie wepchnąłbym Rosnera pod autobus. Kiedy o tym myślę, robi mi się niedobrze - dopiero teraz, tyle godzin od jego wypadku, zdaję sobie sprawę z tego, co własnoręcznie zrobiłem. Dociera do mnie waga tego, co się stało. Nie wiem nawet, czy przeżył, bałem się wejść do sieci i poszukać wiadomości o incydencie na Malborskiej. Bałem się, że zobaczę tam swoją twarz i wiadomość, że poszukuje mnie policja.

- Kurwa mać - mamroczę, kręcąc się bez celu po niewielkim skwerku przed teatrem.

- Pan da dyszkę, kierownikowi - zaczepia mnie przechodzący obok starszy brodaty żul, ale spławiam go krótkim i pogardliwym: „Spieprzaj, dziadu”.

Później siadam na ławce, ukrywam twarz w dłoniach i szlocham. Przez chwilę mam ochotę zadzwonić do Dagmary Rosner, żeby ją za wszystko przerosić i zapytać o stan jej męża, ale szybko dociera do mnie, jak chore by to było, i daję sobie spokój.

W końcu nogi niemal same niosą mnie do mieszkania ojca. Klucze dał mi lata temu, kiedy odszedł do innej kobiety i kupił mieszkanie w kamienicy w centrum. Nigdy z nich nie skorzystałem, zostały mi zresztą przekazane przez matkę, ale nadal noszę je przypięte do

breloczka z innymi. Wiem, że o tej porze nie powinno go już być w domu, znając jego zwyczaje, jedzie właśnie do sądu lub siedzi w swoim gabinecie.

Wielki P, tak nazywałem go w liceum. Pan prokurator i jego popierdolony syn – kryminalista – parskam śmiechem, wchodząc do kamienicy, w której od lat mieszka, niedaleko parku, budynku sądu i zakładu medycyny sądowej, więc można powiedzieć wszędzie ma blisko.

Tak jak przewidywałem, w mieszkaniu ojca jest pusto. Na klatce również nikogo nie spotykam, więc otwieram oba zamki w masywnych drzwiach z ciemnego drewna i bez przeszkód ładuję się do środka, gdzie biorę prysznic, robię sobie herbatę, a później, przebrany w jeden z jego sportowych dresów, kładę się na starannie zaścielonym łóżku ojca i zasypiam. Budzi mnie ujadanie psa na klatce, dźwięk przeraźliwie niesie się po budynku, wyrwa mnie ze snu. W pierwszej chwili nie wiem, gdzie jestem, dopiero po paru sekundach przypominam sobie, że u starszego.

Pies nadal ujada, podejrzewam, że należy do jakiejś leciwej baby, bo zza wejściowych drzwi słychać piskliwym starczym głosem rzuconą komendę: „Spokój, Alfredzik!”.

Przykrywam głowę wygrzebaną spod narzuty poduszką, nagle czuję się śmiertelnie zmęczony. Chwilę później znowu zasypiam i śpię przez siedem godzin z rzędu.

Kiedy się budzę, chce mi się pić, szczać i jeść.

W mieszkaniu panuje głucha cisza. Wielki P zapewne jeszcze ślęczy nad jakimiś aktami, ewentualnie uczestniczy w wizji lokalnej bądź pije z kumplami – w biurze prokuratora czy wśród zaprzyjaźnionych sędziów i gliniarzy zawsze znajdzie się chętny do wychylenia paru kieliszków po pracy, myślę. Przechodzę do kuchni i rozglądam się po utrzymanym w beżowo-czarnych tonacjach pomieszczeniu. Sterylnie, jak podejrzewałem. Ojciec zawsze był pedantem, czym doprowadzał do szału mamę, bałaganiarę najlepiej odpoczywającą i pracującą w lekkim chaosie.

W lodówce znajdują kilka szafirowo-złoty puszek znanego norweskiego piwa, otwieram jedną z nich i sięgam po kabanosy. Jedząc wolno, przepijam kielbaski piwem, później robię sobie jeszcze kanapkę z serem, którą zdobię nieco przywiedłym liściem sałaty, i w końcu czuję się przyjemnie nasycony.

Po wyjściu z kuchni, głównie dla zabicia czasu, szwendam się po mieszkaniu starego – sypialnię już widziałem, to w niej się zdrzemnąłem. Jest wysprzątana (podejrzewam, że ojciec zatrudnia panią sprząającą), ale bezosobowa, zupełnie jak jeden z tych nijakich hotelowych pokoi z podwójnym łóżkiem, szafą, krzesłem i toaletką. Drugi pokój jest prawie pusty – stoi w nim jedynie rozłożona deska do prasowania, rowerek treningowy i niewielki drewniany stół, na którym ojciec trzyma spiętrzone kolorowe segregatory.

Salon jest równie nieciekawym, co sypialnia, za to gabinet... Cóż, gabinet jest zamknięty – kiedy naciskam klamkę, drzwi nie ustępują. Rozglądam się więc po korytarzu z nadzieją, że uda mi się zlokalizować klucz, i po chwili znajduję go pod donicą ze sztucznym fikusem stojącą w rogu, przy drzwiach wejściowych, tam, gdzie żaden żywy kwiat nie miałby szans przeżyć.

W gabinecie ojca jest chłodno i sterylne, jak w pozostałej części mieszkania. Biurko wydaje się olbrzymie, ale na jego blacie panuje idealny ład. Fotel, regały z książkami, stolik

i dwa krzesła – wokół nie widzę nic ciekawego. Siadam za biurkiem, chcąc się przekonać, czy jego górna szuflada jest otwarta i ku mojemu zaskoczeniu w tym wypadku ojciec nie użył klucza.

Uchylam ją i zerkam do środka. Terminarz w twardej oprawie, okulary do czytania, pióro Parker, kilka drobiazgów. Pistolet dostrzegam w ostatniej chwili, kiedy mam już zamykać – leży częściowo ukryty pod terminarzem, wciśnięty w głąb szuflady.

Glock 17, wygląda na prawdziwy. Zresztą, znając starego, nie trzymałby w biurku jakiegoś lipnego straszaka. Biorę go do ręki, ważę w dłoni, sprawdzam, czy jest naładowany. Jest. Nagle wyobrażam sobie, że naciskam spust, a wszystkie moje problemy znikają razem ze mną samym. Myślę o kawałkach mózgu na ścianie w gabinecie starego i czuję mściwą satysfakcję na myśl, że to właśnie on mnie tu znajdzie. Najprawdopodobniej, z minimalnym ryzykiem zaistnienia błędu.

Wyobrażam sobie, jak zastyga w przerażeniu, nie potrafiąc oderwać wzroku od miazgi, w jaką zamieniła się moja głowa, a później pada na kolana i szlocha. Chcę, żeby cierpiał! Pragnę przysporzyć mu bólu, wyrzutów sumienia i bezsensnych nocy. Za to, że nas porzucił, kiedy najbardziej go kochałem i potrzebowałem. Za wszystkie lzy mamy, jej przedwcześnie posiwiałe włosy, za to, ile razy wybierałem jego numer i zaraz później rezygnowałem, czując, że nie jestem już najważniejszym elementem jego życia, nieodwracalnie wypadłem z układanych jego ręką puzzli.

Pistolet jest przyjemnie chłodny i zaskakująco ciężki. Wciąż trzymam go w dłoni, kiedy słyszę chrobot przekręcanej w drzwiach klucza i do mieszkania wchodzi ojciec.

Ściąga płaszcz, posapując, zdejmując buty, zerkając w stronę na oścież otwartych drzwi swojego gabinetu, które powinny być przecież zamknięte, i nieruchomieje na mój widok, dopiero teraz uświadamiając sobie, że w jego apartamencie jest intruz. Kiedy nasze oczy się spotykają, unoszę pistolet i przykładam go sobie do skroni, ale nie naciskam spustu.

Jeszcze nie...

– Jak sądzisz, powinienem strzelić w łeb sobie czy może tobie, tato? – pytam, po czym wyciągam rękę z pistoletem i celuję w starego.

Wielki P trzyma fason, nawet jeśli jest przestraszony, nie daje tego po sobie poznać.

– Odłóż to, synu, zanim poważniej mnie wkurwisz – rzuca przez zęby, a ja wybucham obłąkańczym śmiechem.

Zanim JA poważniej go wkurwię?!

– Nienawidzę cię – warczę, wciąż w niego celując. – Za mamę, za mnie, za wszystkie te lata, kiedy cię nie było! – podnoszę głos, a on robi kilka kroków w moją stronę.

– Odłóż to, Leoś. To glock, nie zabawka.

– Wiem, kurwa, że glock to nie zabawka! – drę się. – Masz mnie za jebanego idiotę?!

– Samobójstwo nie jest rozwiązaniem. Nigdy – mówi stary.

Teraz jest już tylko trzy metry ode mnie, wszedł z korytarza do swojego gabinetu i patrzy mi prosto w oczy.

– Jestem poszukiwany – mówię.

– Wiem.

- Nie pójdę do więzienia - dodaje.

Lamie mi się głos, w oczach mam łzy i wyglądam jak ostatnia pizda, ale o dziwo stary, który w dzieciństwie lubił się ze mną w takich chwilach nabijać, teraz bynajmniej nie kpi.

- Nigdy nie przestałem cię kochać, synu. I chociaż nie umiałem już być z twoją matką, każdego dnia tęskniłem za moim synkiem. Każdego pieprzonego dnia, ale ona nie pozwalała mi nawet ciebie widywać.

- Bo nie chciałem! To ja nie chciałem cię widzieć! - wrzeszczę i wtedy dzieje się coś zupełnie niewyobrażalnego.

Wielki Pan P, ten twardy sukinsyn, który prawie nigdy nie okazuje emocji, osuwa się po ścianie, siada pod nią i oparty o nią plecami zaczyna szlochać.

- Przepraszam - mówi. - Przepraszam cię, Leoś. Synu, słyszysz? Za wszystko - wyrzuca z siebie.

Wtedy coś we mnie pęka, po policzku spływa pierwsza łza, pistolet wypada mi z ręki i uderza o blat biurka.

- Tato... - mówię, wstając.

Później siadam obok niego, a on obejmuje mnie ramieniem i tuli, całuje po głowie, targa moje włosy, mówi, że wszystko będzie dobrze.

- Pomogę ci przez to przejść. Pomogę ci, synu, słyszysz? - obiecuje.

Kiedy wstaje, wciąż siedzę pod ścianą i szlocham - jestem w totalnej rozsypce, nie wiem nawet, czy gdybym się podniósł, zdołałabym ustać...

Ojciec chowa pistolet do szuflady i sięga po słuchawkę stojącego na biurku stacjonarnego telefonu. Domyślam się, że dzwoni na policję. Wiem, że nie ma wyjścia. Po tym, co zrobiłem, muszę odpokutować.

- Czy on żyje? - pytam, kiedy kończy rozmowę. - Rosner - dodaje, chociaż przecież obaj wiemy, o kogo chodzi.

- Tak, wyjdzie z tego - mówi ojciec i z powrotem siada obok mnie, pod ścianą.

Kiedy po mnie przyjeżdżają, jestem już spokojny. Jasne, mógłbym jeszcze próbować uciec, kiedy na nich czekaliśmy, ale dokąd tak naprawdę bym poszedł? Jak długo wytrzymałbym, błakając się po śliskich chodnikach, zaśnieżonych parkach i kurewsko zimnych publicznych toaletach?

Ojciec odprowadza mnie do radiowozu, prosi młodych policjantów, żeby poczekali, mówi, że chce jechać za nimi, tylko weźmie z domu kurtkę i kluczyki, bo jakoś wcześniej nie pomyślał.

Kajdanki są lodowato zimne, sama myśl o tym, że „zdobią” moje przeguby, jest dla mnie upokarzająca. Ojciec wychodzi z bramy, wsiada do swojej terenówki i pokazuje gliniarzom, żeby ruszali. Jestem w czarnej dupie, głęboko, po uszy w szambie, w jakie sam się wpakowałem, ale nagle wraca to krzepiące, ciepłe uczucie, jakie kilka dni temu ogarnęło mnie na pętli. Bez względu na wszystko dobrze mieć ojca.

KILKA MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

25

KAJA

- Ninka, zaczekaj na mnie - proszę moją małą podopieczną, ale Rosnerówna pędzi wąską ścieżką przez lasy jeziora, nie oglądając się za siebie.

Nigdy, za żadne skarby świata, nie powiem tego Dagmarze, ale czasem ta mała diablica robi ze mną, co chce, a ja nie mam nad nią żadnej kontroli. Oczywiście do pewnego stopnia, bo jednak jakieś granice są, uśmiecham się pod nosem i przyspieszam kroku.

- Nina! - podnoszę głos nieznacznie i dziewczynka w końcu niechętnie przystaje.

Podchodzę do niej i biorę ją na ręce. Pachnie kokosowym płynem do zmiękczenia tkanin i wygląda już na lekko senną, policzek wtula w zagłębienie mojego ramienia, brudząc mi podkoszulek czekoladą, którą ma w kącikach ust - niedawno jadłyśmy lodowego rożka.

- Wracamy do domu? - pytam ją, a dziewczynka podnosi wzrok i energicznie zaprzecza, kręcąc główką na „nie”.

Chwilę później wyswabdzają się z moich ramion i biegnie w stronę jeziora, a jej dwa kucyki radośnie podskakują z każdym jej krokiem. Przez chwilę patrzymy na podpływające na sam skraj wody kaczki. Później wyjmuję z plecaka jedną z jej ulubionych bajek, trzeci tom serii autorstwa Dagmary Rosner, jej macochy, i czytamy o przygodach sympatycznych zwierzątek mieszkających w lesie za parkiem rozrywki.

- Kaja, weź mnie na rączki - prosi mnie mała jakiś czas później, więc schylam się i ponownie ją podnoszę.

- Teraz już chyba naprawdę jesteś senna, co? - szepczę w jej pachnące rumiankowym szamponem włosy.

- Nina chce iść tam! Zobaczyć kaczuszki! - Wskazuje rączką w stronę wody, chociaż przecież przed momentem oglądałyśmy kaczki.

Żywe srebro, jak mawiała moja babcia o takich energicznych dzieciakach, myślę i uśmiecham się do niej. Chwilę później, z małą w ramionach, idę w stronę najbliższej ławki w pobliżu jeziora.

Dzień jest piękny, upalny. Słońce zdaje się świecić jaśniej niż zazwyczaj, rozgrzane powietrze faluje. Jest sam początek września, jedno z tych idealnych popołudni, kiedy człowiek nie dopuszcza jeszcze myśli o zbliżającej się nieuchronnie jesiennej słońcu i długiej, niekończącej się polskiej zimie.

- Lubisz kaczuszki, co? - pytam, a ona schyla się i wyciąga rękę, chcąc dotknąć tej, która wyszła na brzeg.

Kaczki szybko ją jednak nudzą i ciągnie mnie za jedną z falban mojej letniej spódnicy.

- Chce mi się pić! – oznajmia, więc wyciągam z przepastnej kwiecistej torby z jej rzeczami, którą zawsze mam przy sobie, plastikowy kubek z dzióbkiem.

- Powolutku, dobrze? Nie poplam sobie nowej sukienki – proszę dziewczynkę, zanim pozwalam jej się napić.

Kiedy obie siedzimy na ławce – Ninka pijąc, a ja w pośpiechu przeglądając komórkę, żeby sprawdzić, czy nie dostałam jakieś wiadomości od Leona – od strony uliczki zbliża się pulchna jasnowłosa kobieta w towarzystwie dość okrągłutkiej, pyzatej dziewczynki, na moje oko dziewięć-, może dziesięcioletniej.

Znam ją z widzenia, wiem, że ma męża architekta i mieszka obok Rosnerów, ich domy ze sobą sąsiadują.

Kiedy podchodzi bliżej, uśmiecham się do niej, ale nie odwzajemnia uśmiechu. Wręcz przeciwnie, mierzy mnie raczej mało sympatycznym, nieprzychylnym wzrokiem, później siada na ławce obok, poprawia włosy i spogląda w moją stronę.

- Kiedy się pilnuje cudzego dziecka i jeszcze bierze za to pieniądze, nie powinno się chyba siedzieć z nosem w telefonie? – odzywa się nagle.

Zatyka mnie.

Poważnie?! Co za babsztyl! Nawet mnie nie zna, a zwraca mi uwagę, jakby miała do tego prawo?! Jej zachowanie wytrąca mnie z równowagi do tego stopnia, że aż sama jestem zaskoczona. Rzadko reaguję na tego typu sytuacje aż tak emocjonalnie, ale wrogość w jej głosie naprawdę sprawia mi przykrość.

- Niech się pani zajmie sobą, a jeszcze lepiej swoją otulą córką – rzucam przez zęby.

Jej dziewczynka mnie nie słyszy, zdążyła już odbiec od matki i stoi nad samą wodą, ciskając w jej taflę niewielkimi kamieniami, chyba puszcza „kaczki” albo przynajmniej usiłuje. Gdyby była obok, nigdy nie powiedziałabym czegoś tak podłego, moją intencją było zranienie matki i wygląda na to, że chyba mi się udało.

- Co ty powiedziałaś?! – Sąsiadka Rosnerów wstaje z ławki i podchodzi bliżej. Teraz stoi nade mną, dosłownie nad nami zawisła.

Kolejnym przykładem jej wyjątkowej bezczelności jest fakt, że chociaż w sumie nawet się nie znamy, zwraca się do mnie per „ty”, jak do jakiejś czternastoletniej smarkuli, której można zwrócić uwagę w autobusie, chociaż jestem studentką trzeciego roku anglistyki i z całą pewnością krów razem nie pasaliśmy...

Nina przestaje pić i patrzy na nią szeroko otwartymi oczami, chyba lekko zaniepokojona. Sok spływa jej po brodzie i skapuje na nową sukienkę.

- Straszy mi pani dziecko. – Puszczam jej oczko, po czym wycieram młodej buzię, biorę ją za rękę, łapię za torbę z rzeczami Ninki i wymijam wrednego babsztyla, zanim powiem jej coś, czego naprawdę mogę pożałować.

Zdaję sobie sprawę, że niestety to ta wredna suka rozdaje karty. Gdyby cokolwiek nakłamała Dagmarze na mój temat, mogłabym nawet stracić pracę, a tego nie chcę... Lubię Ninę, Rosnerów, ich dom i Forest Hill – to miejsce zawsze mnie relaksuje, sprawia, że chce mi się żyć. Centrum miasta, w którym mieszkam z Leonem, często jest takie przytłaczające – zbyt dużo ludzi, chaos, hałas, spaliny, ale tu... Tu czuję się jak na wakacjach u babci,

w dawnych czasach, kiedy matce chciało się jeszcze wysłać mnie do niej na wieś, zanim na dobre się pokłóciły i przestały ze sobą rozmawiać... Długo wtedy miałam do mamy żal, że odcięła mnie od babci, a do babci z kolei, że nawet nie próbowała ściągnąć mnie do siebie kolejnego lata, jakby pogodziła się z tym, że po prostu zostałam na wakacje w mieście i przestałam przyjeżdżać, ale takie są właśnie wspomnienia z dzieciństwa, kiedy dorasta się w rodzinie dysfunkcyjnej, jak moja, myślę. Zresztą, może nie powinnam osądzać ich zbyt surowo? Mama już wtedy dość dużo piła, nie radziła sobie z rzeczywistością. Samo spakowanie mnie i wysłanie na wieś, nie wspominając już o kupnie kolejowego biletu i pieniądzech na niego, mogło jej sprawiać więcej problemu, niż jestem w stanie sobie wyobrazić.

Idąc uliczką w stronę willi Rosnerów, zastanawiam się, skąd w ludziach tyle podłości. Nigdy nie zrobiłam tej kobiecie żadnej przykrości, zawsze grzecznie się jej kłaniam, uśmiecham, staram się żyć z hermetyczną, niewielką społecznością osiedla, zdając sobie sprawę, jak ważne są sąsiedzkie relacje zwłaszcza w takim miejscu, a ona, nie mając pojęcia, jak dobrze opiekuję się Niną, naskakuje na mnie, bo na jedną chwilę wzięłam do ręki komórke?! Niewiarygodne, myślę.

W domu Rosnerów, kiedy już udaje mi się położyć Ninę wciąż jeszcze śpiącą popołudniami, wchodzę do kuchni i uśmiecham się do Dagmary. Ładnie się dziś prezentuje, wyjątkowo promiennie. Cerę ma nieskazitelną, chociaż nawet niemuśniętą pudrem w kremie, włosy spięła w koczek na czubku głowy, usta przeciągnęła czerwoną szminką – wygląda na to, że jej mąż wcześniej dziś wróci z pracy, myślę.

– Usnęła? – pyta, a ja potwierdzająco kiwam głową.

Chwilę później kusi mnie, żeby podpytać ją o sąsiadkę. Ciekawi mnie zwłaszcza to, jakie ma relacje z innymi, czy dla Dagmary bywała równie opryskliwa. Może jestem przewrażliwiona, ale wciąż mi przykro po spotkaniu z nią. Zakłóciła moje idealne popołudnie, zachwiała moją wewnętrzną równowagę. Jestem dobrą nianią i bardzo lubię Ninę. Może nawet Kocham. Gdybym kiedyś miała własne dziecko, chciałabym właśnie takie – słodką, pucułowatą dziewczuszkę z buzią i rączkami upačkanymi czekoladą, myślę. Jedno jest pewne – nie zasłużyłam na takie potraktowanie, nie jestem jakimś przypadkowym pustakiem, który, żując gumę i godzinami esemesując ze swoim facetem, z łaski pilnuje cudzego dziecka, chociaż tak naprawdę nienawidzi tej pracy. Wkładam w to, co robię, całe serce, i jeśli ta krowa ponownie mnie zaatakuję, nie będę już tak dyplomatyczna jak dziś, obiecuję sobie w duchu.

– Miałyście udany spacer? – pyta Dagmara, unosząc na moment wzrok sprzed laptopa, przed którym pracuje tym razem wyjątkowo przy stole w kuchni, nie w gabinecie.

Wokół niej leżą zapisane drobnym kobiecym pismem kartki z notatkami, na stole stoją trzy kubki po kawie i talerzyk z resztą maślanych ciasteczek, które Dagmara lubi podjadać przy pracy. Przez chwilę zastanawiam się, co pisze. Kolejną bajeczkę dla dzieci, a może coś zupełnie innego? Kiedyś zażartowałam, że powinna napisać gorący, pikantny erotyk, ale tylko się skrzywiła, jakbym ją uraziła. Od tamtej pory nie pytam, nad czym pracuje, uznałam, że temat może być niezręczny bądź dla niej niewygodny.

– Całkiem sympatyczny – odpowiadam.

Wiem, kłamię, ale właśnie zdecydowałam, że nie będę jednak robić kwasów i nawet słowem nie wspomnę jej o incydencie z udziałem jej wrednej sąsiadki.

Nie, nie niżę się do poziomu tej kobiety, mówię sobie.

Dzień później spotykam męża wrednej baby – on, w przeciwieństwie do swojej małżonki, nie obnosi się po świecie z kwaśną miną, wręcz przeciwnie – świeżo ogolony, ubrany w elegancki lniany garnitur wsiada do samochodu w momencie, w którym akurat wychodzę od Rosnerów.

– Podrzucić cię gdzieś? – pyta, widząc mnie zamykającą furtkę.

Na szyi ma srebrny wisiołek z jakąś okrągłą, dość masywną zawieszka, na nogach modne mokasyny i przychodzi mi do głowy, że wygląda trochę jak włoski gangster, chociaż przecież wiem, że jest architektem i z mafią ma mniej więcej tyle wspólnego, co ja z rosyjskim baletem.

– Wsiadaj, akurat jadę do centrum – dodaje.

W jego głosie słyszę nadzieję, wyraźnie chce zgarnąć mnie z chodnika – zapewne pochlebiłoby mu, gdybym dała się namówić na wspólną przejażdżkę.

Normalnie bym mu odmówiła. Owszem, zdarzało mu się już mnie zaczepiać, puszczał do mnie oczko, pytał, co słyhać, i gapił mi się w dekolt, ale nigdy nie pozwalałam sobie na żadne flirty czy kokieterię, chociaż mimo lekkiej nadwagi gość był naprawdę całkiem niezły, miał to „coś”. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Myślę o wyzierającej z oczu jego żony wrogości, jej wrednym, niczym nieuzasadnionym ataku na mnie i postanawiam zrobić babie na złość. Od jakiegoś czasu jestem z Leonem i to coś znacznie poważniejszego niż moje ostatnie związki, ale przecież odrobina niewinnego flirtu nikogo nie zabiła, mówię sobie.

Chwilę później posyłam mu szeroki uśmiech i rzucam „byłoby miło”, a on szarmancko otwiera mi drzwi po stronie pasażera, czeka, aż wsiądę, zamyka je i pogwizdując, obchodzi swój samochód.

– No to jazda! – Mruga do mnie, kiedy wsiada, po czym przekręca kluczyk w stacyjce i wolno rusza wzdłuż uliczki.

Wnętrze jego wyglądającej na nową terenówki pachnie świeżą skórą, w środku unosi się też zapach jego wody kolońskiej, a ja zdaję sobie sprawę, że czuję się luksusowo. Nie to, co w cholernym autobusie...

– Dokąd cię podrzucić? – pyta on, a ja podaję mu nazwę ulicy, przy której mieszkam z Leonem, ale nie zdradzam numeru kamienicy.

Wolę, żeby zatrzymał się na rogu, nie chcę, żeby ktoś zobaczył, jak wysiadam z jego auta, Leon bywa zazdrosny, a mi niepotrzebne żadne dramy.

Podczas jazdy trochę rozmawiamy, ale głównie mówi on. Chwali się nowym projektem, opowiada o niedawnym bankiecie w urzędzie miasta, na który został zaproszony, i swoim wywiadzie dla lokalnej rozgłośni, w której opowiadał o rozbudowie infrastruktury po zachodniej stronie naszego miasta, w której spory udział ma jego studio.

– To tutaj – mówię, kiedy zbliżamy się do mnie.

– Szybciej niż autobusem, prawda? – Puszcza mi oczko, po czym wręcza swoją wizytówkę.

– Gdybyś kiedyś chciała pogadać – dodaje.

Zanim wysiadam, pyta mnie, czy dałabym mu swój numer.

- Wiesz, moglibyśmy czasem wyskoczyć na drinka czy podjechać na kolację - mówi, a ja kokieteryjnie się uśmiecham i podaję mu rząd cyfr.

Nie zamierzam chadzać z nim na kolacje, pić drinków czy iść do łóżka. Ale ciągle mam przed oczami wykrzywioną złością twarz jego żony i nasze wyjątkowo mało sympatyczne spotkanie w lasku nad jeziorem.

- Może po prostu pogadamy? Lubię pisać świństwka - mówię i nawijam włosy na palec. - Zwłaszcza kiedy jestem w pracy. Wieczorami lepiej nie, mój facet jest zazdrosny - dodaję i wysiadam, zostawiając go w samochodzie z dość mocno zarysowaną pod spodniami erekcją.

Godzinę później dzwoni na moją komórkę, ale nie odbieram.

„Odbierz! Nie mogę przestać o Tobie myśleć. Odbierasz?” - prosi w wysłanym chwilę później esemesie.

Nie odbieram, chociaż dzwoni jeszcze kilka razy, ale kiedy następnego dnia przed południem wysłała mi dość sprośną wiadomość na WhatAppie, podejmuję grę i odpisuję mu w podobnym tonie. Trzeba mu przyznać, że wykazuje się elokwencją i ostro sobie ze mną pogrywa, ale nie jest wulgarny, co uznaję za duży plus.

Przez następne tygodnie wymieniamy między sobą pikantne świństwka, a któregoś dnia, jakoś początkiem października, coś mi odbija i wysyłam mu zdjęcie swoich nagich piersi, bez ujęcia twarzy, oczywiście. Fotkę robię na szybko, w gościnnej łazience Rosnerów, nie mając pojęcia, że z okna domu naprzeciwko przygląda mi się Adam, jego nastoletni syn. Później wkładam biustonosz, spuszczam wodę, fingując potrzebę skorzystania z toalety, i wracam do salonu, w którym Dagmara pilnuje Niny, pisząc jednocześnie maila do swojego wydawcy.

- Dzięki. - Uśmiecham się do niej jak zawsze, kiedy na moment przejmuje moje obowiązki, i sięgam po jedną z ulubionych bajeczek Ninki.

Odpowiedź od Mateusza przychodzi dziesięć minut później i jest raczej dosadna - przesyła mi fotkę swojego uniesionego kutasa, z dopiskiem: „Byłby zachwycony, mogąc dziś pobaraszkować z Twoją szparką...”.

Na widok zdjęcia i żenującego tekstu pod nim, zdaję sobie sprawę, że to wszystko zaszło zdecydowanie za daleko.

„Zapomnij” - odpisuję mu.

Cholera, naprawdę przegięłam, mówię sobie, w pośpiechu czyszcząc kompromitującą zawartość czatu w moim telefonie.

- Leon? - Uśmiecha się do mnie Dagmara, która najwyraźniej myśli, że rozmawiam z moim facetem, a ja kłamię, że tak.

- Wybacz, już ją odkładam - mówię, pospiesznie chowając telefon do torebki.

W następnych tygodniach Mateusz regularnie zaczepia mnie na WhatssAppie, zagaduje w uliczce i na pętli, ale zazwyczaj go spławiam. Zrobił się żenująco nachalny, wkurza mnie.

- Posłuchaj, to zaszło za daleko. Zabawiliśmy się i było miło, ale teraz przeginamy - mówię mu, kiedy znowu spotykamy się w uliczce, ja idąca z Niną, on wysiadający z samochodu. Zaczynam zresztą podejrzewać, że celowo pojawia się przed swoim domem w czasie, kiedy ja wychodzę z pracy, najczęściej o tej porze przyjeżdża już z centrum, zresztą pisał mi kiedyś, że

część projektów robi w domu, przy własnym biurku, nie obowiązują go sztywne firmowe godziny.

Jego żona stoi w oknie, bardzo często wygląda przez to kuchenne, zwłaszcza kiedy jej mąż wsiada lub wysiada z auta, jakby w ten sposób chciała nad nim sprawować pewien rodzaj kontroli, mało jednak skuteczny, umówmy się. Dostrzegam ją kątem oka i z czystej złośliwości nawijam na palec ufarbowane niedawno na jasnorudy odcień włosy.

- Lisico ty... Wiesz, jak mnie kręcisz? - szepcze on, pożerając mnie wzrokiem.

- Przestań. Wiesz, że mam kogoś na poważnie - mówię, a on krzywo się uśmiecha i wzrusza ramionami.

- Każdy kogoś ma i co z tego? Trzeba się czasem zabawić. Chodźmy dziś na drinka, zabiorę cię do najlepszego klubu w centrum.

- Zapomnij - mówię.

- A jeśli nie chcę?

- Mateusz, po prostu przestań do mnie pisać. Przecież i tak spotykasz się z kimś innym - mówię, bo ostatnio w przypiływie zaskakującej szczerości, wyznał mi, że ma nową kochankę, dwudziestoczteroletnią sekretarkę medyczną, którą poznał u swojego kardiologa. - Muszę iść, mam autobus - ucinam dyskusję.

- Podrzucę cię! Kaja, zaczekaj! - krzyczy za mną, nie przejmując się nawet tym, że jego żona nadal stoi w oknie i zabija nas wzrokiem, sama już nie wiem, czy bardziej mnie czy jego, ale nie zamierzam się zatrzymywać.

Po tym spotkaniu on przez jakiś czas się do mnie nie odzywa, w końcu piętnastego grudnia pisze coś o tym, że seksownie wyglądałam, i nazywa mnie rudą lisicą - domyślam się, że musiał mnie widzieć gdzieś na ulicy lub w ogrodzie Rosnerów, gdzie czasem bawię się z Niną.

Odpisuję mu pojedynczym emotikonem z uśmieškciem, w żadne dyskusje czy flirty już się nie wdaję - liczę na to, że on się w końcu znudzi i odpieprzy...

W styczniu zmienię numer, obiecuję sobie. I tak miałam to w planie, zbyt wielu byłych koleśi ciągle do mnie wydzwania, co doprowadza do szału Leona.

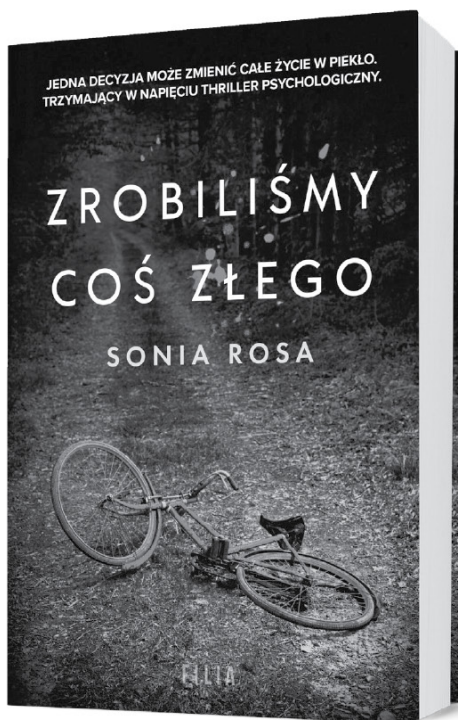
Nie mam tylko pojęcia, że stycznia nie doczekam.

W styczniu będę już martwa, ale nie tylko ja...

Jego żona również.

KONIEC

JEDNA DECYZJA MOŻE ZMIEŃĆ CAŁE ŻYCIE W PIEKŁO.
TRZYMAJĄCY W NAPIĘCIU THRILLER PSYCHOLOGICZNY.



Zrobiliśmy coś złego to opowieść o tym, jak jedna zła decyzja może zniszczyć całe życie. To opowieść o obsesyjnej miłości i zemście. O przeszłości, która nie pozwala o sobie zapomnieć.

FILIA

Spis treści

1 KAJA

2 DAGMARA

3 ILONA

4 KAROLINA

5 DAGMARA

6 LEON

7 ILONA

8 KAROLINA

9 LEON

10 DAGMARA

11 ILONA

12 KAROLINA

13 LEON

14 DAGMARA

15 ILONA

16 KAROLINA

17 LEON

18 DAGMARA

19 ILONA

20 KAROLINA

21 LEON

22 NATALIA

23 DAGMARA

24 LEON

25 KAJA

Reklama

Karta redakcyjna

Copyright © by Sonia Rosa, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Brand Kingdom
Zdjęcie na okładce: © freepik.com

Redakcja: Kamila Reclaw
Korekta: Joanna Błakita
Skład i łamanie: Andrzej Owsiany

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-095-2

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia Sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.